

WIELKA PODMIANA. LEWICA SPROWADZI SOBIE WYBORCÓW, BY RZĄDZIĆ WIECZNIE

POLSKIE WĄTKI AFERY EPSTEINA

HOLOKAUST: JAK PRZYPISAĆ OFIARY ŻYDOWSKIEJ POLICJI POLAKOM

CO NIEMCY CHCIELI ZOBIĆ Z WARSZAWĄ

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

7 (689) 2026
9–15 lutego 2026
CENA: 13,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

PLANETA JEDNAK NIE PŁONIE

ŚWIAT MA PO DZIURKI W NOSIE KLIMATYCZNYCH FANATYKÓW. CZY UDA SIĘ ICH POKONAĆ TAKŻE W POLSCE?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269601 07
Numer w sprzedaży do 16 II 2026 r.

eprasa.pl ea4c291009

polsat box

Ponad 130 kanałów

z super sportem, filmami, serialami i rozrywką



Liczba kanałów uwzględnia kanały niegwarantowane. Szczegóły w cennikach i regulaminach dostępnych u Sprzedawców i na polsatbox.pl

Czarzasty do dymisji!

Im dłużej na stanowisku marszałka Sejmu utrzymywany będzie Włodzimierz Czarzasty, tym większą będziemy mieli pewność, że premier działa na rzecz obniżenia bezpieczeństwa naszego państwa.

Wpisów ambasadora USA Toma Rose'a nie należy traktować jako focha amerykańskiej administracji z powodu kalumnii kierowanych przez marszałka Sejmu pod adresem prezydenta Donalda Trumpa. Trzeba go widzieć w szerszej perspektywie – jako odpowiedź na długotrwały już proces wypychania Amerykanów z Europy i celowego ochładzania naszych stosunków przez Donalda Tuska.

W miniony czwartek premier otrzymał twardą przestrogę: kontynuacja tej polityki może osłabić bezpieczeństwo Polski. Tak trzeba czytać słowa dyplomaty o „natychmiastowym zaprzestaniu utrzymywania kontaktów oraz jakiejkolwiek komunikacji z Marszałkiem Sejmu". „Jego oburzające i całkowicie nieuzasadnione wypowiedzi pod adresem prezydenta Trumpa stanowią poważną przeszkodę dla naszych bardzo dobrych relacji z premierem Tuskiem oraz jego rządem. Nie pozwolimy nikomu podważać relacji polsko-amerykańskich ani okazywać braku szacunku wobec prezydenta Donalda Trumpa, który tak wiele uczynił dla Polski i narodu polskiego".

Tusk musi doskonale rozumieć, co do niego napisano. Bo to od premiera zależy, kto jest drugą osobą w państwie i na ile jej pozwala. To Tusk może stracić resztki publicznie okazywanej sympatii ze strony Waszyngtonu, a dalej – stracić na tym może Polska.

Premier zareagował tandetnie: „Panie Ambasadorze Rose, sojusznicy powinni się szanować, a nie pouczać. Przynajmniej tak w Polsce rozumiemy partnerstwo". Lider KO nic nie wie o szacunku do sojuszników, bo nie skorzystał z żadnej okazji do przeproszenia za kłamstwa i liczne afronty wobec Trumpa.

Clou problemu polega na tym, że również nasze bezpieczeństwo waży dla Tuska niewiele. Gdyby było inaczej, kazałby Czarzastemu wytłumaczyć się z powiązań biznesowych i towarzyskich z panią Swietłaną pracującą dla Kremla, a jednocześnie prowadzącą hotel w Spale wspólnie z marszałkową Czarzastą. Zamiast tego Tusk dał mu wolną rękę do zaatakowania prezydenta, który jako chyba jedyna instytucja państwa widzi problem w Rosjance kręcącej się przy drugiej osobie w państwie.

Gorzej, że wraz z podaniem tlenu Lewicy, wciągnięciem jej do koalicji rządowej i uczynieniu „starego komucha" (jak sam o sobie mówi) marszałkiem, w drugiej ćwierci XXI w. szef KO rekonstruuje czasy słusznie minione. Przecież to ma ścisły związek z obroną przywilejów esbeków, z represjami wobec opozycji, z siłowym przejmowaniem instytucji, z pląsami radomskiego prezydentostwa z okazji 50. rocznicy brutalnej pacyfikacji robotniczych protestów czy z cenzorskimi zapędami, których obecna koalicja nawet nie ukrywa. Antagonizowanie nas z Waszyngtonem też się w tym mieści.

Z Tuskowego solidarnościowego kośćca nie zostało już nic.

Co zaś do Czarzastego, niech nam nie umknie skandal, jaki wysmażył tuż przed wpisem Toma Rose'a. Dzień wcześniej w Sejmie przyjął z honorami delegację Federacji Stowarzyszeń Rezerwistów i Weteranów Sił Zbrojnych RP. Wszystko po to, by potępić niedawną wypowiedź Donalda Trumpa uderzającą w wojska sojuszników na misjach.

W parlamencie brylował więc szef tej organizacji, gen. rez. Piotr Czerwiński. I to wraz z nim marszałek udawał, że broni honoru polskich żołnierzy. Dlaczego udawał? Bo z Czerwińskim żadnego honoru się nie obroni.

Był koniec listopada 2007 r. Ministrem obrony w nowo powstałym rządzie Tuska został Bogdan Klich, który na swojego pierwszego zastępcę powołał właśnie Czerwińskiego. Aleksander Szczygło grzmiał, że to skandal, bo wobec generała toczą się postępowania w Żandarmerii Wojskowej. Klich ripostował, że sprawdził dossier zastępcy, nie dostrzegł przeciwwskazań, a śledztwa są zapewne sfingowane w celach politycznych. Minął miesiąc i Czerwiński podał się do dymisji, bo sfingowane nie były. Prawomocny wyrok zapadł dopiero w 2017 r. Generał usłyszał śmieszny wyrok: zawiasy i niska grzywna za to, że wykorzystywał żołnierzy służby zasadniczej do budowy własnego domu.

Dziś Klich jest pośmiewiskiem w Waszyngtonie, a Czerwiński bryluje w Sejmie jako amunicja starego komucha do politycznej wojny z Trumpem.

Tusk zaś czeka na pochwały za całą tę operację. Z Berlina.

Marek Pyza



Reklama | 10/0126/F

eprasa.pl e84c291d09

SIECI

spis treści



26 Kłócąca się z Tuskiem
Stanisław Janecki



29 Turów, czyli historia sądowego bezprawia
Jan Rokita



46 Na progu powszechnego wyścigu zbrojeń nuklearnych
Marek Budzisz

NA POCZĄTEK

5 **EPSTEIN, CZYLI GLOBALIZACJA**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **TAKA RASA – TAM OJCZYZNA, GDZIE KASA!**
Jan Pietrzak

8 **AWARIE CORAZ BARDZIEJ NIEBEZPIECZNE**
Samuel Pereira

9 **CZYSTY JAK MARSZAŁEK?**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **BRUKSELSKIE LODY DLA POLAKÓW – BEZRADNOŚĆ I MARAZM TUSKA**
Daniel Obajtek

13 **PRAGMATYCZNY REALIZM?**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA DOMINIKI ZAMARY**
Michał Korsun

17 **POGARDA**
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

18 **PLANETA JEDNAK NIE PŁONIE**
Łukasz Wróblewski

KRAJ

23 **KONFLIKT W RODZINIE**
Piotr Gursztyn

26 **KŁÓCĄCA SIĘ Z TUSKIEM**
Stanisław Janecki

29 **TURÓW, CZYLI HISTORIA SĄDOWEGO BEZPRAWIA**
Jan Rokita

32 **POLSKA SIĘ ZWIJA**
Konrad Kołodziejski

35 **SMARTFON – CICHY SABOTAŻYSTA**
Dorota Łosiewicz

OPINIE

40 **LEWICA CHCE WIELKIEJ PODMIANY**
Maciej Walaszczyk

ŚWIAT

43 **GRA W SKOJARZENIA**
Aleksandra Rybińska

46 **NA PROGU POWSZECHNEGO WYŚCIGU ZBROJEŃ NUKLEARNYCH**
Marek Budzisz

49 **JESTEŚMY POLAKAMI, OBYWATELAMI UKRAINY**
Ze Svitlaną Zaitsevą-Velykodną rozmawia Andrzej Skwarczyński

HISTORIA

52 **JAK SETKI OFIAR ŻYDOWSKIEJ POLICJI PRZEPISAĆ NA KONTO POLAKÓW**
Piotr Gontarczyk

56 **MIASTO SKAZANE NA ZAGŁADĘ. CO NIEMCY CHCIELI ZROBIĆ Z WARSZAWĄ**
Stanisław Płużański

SIECI KULTURY

59 **DAMA W CZERWIENI**
Jolanta Gajda-Zadworna

62 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

GOSPODARKA

64 **ABSURDU NAPRAWIĆ SIĘ NIE DA**
Z prof. Witoldem Modzelewskim rozmawia Jerzy Szmit

KUCHNIA

68 **MOJE SMAKI: JULIETTE ARMANET**
Jolanta Gajda-Zadworna

69 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

70 **ŚWIĘCI. SOFT POWER ZACHODU**
Robert Tekieli

72 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

73 **SŁODKO-GORZKI POLSKI SPORT**
Ryszard Czarnecki

74 **GRYŹ, BYLE SŁUSZNIE!**
Katarzyna Zybertowicz

eprasa.pl e84c291d09

BRONISŁAW WILDSTEIN

Epstein, czyli globalizacja

W aferze Epsteina najbardziej uderza skala i długotrwałość. Fakt, że globalny sutener był nie tylko tolerowany, lecz także z jego usług korzystali najbogatsi i najbardziej znaczący, odsłania mentalność środowiska. Potwierdza starą, choć wyszydzaną obecnie prawdę. Moralność to kwestia wspólnoty: kiedy zabraknie norm i kodeksów, w ludziach ujawnia się ciemna strona ich natury.

W społeczności, która kwestionuje tradycyjny porządek etyczny, wcześniej czy później większość będzie próbowała zaspokoić nawet perwersyjne pragnienia. Wstrzemięźliwość w tej mierze będzie wyśmiewana jako frajerstwo. Jednostki potrafią się temu przeciwstawić, ale nie one – poza wyjątkowymi przypadkami – wyznaczają postawy zbiorowości.

Zwłaszcza że sprawa rozgrywa się w środowisku tych, którym udało się uzyskać wyjątkowy status. Przyjmują oni, że zawdzięczają to wyłącznie własnym zasługom, co sufluje liberalna ideologia, a jest prawdą tylko do pewnego stopnia, w niektórych przypadkach. Ale przekonani o swojej wyjątkowości uznają, że zwykłe miary przestają ich obowiązywać.

A elity, czyli dominujące środowiska, są wzorotwórcze. To ich postawy powodują, że coraz powszechniejsza staje się pogarda wobec uznawanych za niepełnowartościowych: biedniejszych, niewykształconych, starszych, mieszkańców prowincji i tych, którzy nie hołdują obowiązującym modom. Demonstrują je postępowcy, którzy oficjalnie głoszą tolerancję oraz inkluzywność. „Refleksyjność" nie przeszkadza im akceptować tych wewnętrznych sprzeczności. W programie Wojewódzkiego poglądy takie – ku ukontentowaniu gospodarza – w niemal czystej postaci zaprezentował koszykarz Marcin Gortat.

Można przyjąć, że walka o uznanie jest jednym z podstawowych ludzkich impulsów. Poszczególne grupy społeczne próbują dowartościować się, eksponując swoją rolę i „szczególne" dyspozycje. Nie zawsze wiąże się to z pozycją materialną, ale współcześnie, wraz z zanikiem innych dystynkcji, coraz częściej się do niej sprowadza.

W chrześcijaństwie przeciwwagą dla pionowej struktury społecznej było uznanie równości osób ludzkich jako dzieci Boga. We wspólnotach – np. narodowych – poczucie więzi, które z nich wypływa, również tonuje hierarchiczne uporządkowanie. Odrzucenie tradycyjnych wiar i tożsamości powoduje, że ludzi różnicować zaczyna jedynie policzalny, pieniężny status, co przekształca ich w *homo oeconomicus*.

Oto spełnienie, które proponuje liberalna ideologia. Globalne elity wyzwoliły się z jakiejkolwiek partykularnej tożsamości, z wszelkich ograniczeń związanych z rolą społeczną i kulturowym modelem. W pustce, która jest tego konsekwencją, pozostaje im „samorealizacja", która okazuje się uzależnieniem od namiętności i zachcianek.

Tradycyjnie do ról społecznych przypisany był etos, który formułował zakazy i modelował zachowania. Pętał destrukcyjne popędy, chociaż nigdy nie potrafił eliminować ich bez reszty. Napięcie między ludzkimi pragnieniami a kodeksami postępowania jest nieuniknione. Gdyby było inaczej, te drugie byłyby niepotrzebne. A ludzie zawsze będą próbować naginać i przekraczać porządki, które ograniczają ich pożądania. Rozziew między normą a skłonnościami był piętnowany przez moralizatorów jako hipokryzja. Wyzwolenie się z porządku etycznego nie prowadzi jednak do uwewnętrznienia jego zasad, ale ich odrzucenia.

Powtarzano nam, że kapitał (i kapitaliści) nie mają narodowości. Realnie oznacza to, że nie posiadają lojalności. Zwłaszcza dziś w dobie wielkich korporacji, kiedy zarządzanie oderwane zostaje od własności, co prowadzi do działania wyłącznie w imię najszybszego zysku.

Kryzys w latach 2007–2009 ujawnił, że światowy biznes coraz bardziej zaczyna funkcjonować na zasadzie piramidy finansowej. Od tego czasu zmieniło się niewiele. Ponadnarodowe układy polityczne, które nie są kontrolowane przez obywateli państw, dużo szybciej ulegają degeneracji. Dobitną manifestacją tego stanu jest UE, w której faktycznie bezkarna korupcja staje się chlebem powszednim. Niedawno mieliśmy tego uderzający przykład.

UE nabyła zdecydowanie za dużo szczepionek przeciw COVID-19, z których znaczna część musiała zostać zniszczona. Europejski Trybunał Rozrachunkowy, który domagał się dokumentów w sprawie, po raz pierwszy w historii ich nie otrzymał. Ostatnią porcję zakupów za 35 mld euro, już w momencie zamierania pandemii, z szefem Pfizera wynegocjowała indywidualnie i bez żadnych uprawnień przewodnicząca UE Ursula von der Leyen. Cena została zawyżona i wprowadzony został obowiązek nabycia szczepionek przez poszczególne kraje. Porozumienia między Pfizerem a KE nie ujawniono. TSUE uznał, że Komisja powinna pokazać e-maile między kontrahentami, ale... nie zostały one odnalezione. Von der Leyen nie tłumaczyła się, a sprawa nie wpłynęła na jej kolejną nominację na szefa KE.

Również sprawa Epsteina pokazuje, do czego prowadzi globalizm, jeden z wykwitów ideologii emancypacji. Ludzie wyzwoleni z tradycyjnych wspólnot nie rozkwitają. Degenerują się.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl e84c291d09



Sygnalista nadaje

Życie pisze najlepsze scenariusze i najlepsze rubryki. A jeszcze lepsze pisze premier ***Donald Franciszek Tusk***. Postanowił on wyplenić zgniliznę moralną panującą wśród amerykańskich elit. Zostanie powołana specjalna komisja, która wyjaśni, wyjawi, napiętnuje i przedstawi wnioski po aferze, która oburzyła tych wszystkich, którzy mają w domach 12-latki. Chodzi oczywiście o aferę pana, który miał nazwisko na „E", kiedyś wymawiane jako Epsztajn, a obecnie – Epstin.

Lista osób, które powinny znaleźć się w tej komisji, jest nieskończona. Będzie z kogo wybierać – bo i prokurator Wrzosek, i mecenas Giertych. Także osoby poselskie – osoba Zembaczyńska, osoba Sroka, osoby Szczerba & Joński. No i oczywiście najwybitniejsi eksperci z komisji gen. Stróżyka z osobami Suchanow i Piątek na czele. A ponieważ premier wspomniał o udziale KGB w tej aferze, koniecznie trzeba wskazać na gen. Pytla, bo on wie najlepiej, jak Rosja 12-latki penetruje. PS Jak słusznie zauważył najwybitniejszy dyplomata w tysiącletnich dziejach Ten Kraju ***Radek Sikorski***, komisja nie będzie badała sprawy Romana Polańskiego, gdyż ten uprawiał tylko seks z nieletnią, ale nie był pedofilem. Potwierdzi to Dorota Stalińska.

Trump to się w ogóle nie pozbiera. ***Włodek Czarzasty*** nie poprze jego starań o Pokojową Nagrodę Nobla. Bo nie zasłużył. Lud demokratyczny miast i wsi zdecydowanie popiera stanowisko tow. Czarzastego w walce z amerykańskim imperializmem. Jednocześnie stanowczo domagamy się, aby Trump nie dostał Nagrody Nobla w żadnej innej kategorii – ani w medycynie, ani w literaturze, ani nawet w chemii i fizyce.

Tragiczne doniesienia z MSZ. Rząd nie będzie bronił Bogdana Klicha i rzuci go na pożarcie pisowskiej tłuszczy, a konkretnie temu Nawrockiemu. Jak demokracja walcząca chce rozliczyć Trumpa, skoro pozbywa się tak wybitnego specjalisty jak szarżedafer Klich?

Jeśli chodzi o nagrody międzynarodowe, to Włodek może załatwić Nagrodę Leninowską. Zna fajną babkę o imieniu Swietłana, która ma dobre dojścia w Moskwie. I to nie byle jakie. Gazprom, Sbierbank, Kreml – jeśli macie jakieś ważne sprawy w tych miejscach, to proście Swietę. Kontakt przez Włodka, jeśli nie macie do niej numeru.

Dziwna sprawa jest za to z przybocznym Włodka, czyli Markiem Siwcem. Ten zasłużony niegdyś towarzysz chodzi po mediach i opowiada dziwne rzeczy. Wygląda na to, że chyba się zakochał w Trumpie. Na razie bez wzajemności, ale za to szczerze. Jako dowód miłości Marek chce dać Donaldowi Grenlandię: „Nie cierpiałbym, gdyby kawałek Grenlandii uzyskał status Portoryko, terytorium pod zwierzchnictwem Stanów Zjednoczonych, ale nie stan. Mieszkańcy Portoryko są obywatelami USA, mają prawo do swobodnego przemieszczania się, ale nie głosują w wyborach prezydenckich. Niech zbudują bazę wojskową" – rzekł w wywiadzie dla organu Silnych Razem, czyli ciągle istniejącej – mimo stałych zwolnień grupowych – „Gazety Wyborczej".

To nie koniec skandali, które wywołuje Marek Siwiec. We wspomnianym wywiadzie dobrze mówił też o tym Nawrockim. Stwierdził, że jego prezydentura pozostaje ważna i całko-

eprasa.pl e84c291d09

wicie legalna, co jest szokiem dla każdego prawdziwego demokraty. A przecież mógł zapytać mec. Romana. Albo jeszcze lepiej niezapomnianego (a właściwie trochę już zapomnianego) dr. Kontka o to, jak idzie przeliczanie głosów z wyborów prezydenckich i kiedy ogłoszą, że tak naprawdę wygrał Rafał Trzaskowski.

Z życia chrząszczy – Kaśka Pełczyńska-Nałęcz została szefem. Czegoś tam niedużego, ale w sam raz dla niej. To coś nazywa się „Polska 20 łamane na 50" i pozostaje partią, która jest jak yeti. Każdy o niej słyszał, ale nikt jej nie widział. To jednak nie ogranicza Kaśki w jej marzeniach. Jej następnym celem jest funkcja wicepremierki. Nie wiemy, co się kryje za tą nazwą, ale brzmi ciekawie i elegancko. Coś jak pilotka, dyplomatka albo serwantka. Ciekawe, czy premier Tusk spełni marzenie Kaśki, bo jak powszechnie wiadomo, darzy ją bardzo gorącą sympatią. Zresztą identycznie jak ona jego.

Do podobnych zdarzeń dochodzi też w życiu prawicowych chrząszczy. Właściwie chrząszczyków: Marek Jakubiak pokłócił się z Pawłem Kukizem oraz Jarosławem Sachajką i został wyrzucony z ich partii. Szczegóły sporu nie są bliżej znane, gdyż nauka nie opracowała jeszcze tak dokładnych mikroskopów, które umożliwiłyby obserwowanie życia partyjnego w ugrupowaniach Kukiza i Jakubiaka. Przy czym trzeba zaznaczyć, że partia nie jest jak yeti, bo wprawdzie nikt jej nie widział, ale za to też nikt o niej nie słyszał.

Mijają lata mijają, a Gniewomir Rokosz-Kuczyński nadal walczy o dostęp do okruszków z pańskiego stołu, odziany w barwny kontusz z Cepelii. Tym razem odnalazł się u Grigorija Brauna. Był na słynnym już zjeździe partii Jedinaja Polsza w Łochowie, gdzie zmówił paciorek przed obradami. Przez tyle lat Gniewomir tułał się po wszystkich partiach, aż wreszcie znalazł właściwie miejsce. Gada tak samo jak Grigorij, w ten sam napuszony sposób, zupełnie bez treści i sensu, ale za to lubi siebie słuchać. Czyli też jak Grigorij. Nie każdy wie, że Gniewomir to tak naprawdę Irek. Ireneusz, bez żadnego Rokosza. Potwierdzą to dawni koledzy, z którymi kiedyś działał w ZSMP. Tej siły teraz nikt nie zatrzyma!

Ciekawe wydarzenia mają miejsce w Krakowie. Już nie tylko Nowa Nadzieja Sławka Mentzena, lecz nawet Małgośka Wassermann chcą odwołania Olka Miszalskiego. Co im szkodzi ten niezbyt mądry, ale za to zupełnie niepoważny człowiek? Czy naprawdę przeszkadzają im te głupawe filmiki, które nagrywa z sobą w roli głównej? Bo przecież nie może chodzić o to, że źle rządzi swym miastem, wprowadza podwyżki oraz zatrudnia krewnych i przyjaciół królika na wszystkich możliwych stanowiskach. Przecież skrupulatnie przestrzega zasady, aby były to osoby bez wyjątku niekompetentne. Olek nie robi niczego innego od tego, co dzieje się w innych samorządach polskich miast. A im nagle zaczęło to przeszkadzać.









Media donoszą, że wszyscy mówią o Olku Miszalskim, że stał się człowiekiem-memem. Ta wiadomość z pewnością zaniepokoiła Pawła Kowala, który zmonopolizował tę godność. Nie po to Paweł filmuje każdą swoją czynność fizjologiczną, aby jakiś Miszalski z Krakowa pozbawił go tytułu arcymistrza cringe'u polskich mediów społecznościowych, na który ciężko zapracował.

Eksperci oceniają, że Miszalskiemu trudno będzie zastąpić Pawła na pozycji największego twórcy politycznego obciachu. Filmiki ukazujące taniec z mopem nie mają tej mocy co nagrania rejestrujące jedzenie zupy kartoflanej w Rzeszowie. A teraz Paweł odkrył nieznaną sztukę Moliera „Mizogin". Co odkryje Olek Miszalski?

Hakerzy włamali się do systemu komputerowego tygodnika „Polityka". Zhakowali ostatnie wydanie i zamieścili tam treści hejterskie: „W wielu branżach słychać, że za PiS było lepiej. Rządy Tuska są poza wszystkim jakoś uderzająco nieefektowne, szare, nie kojarzą się w zasadzie z niczym naprawdę pozytywnym i wyróżniającym, są modelowo pozbawione wizerunku i charyzmy". Czekamy na reakcję wicepremiera ds. zamykania internetu Krzyśka Gawkowskiego. To niedopuszczalne, aby osoby demokratyczne, czerpiące całą swoją wiedzę o świecie z tego zasłużonego tygodnika, były narażone na tak agresywną dezinformację.

Konieczne jest też działanie ministra ***Waldka Żurka*** i jego niezłomnych prokuratorów. Hejterzy, którzy zhakowali „Politykę," próbują odebrać nadzieję wszystkim prawdziwym demokratom: „Staje się powoli jasne, że antypisowska rewolucja, która miała wyzerować prawnie i moralnie okres władzy formacji Kaczyńskiego w latach 2015–2023, utknęła, być może na dobre". Nie, to niemożliwe! Rozliczenia nie utknęły. Demokracja walcząca najpierw rozliczy Trumpa, a potem Ziobrę i Romanowskiego. A jak dobrze pójdzie, to może uda się rozliczyć nawet jakieś urzędniczki z Ministerstwa Sprawiedliwości. I tę babę, co wtargnęła na pasy przed samochodem ministra Żurka.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk x2

eprasa.pl e84c291d09

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Taka rasa – tam ojczyzna, gdzie kasa!



Jan Pietrzak

Latał dron nad jednostką wojskową, latał i szpiegował, a kiedy się znudził, wziął i spadł – zgodnie z prawem powszechnego ciążenia odkrytym przez Newtona. Ktoś się nim wreszcie zainteresował – dronem, nie Newtonem. Dron miał konstrukcję służącą rozszyfrowaniu danych elektronicznych, niewidocznych gołym okiem. Zostawiony na sztabowym biurku w dalszym ciągu gromadził i przesyłał informacje ciekawe dla wrogów. Nie wiadomo dokładnie, kim są wrogowie.

Wszyscy dookoła znają tajemnice naszej armii lepiej niż polskie sztaby. Sytuacja militarna jest tak skomplikowana, że nikt nie wie, pod jaką flagą mamy szukać sojuszników. Kiedy najwyższe dowództwo w składzie Kosiniak i Kamysz plus ten trzeci cywil dowiedziało się o dronie z telewizora, sprawa stała się mocno tajna i dalszych szczegółów nie podano. A szkoda. Jest niekwestionowanym faktem, że od dłuższego czasu na polskie pola i lasy spadają wrogie rakiety, balony i drony. Żadnego „spadochroniarza" nie udało się przekonać, by przyznał się do winy. Nie dlatego, iż żołnierze nie potrafią wydobyć prawdy. Dlatego, że dowództwo nie pozwala. Strategiczna teoria głosi, że ta wojna jest „hybrydowa", a więc niezupełnie poważna, jakby na niby. Kiedy telewizyjni eksperci słyszą o hybrydowych knowaniach, robią marsowe miny i zaczynają konspiracyjnie kiwać głowami...

Ale co tam spadające drony... Wali na nas śnieg z najwyższych pięter atmosfery, nieuzgodniony z ministerką klimatologii czy klimakteorii. W tych okolicznościach rozgrywa się jakaś afera z wiatrakami. One bez wiatru się nie kręcą – dziwne takie. Spadnie byle śnieżek –bezczelnie odmawiają posłuszeństwa. Stoją w zaspach jak głupie i czekają na prąd z elektrowni węglowych. Pamiętajmy, że klimat jest administracyjnie połączony ze środowiskiem. To ten sam resort. Tak jak Hennig z Kloską. Kiedy klimat odmawia posłuszeństwa, środowisko się wali. W tej sytuacji temperatura spada, a ceny w sklepach rosną, bo drożeje transport. To znany w historii mechanizm – jedno w górę, drugie w dół.

„Hektopaskale to w górę, to w dół, optymizm, pesymizm, pół na pół" – śpiewałem w dawnej piosence, której nikt nie pamięta, łącznie ze mną. Tymczasem warunki pogodowe sprawiły, że burza kadrowa dotarła do Służby Ochrony Państwa, eliminując z tej jednostki wielu oficerów. Oj, nieprzyjemna historia, jeżeli kraju bronią ludzie niewłaściwi. Nasze państwo wymaga ochrony szczególnej, bo codziennie jest niszczone od środka przez agentów Wschodu i Zachodu. To jest największa tajemnica poliszynela, agenta z commedii dell'arte. A ci, co mają o dbać nasze państwo, zbyt często dbają o interesy zupełnie innych nacji, co jest po ludzku zrozumiałe. Jest taki gatunek, taka rasa... Tam ojczyzna, gdzie większa kasa. To jest największa awaria ostatnich lat III RP.

Awarie coraz bardziej niebezpieczne



Samuel Pereira

Bardzo trafne jest określenie, którym ostatnio często posługuje się Mateusz Morawiecki, mówiąc o ekipie rządzącej Donalda Tuska per „koalicja awarii". Brzmi trochę zabawnie (wystarczy przypomnieć sklejanie taśmą drzwi przez Rafała Trzaskowskiego), ale gdy zobaczymy, ile awarii faktycznie dotyka sfery bezpieczeństwa, nie jest już tak zabawnie. Niewykorzystane środki na obronność, oddanie zakupów politykom w Brukseli (SAFE), antyamerykańska krucjata, podejrzane kontakty Włodzimierza Czarzastego, fala dronów z Białorusi, wykolejone pociągi, wrogi dron w jednostce wojskowej, agentura w MON czy rozwalanie SOP to tylko ostatnie „awarie", a rząd nie powiedział jeszcze ostatniego słowa.

„Koalicja awarii" to określenie celne nie dlatego, że zgrabne retorycznie, ale z tego powodu, że opisuje nową normalność. Państwo, które permanentnie ma powody do tłumaczenia się ze swojej indolencji czy złej woli. Członkowie rządu, który uśmiechają się do kamer, podczas gdy instytucje odpowiedzialne za bezpieczeństwo publiczne działają w trybie gaszenia pożarów: proceduralnych, kadrowych i decyzyjnych.

Morawiecki napisał niedawno: „Mamy kolejną awarię – tym razem na rynku pracy. Bezrobocie wśród młodych Polaków rośnie! Tysiące wysłanych CV – miesiące bez odpowiedzi! Czas naprawić Polskę!". Ten wpis łatwo zbyć jako opozycyjną narrację. Trudniej zignorować fakt, że słowo „awaria" pasuje dziś do coraz większej liczby obszarów państwa – od rynku pracy przez kolej po wojsko i służby ochrony.

Szczególnie jaskrawo widać to na przykładzie SOP – formacji, która ma chronić najważniejsze osoby w państwie, a sama stała się zakładnikiem politycznego sporu. Minister Marcin Kierwiński mówi wprost: „Będę rozmawiał z prezydentem, żeby tę sprawę załatwić ostatecznie". Dodaje, że „oczywiście chciałbym mieć tę możliwość powołania komendanta SOP już teraz", ale nie ma takiej przestrzeni prawnej. Bezpieczeństwo? Owszem. Ale najpierw trzeba „załatwić sprawę" z prezydentem Karolem Nawrockim. I w tym jednym zdaniu kryje się sedno problemu. Bezpieczeństwo państwa nie jest dziś najwyższym priorytetem. Jest elementem PR i wojenki w imię stołków.

eprasa.pl e84c291d09

Czysty jak marszałek?

Problem nie dotyczy życiorysowych epizodów sprzed lat, lecz realnych, aktualnych zależności

Gęstnieje atmosfera wokół drugiej osoby w państwie i jej tajemniczych relacji biznesowych z Rosjanką Swietłaną Czestnych, która jest mocno związana z Kremlem. Włodzimierz Czarzasty uparcie nie odpowiada na pytania o tę relację, a tych pojawia się coraz więcej.

W publicznych rejestrach widnieją powiązania, które z perspektywy wojny na Wschodzie i rosyjskiej aktywności w obszarze wpływu w krajach Europy muszą budzić niepokój. Chodzi o biznesowo-towarzyskie relacje ze Swietłaną Czestnych. To Rosjanka z polskim paszportem, która ma świetne kontakty z Kremlem. Zasiada ona we władzach spółki PDK Hotele, która kontroluje m.in. Hotel Mościcki w Spale. A tak się składa, że współwłaścicielką tego hotelu jest żona marszałka.

Rosjanka z polskim paszportem od lat porusza się w świecie handlu sztuką, a jednocześnie pozostaje zawodowo związana z Rosyjskim Domem Aukcyjnym RAD. To nie jest zwykła galeria antyków. RAD współpracuje z rosyjskimi instytucjami państwowymi: resortami obrony, finansów, kultury czy gospodarki. Wśród partnerów wymienia się Gazprom, Rostelecom i Sbierbank – filary gospodarcze Kremla, z których część została objęta sankcjami po agresji na Ukrainę.

Czestnych pełni tam funkcję eksperta działu prac z antykami i obiektami sztuki, reprezentuje dom aukcyjny podczas kongresów, jest jego twarzą na zewnątrz. Trudno udawać, że to wyłącznie neutralna działalność kulturalna. RAD stanowi element rosyjskiego zaplecza ekonomicznego, a kontakty z oligarchicznym światem są wpisane w charakter tej instytucji. Gdy taka osoba pojawia się w strukturze spółki powiązanej z marszałkiem polskiego parlamentu, państwo powinno zadać więcej niż jedno rutynowe pytanie.

Tymczasem kluczowy polityk lewicy nigdy nie wypełnił ankiety bezpieczeństwa, mimo że wcześniej zasiadał w sejmowej komisji do spraw służb specjalnych. Dostęp do informacji niejawnych posiada z mocy ustawy.



Prezydent Karol Nawrocki zapowiedział, że temat powiązań Czarzastego zostanie podjęty na najbliższej Radzie Bezpieczeństwa Narodowego. Reakcja marszałka była nerwowa. Zamiast odnieść się do meritum, zaatakował głowę państwa, żądając wyjaśnień z czasów, gdy Nawrocki pracował w ochronie Grand Hotelu. Trudno o bardziej czytelną próbę odwrócenia uwagi. Prezydent w przeciwieństwie do wicemarszałka przechodził wielokrotnie procedury weryfikacji, także za rządów Platformy Obywatelskiej.

Problem nie dotyczy więc życiorysowych epizodów sprzed lat, lecz realnych, aktualnych zależności. Czy fakt, że w spółce związanej z Czarzastym pojawia się osoba zawodowo osadzona w strukturach rosyjskiego domu aukcyjnego współpracującego z podmiotami Kremla, jest tylko niefortunnym zbiegiem okoliczności, czy kryje się za tym coś więcej? Dlaczego marszałek Sejmu nigdy nie wypełnił ankiety bezpieczeństwa? Dlaczego nie odnosi się do meritum tej sprawy.

W państwie, które od trzech lat mierzy się z konsekwencjami rosyjskiej agresji na Ukrainę, prowokacjami i atakami hybrydowymi, takie pytania nie są elementem partyjnej gry. To część elementarnej higieny bezpieczeństwa. Nie chodzi o insynuacje, lecz o przejrzystość. Jeśli wszystko jest czyste, rzetelna kontrola powinna to potwierdzić. Jeśli nie, tym bardziej nie wolno zamiatać sprawy pod dywan.

Dziś jednak zamiast wyjaśnień słyszymy oburzenie na konferencji i zapewnienia: „Jestem czysty", ale nic poza tym. A przecież nikt nie oczekuje od marszałka deklaracji wiary, lecz dokumentów, prawdy i odpowiedzialności. Polska polityka zbyt długo przyzwyczajała się do myśli, że istnieją osoby nietykalne. Wojna za wschodnią granicą brutalnie zweryfikowała tę naiwność. Państwo, które nie zadaje trudnych pytań własnym elitom, prędzej czy później płaci za to wysoką cenę. A ta rzadko bywa wyłącznie polityczna.

Dorota Łosiewicz



Indie

Powrót zarazy

Dalekowschodnie porty lotnicze wprowadziły zaostrzone kontrole stanu zdrowia pasażerów przybywających z Bengalu Zachodniego w Indiach. Jest to związane z pojawieniem się w tamtym regionie przypadków niebezpiecznego i potencjalnie śmiertelnego wirusa Nipah. Władze Indii zapewniają, że sytuacja jest pod kontrolą i nie odnotowano żadnych nowych ognisk zarazy.

Wirus Nipah jest odzwierzęcy. Można się nim zarazić poprzez bezpośredni kontakt z zakażonymi zwierzętami, głównie nietoperzami rudawkami i świniami, a także poprzez ich zakażone tkanki lub wydzieliny. Odkryto go w 1999 r. w Malezji, gdy epidemia wśród hodowców trzody chlewnej zabiła ponad 100 osób. Największe jak dotąd ognisko choroby wystąpiło w Bangladeszu w 2001 r. i pochłonęło ponad 100 ofiar. Od tamtej pory epidemie Nipah występują w Azji niemal co roku, najczęściej w Indiach, Filipinach, Singapurze i wspomnianym Bangladeszu. Wirus wykazuje największą aktywność między grudniem a kwietniem, co naukowcy powiązali z sezonem na zbiory soku z daktylowca, a właśnie na daktylowcach żerują owocożerne nietoperze. To ważna informacja, bo zakażeniu wirusem można ulec, spożywając żywność zainfekowaną przez zwierzęta. Ustalono, że epidemie w Bangladeszu były konsekwencją picia surowego soku z palmy daktylowej, zanieczyszczonego wcześniej przez nietoperze.

Gdy wirus rozprzestrzeni się na ludzi, może się przenosić z człowieka na człowieka poprzez bliski kontakt. Typowy okres inkubacji Nipah wynosi 4–21 dni, co oznacza, że ofiara może być zakażona przez dość długi czas, zanim pojawi się stan zagrażający życiu. Początkowo objawy choroby przypominają grypę, ale w miarę postępu infekcji może wystąpić śmiertelny obrzęk mózgu. Osoby, które przeżyją zapalenie mózgu, wracają do zdrowia, ale bywa, że przez całe życie zmagają się z powikłaniami. Śmiertelność w przypadku zakażenia wirusem Nipah jest wysoka i szacuje się ją na 40–70 proc.

W tej chwili nie ma leków ani szczepionek na chorobę wywołaną wirusem. Badania w tym kierunku prowadzi osławiony Instytut Wirusologii w chińskim Wuhanie, gdzie – jak pamiętamy – doszło do wybuchu pandemii COVID-19. Instytut ogłosił, że może pomóc Hindusom w walce z wirusem Nipah. Władze Indii nie skorzystały jednak z oferty chińskich wirusologów, twierdząc, że na razie zarejestrowano jedynie dwa przypadki zakażenia i sytuacja jest pod całkowitą kontrolą. Mimo to niektóre kraje regionu, w tym Tajlandia, Tajwan, Indonezja i Nepal, wprowadziły zaostrzone kontrole zdrowotne na swoich lotniskach. Uznano, że w przypadku tak groźnej zarazy lepiej jest zachować nieufność.

Konrad Kołodziejski

Prawicowa seria



Kostaryka

Trwa konserwatywna fala w Ameryce Łacińskiej. Po zwycięstwach wyborczych prawicy w Argentynie, Paragwaju, Ekwadorze, Boliwii, Chile i Hondurasie przyszła kolej na Kostarykę.

Prezydentem tego kraju została 40-letnia Laura Fernández Delgado [na zdj.], przewodnicząca Suwerennej Partii Ludowej. Zdobyła 48,5 proc. głosów, podczas gdy jej główny rywal – 33,3 proc. To wystarczyło do objęcia urzędu, ponieważ konstytucja Kostaryki przewiduje, że jeśli kandydat w pierwszej turze uzyska więcej niż 40 proc. głosów, zapewnia sobie prezydenturę bez konieczności organizowania drugiej rundy.

Równocześnie z wyborami głowy państwa odbyła się elekcja parlamentarna, w której prawica również odniosła zdecydowane zwycięstwo. Wspomniana Suwerenna Partia Ludowa zdobyła 31 mandatów w 57-osobowym Zgromadzeniu Ustawodawczym, a więc będzie dysponować samodzielną większością parlamentarną.

Laura Fernández Delgado jest bliską współpracownicą ustępującego prezydenta Rodriga Chavesa, którego ekipa może się pochwalić znaczącymi sukcesami gospodarczymi. Za jego rządów bezrobocie w kraju spadło z 12 do 6,9 proc., a Kostaryka ugruntowała pozycję najzamożniejszego państwa w Ameryce Środkowej. Nowa prezydent zadeklarowała, że będzie kontynuować politykę swojego poprzednika, mającą na celu ochronę życia, rodziny, wolności i tożsamości narodowej. Warto dodać, że administracja Rodriga Chavesa doprowadziła do wycofania ze szkół edukacji seksualnej, uznając ją za narzędzie ideologizacji młodzieży, a także zakazała wywieszania flag LGBT+ w przestrzeni publicznej.

Wybór Laury Fernández Delgado wpisuje się w szerszy kontekst, który wykracza poza politykę lokalną. Pokazuje, że w czasach relatywizmu moralnego i podważania wszelkich norm ludzie potrzebują przywódców, którzy nie ukrywają swojej wiary, bronią wyznawanych przez siebie zasad i uznają istnienie wartości niepodlegających kompromisom. Konserwatywna fala w Ameryce Łacińskiej jest tego dowodem.

Grzegorz Górny

Fot. Shutterstock, Wikipedia

eprasa.pl e84c291d09



Malawi

Wojna między słoniami a ludźmi

Wszystko miało wyglądać inaczej, kiedy w 2022 r. holenderska organizacja zajmująca się ochroną dzikiej zwierzyny zaproponowała rządowi w Malawi, że sfinansuje przeniesienie słoni z parku narodowego Liwonde do Kasungu. Chodziło o ochronę tych wielkich ssaków, których populacja – głównie w wyniku kłusownictwa – spadła w Afryce z 1,3 mln sztuk w latach 80. ub.w. do ok. 415 tys. obecnie.

Holendrzy sfinansowali przeprowadzkę 263 zwierząt na północ Malawi, a światowe media obiegły filmy przedstawiające ładowanie na ciężarówki uśpionych słoni. Wydawało się, że wszystko idzie doskonale, kiedy jednak ideologia przysłania rzeczywistość, skutki najczęściej są opłakane. Dlaczego? Słonie nie miały zamiaru siedzieć na miejscu i już 24 godziny po „przeprowadzce" wybrały wolność, tratując ogrodzenie i wszystko, co znajdowało się na ich drodze. Sytuacja byłaby zabawna, gdyby nie okazała się tragiczna. Uciekające zwierzęta zadeptały dwóch farmerów i przekroczyły granicę z sąsiednią Zambią, inicjując ciąg wydarzeń, które można określić mianem wojny między słoniami a ludźmi.

W ostatnich trzech latach słonie stratowały 26 okolicznych mieszkańców, zniszczyły setki domów oraz plony o łącznej wartości 4,5 mln dol., co w Malawi jest pokaźną kwotą. Do podobnych incydentów doszło także w sąsiedniej Zambii, bo aktywiści sprzeciwili się stawianiu płotu na granicy, twierdząc, że ograniczy on możliwość przemieszczania się zwierząt. Farmerzy zaczęli więc polować na słonie, odrodziło się wcześniej niezbyt aktywne na tych terenach kłusownictwo i – jak się szacuje – połowa słoni, które przeprowadzono na północ kraju, została już zabita.

Problem ze słoniami nałożył się na kryzys w miejscowym rolnictwie. Według szacunków ONZ w regionie nawet 6 mln osób jest zagrożonych głodem ze względu na spadek plonów, co ma związek przede wszystkim z warunkami atmosferycznymi. Nic więc dziwnego, że tutejsza ludność, żyjąca niemal wyłącznie z rolnictwa, z rosnącym niepokojem obserwowała wzrost populacji słoni, zwłaszcza że jedno zwierzę może dziennie zjeść niemal 300 kg roślin i wypić – co w Afryce ma szczególne znaczenie – 230 l wody.

Michael Labuschagne, były aktywista ekologiczny z RPA, powiedział mediom, że realizowany w Malawi projekt jest typowym przykładem „imperializmu w zakresie ochrony przyrody". Aktywiści nie zwracają uwagi na to, czy przenoszone zwierzęta mają dość pokarmu na nowych terenach. Nie interesuje ich także sytuacja miejscowej ludności. Dlatego skutki ich działań bywają przeciwne do zamierzonych.

Marek Budzisz

Polityczny spór o pokemony

Japonia

Jeden z karcianych turniejów Pokémon zaplanowany w Tokio został odwołany po gwałtownej reakcji w Chinach. Impreza miała się odbyć w położonym obok Pałacu Cesarskiego sanktuarium Yasukuni. W tym miejscu Japończycy czczą pamięć swoich żołnierzy, także tych, którzy polegli w II wojnie światowej.

W sanktuarium oddaje się również hołd premierowi Hideki Tōjō oraz 13 innym osobom uznanym po kapitulacji Japonii za zbrodniarzy wojennych. Przeciwko temu regularnie protestują Chiny i Korea Południowa. Obrońcy sanktuarium twierdzą z kolei, że miejsce to upamiętnia łącznie 2,5 mln ofiar wojen i jest legalnym ośrodkiem kultu religijnego.

Oliwy do ognia dolała ostatnio informacja, że producent gier Pokémon TGC wybrał sanktuarium jako miejsce promocji swoich kart. W odpowiedzi kontrolowane przez chińskie władze media społecznościowe zostały zalane pełnymi gniewu postami potępiającymi organizację turnieju. „Marki, które lekceważą historię i ranią uczucia chińskiego narodu, ostatecznie zostaną porzucone" – pogroził oficjalny serwis informacyjny Komunistycznej Partii Chin, apelując, by „nie lekceważyć ciężaru historii w imię rozrywki" i chwaląc młodych chińskich internautów za patriotyczną reakcję.

Wydawca Pokémon TCG natychmiast odwołał imprezę i przeprosił, twierdząc, że za jej organizację odpowiadała osoba trzecia, niezwiązana bezpośrednio z firmą. Obiecał też, że w przyszłości nie dopuści do powtórzeniu się podobnego incydentu, zwłaszcza że już wcześniej tokijska świątynia bywała celem wirtualnych wojen prowadzonych przez japońskich i chińskich użytkowników gry mobilnej Pokémon Go.

Chińscy komuniści nie tylko dbają o poszanowanie własnej wykładni polityki historycznej, lecz także próbują kontrolować działalność zagranicznych firm zgodnie z własną ideologią państwową. Tym razem emocje są silniejsze niż zwykle, bo spór o pokemony pojawił się w momencie zaostrzenia stosunków między obydwoma państwami. W listopadzie premier Sanae Takaichi zasugerowała, że Tokio może zaangażować się zbrojnie w obronie Tajwanu. Jak wiadomo, Pekin uznaje wyspę jako integralną część swojego terytorium i nie wyklucza przyłączenia jej siłą. Awantura wokół gry jest więc jednym z elementów presji wywieranej na konkurencyjnym państwie.

Maciej Walaszczyk

Brukselskie lody dla Polaków – bezradność i marazm Tuska

Rachunki za ogrzewanie poszybowały o kilkadziesiąt procent, pompy ciepła, te rzekome cuda ekologii, zamarzają poniżej -20 st., tracąc efektywność i pompując już tylko koszty prądu – nawet o 60 proc.



Tej zimy Polska przypomina gigantyczną lodówkę, w której rząd Donalda Tuska serwuje obywatelom mroźny deser z podwyżek i awarii, a oni dygoczą, licząc straty w portfelach i zdrowiu.

Rachunki za ogrzewanie poszybowały o kilkadziesiąt procent, pompy ciepła, te rzekome cuda ekologii, zamarzają poniżej -20 st., tracąc efektywność i pompując już tylko koszty prądu – nawet o 60 proc. To jak kupno na Alasce kabrioletu Ferrari, który w śniegu zamienia się w sanki, a właściciel, zamiast jeździć – płaci za holowanie.

Sieci ciepłownicze sypią się jak stare meble w opuszczonym domu, awarie w Warszawie, gdzie dziesiątki, a nawet setki bloków marzło w całe noce, w Kielcach z 30 tys. ofiar chłodu, w Szczecinie, Częstochowie, Lublinie, Gdańsku i Sopocie tysiące rodzin spędzało noce pod kołdrami, modląc się o cudowne rozmrożenie rur, podczas gdy termometry wskazywały temperatury godne ekspedycji polarnej. Chorzy, dzieci i starsi ludzie drżeli w piżamach, marząc o czasach, gdy ciepło nie było luksusem.

Ceny pelletu wzrosły do 2–3 tys. zł za tonę z powodu niedoborów surowca i ogromnego popytu, co dla miliona gospodarstw oznacza wybór między ciepłem a jedzeniem. I tak można o wszystkich źródłach ogrzewania. Gaz drożeje o 27 proc., regulacje kogeneracji to chaotyczna komedia omyłek, uwalniająca kolejne podwyżki, a rząd udaje, że to tylko przejściowy chłód i „prognozy nie są przesadnie alarmujące". Zresztą według wiceminister klimatu i środowiska Urszuli Zielińskiej dużo gorsze są gorące lata i zmiana klimatu na Seszelach.

Bruksela – ten pałac oderwanych od rzeczywistości ideologów – wciska Zielony Ład jak eliksir nieśmiertelności, kompletnie ignorując polskie mrozy i realia, gdzie przetrwanie zależy od solidnego opału, a nie od biurokratycznych wizji. Nierealne cele redukcji emisji o 55 proc. do 2030 i 90 proc. do 2040 r. to czysta fantazja, skrojona pod łagodny klimat Belgii, a nie pod naszą syberyjską zimę, gdzie węgiel wciąż ratuje życie przed hipotermią, a unijne dyrektywy brzmią jak żart z sauny, podczas gdy Polacy walczą z zaspami i rachunkami.

System ETS dobija ciepłownie, grożąc upadkiem 16 firmom i karami w setkach milionów. Na deser ETS2, który za niecałe dwa lata podbije koszty ogrzewania o kolejne 20–30 proc. Trzeba jasno powiedzieć, że to nie ochrona planety, lecz elegancka forma haraczu, subsydiująca chińską hegemonię w panelach słonecznych i turbinach, podczas gdy Europa marznie. Unijni marzyciele, popijając kawę w klimatyzowanych salach, forsują pompy ciepła, które w polskim klimacie zawodzą z hukiem, zmieniając domy w lodówki pełne rozczarowań, a realistów łamiących antysmogowe zakazy używania kominków karzą grzywnami do 5 tys. zł.

Ironią losu jest to, że w imię czystego powietrza Bruksela każe nam marznąć jak bezdomnym, podczas gdy ich ideologia sprowadza ubóstwo energetyczne na miliony. Te ich wizje, dalekie od pragmatyzmu, sponsorują chińskie fabryki naszymi podatkami – to jak sponsorowanie własnego pogrzebu pod zieloną flagą, gdzie ofiary chłodu stają się statystyką w brukselskich raportach, a Polacy płacą za cudze marzenia o raju, marznąc w piekle codzienności.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl e84c291d09

Pragmatyczny realizm?



Marta Kaczyńska-Zielińska

W ciągu ostatnich kilku lat stosunki między Kanadą a Chinami stopniowo ewoluowały od napiętych relacji w kierunku ostrożnego wznowienia współpracy.

Chiny są drugim co do wielkości partnerem handlowym Kanady po Stanach Zjednoczonych, a dla kluczowych kanadyjskich sektorów – zwłaszcza rolnictwa, zasobów naturalnych i przetwórstwa rolno-spożywczego – chiński rynek jest trudny do zastąpienia. Jednocześnie Kanadyjczycy podkreślali, że nie dąży do głębokiej integracji takiej jak kompleksowa umowa o wolnym handlu, głównie ze względu na swoje zobowiązania w ramach północnoamerykańskich ram handlowych oraz ścisły sojusz z USA. Ottawa jednak coraz bardziej zdaje się dążyć do dywersyfikacji swoich zewnętrznych relacji gospodarczych. Zacieśnianie więzi z Chinami jest częścią szerszej strategii „deriskingu" – zmniejszania zależności od jednolitego rynku bez całkowitego odłączenia się od zachodnich sojuszników.

Pekin jest zainteresowany zapobieganiem dalszej izolacji od rozwiniętych gospodarek i postrzega Kanadę jako użytecznego partnera w bloku zachodnim. Ostatecznie jednak Kanada notuje duży deficyt handlowy z Chinami, importując znacznie więcej towarów, niż sprzedając. Skala deficytu i znaczenie Państwa Środka jako partnera handlowego sprawiły, że ta równowaga stała się głównym punktem niedawnych dyskusji na temat polityki gospodarczej i dyplomatycznej w Kanadzie. Być może w związku z rosnącą zależnością od Chin i zapewne w celu dalszego dystansowania się od USA w ostatnich miesiącach Ottawa intensyfikuje relacje z państwami Zatoki Perskiej, traktując je przede wszystkim jako źródło długoterminowego kapitału inwestycyjnego. Dla Kanady kluczowe nie są już wyłącznie relacje handlowe, lecz przyciągnięcie arabskich inwestycji do strategicznych sektorów kanadyjskiej gospodarki. Premier Mark Carney jasno sygnalizował w Davos, że Kanada szuka partnerów zdolnych do współfinansowania transformacji gospodarczej i technologicznej.

Fundusze kapitałowe państw Zatoki Perskiej – dysponujące setkami miliardów dolarów i nastawione na długoterminowe lokowanie kapitału – są dla Ottawy atrakcyjnym partnerem w finansowaniu projektów, które przekraczają możliwości tradycyjnych inwestorów prywatnych. W zamian kraje Zatoki oczekują stabilnego otoczenia prawnego, dostępu do technologii oraz udziału w aktywach strategicznych. Jeśli Kanada zrealizuje swoje polityczne deklaracje, to współpraca z państwami Zatoki Perskiej może stać się jednym z filarów jej nowej strategii gospodarczej, bazującej na dywersyfikacji partnerów i większej autonomii strategicznej.

Warto jednak wiedzieć, że państwa Zatoki Perskiej pozostają w relacjach z Chinami, które mają znacznie bardziej strategiczny i asymetryczny charakter. Pekin jest dla tych krajów kluczowym odbiorcą ropy i gazu oraz rosnącym partnerem inwestycyjnym, podczas gdy państwa Zatoki stanowią istotny filar chińskiego bezpieczeństwa energetycznego. Wzajemne powiązania są głębokie, lecz strukturalnie nierówne: to Pekin jako największy klient i dostawca technologii oraz kapitału infrastrukturalnego w coraz większym stopniu dyktuje warunki współpracy. Państwa Zatoki zachowują pewne pole manewru dzięki konkurencji między Chinami, USA i Europą, jednak ich rosnąca zależność od chińskiego popytu i technologii wzmacnia pozycję negocjacyjną Państwa Środka.

Postawa Kanady wobec Stanów Zjednoczonych w ostatnich latach jest opisywana jako pragmatyczny realizm – relacja bazująca na konieczności i zarządzana z coraz większą asertywnością, choć przecież to USA są największym partnerem handlowym Kanady (70–75 proc. eksportu) i głównym źródłem kapitału zagranicznego, jej głównym sojusznikiem w sferze bezpieczeństwa oraz kluczowym filarem obrony kontynentalnej poprzez współpracę w ramach NORAD i NATO. Dla Ottawy utrzymanie stabilnych i funkcjonalnych relacji z Waszyngtonem pozostaje zatem podstawowym interesem narodowym.

REKLAMA



21/0126/F

eprasa.pl e84c291d09



Walizka Dominiki Zamary

sopranistki światowych scen

W 2006 r. dostałam stypendium konserwatorium w Weronie. To było spełnienie moich marzeń – by uczyć się śpiewu w Włoszech, gdzie narodziła się opera. Od samego początku dużo ćwiczyłam i śpiewałam. Pewnego dnia odkrył mnie znakomity maestro – Enrico De Mori, dyrygent Marii Callas, wieloletni dyrygent La Scali i L'Arena di Verona. Złożył mi wtedy propozycję – codzienne prywatne lekcje śpiewu. Za darmo. Nie chciał pieniędzy, pragnął tylko, bym dobrze śpiewała. Dla biednej studentki z Polski była to propozycja nie do odrzucenia. Od tej pory po zajęciach w konserwatorium przychodziłam do domu Maestro, gdzie dodatkowo żona De Moriego częstowała mnie obiadem. Mój korepetytor był surowym nauczycielem. Gdy coś szło nie po jego myśli, zdarzało się, że poirytowany rzucał partyturami o ziemię, wyrzucał mnie z lekcji, a ja zapłakana wracałam do akademika. Ale nie było tak źle, skoro później dzwonił do mnie, żeby np. poinformować, że mam dać koncert. Bardzo we mnie wierzył. Z Maestro De Mori miałam możliwość zadebiutowania w Teatro Verdi w Padwie w operze Pucciniego „Cyganeria". Nigdy nie zapomnę wielkieg serca Mistrza i jego żony.







APASZKA

Podróżuje ze mną wszędzie, chroniąc moje gardło. Otrzymałam ją na pamiątkę od organizatora koncertu w Paryżu we Francji, gdzie śpiewałam z kubańskim barytonem Raulem Gamezem.



SANKTUARIUM MARYJNE W CZERWIŃSKU

Zaśpiewałam tam 18 stycznia br. Przepiękny klasztor o. salezjanów zrobił na mnie duże wrażenie. Okazało się, że mieszka w nim wybitny światowej klasy organista Don Andrea, który ma doktorat z muzykologii i archeologii.

eprasa.pl e84c291d09



TORBA Z MEKSYKU

Od meksykańskiego fana. Dwa razy byłam w Meksyku na tournée. W tym roku wróciłam na zaproszenie maestro Victora Contrerasa, wykonałam dzieło Mozarta „Exsultate, jubilate".





WIATROWY SAD

Imbir i jabłka są dla mnie bardzo ważne, a soki od Pani Grażyny są tłoczone tylko z naturalnych owoców. Jabłkowy z Chopinem jest mi szczególnie bliski.

WIZYTOWNIK

Zakupiony w Korei Południowej na bazarze ze sztuką tradycyjną. Urzekły mnie jego motyle z masy perłowej. Bardzo mile wspominam Seul, sale koncertowe i tamtejszą orkiestrę.



STOWARZYSZENIE

La Musica di Angela zostało założone przez rodziców Angeli, która zmarła w wieku 10 lat na rzadką chorobę genetyczną. Misją stowarzyszenia jest wyprowadzanie do dziecięcych szpitali muzykoterapii. Ostatnio wsparłam ich koncertem w przepięknym audytorium Santa Caterina w Treviso.





KOSMETYKI

Jestem ambasadorką marki Mather z Mediolanu, z którą współpracuję od lat. Codziennie używam ich Siero z witaminą C, która rzeczywiście nawilża moją skórę. Lubię też koreański puder Genosys. Bardzo sobie cenię jego jakość.



NOTES

Co roku w Padwie, w tej samej księgarni, kupuję notes, w którym trzymam zdjęcie Jana Pawła II. Zwyczajowo zapisuję 10 artystycznych celów na nowy rok.



RÓŻANIEC

Z fragmentem szaty JPII. Dostałam go od ks. Twaroga, szefa Misji Polskiej w Argentynie, po moim koncercie.

MELISA

Jest dla mnie ważna, ponieważ z powodu zmiany stref czasowych często cierpię na jetlag. Po ubiegłorocznych wyczerpujących koncertach w Chinach, Stanach Zjednoczonych i we Włoszech długo dochodziłam do siebie.





PŁYTA

Z nagranymi pieśniami Chopina zadebiutowałam w Accademia Teatro La Scala. Teraz śpiewam je na całym świecie.

BRANSOLETKA

Bursztyny znad polskiego Bałtyku sprezentowane przez Mamę. Uwielbiam je i ich dobrą energię. Mam też kolczyki do kolekcji.



PERŁY

Dostałam je od włoskiego kompozytora Tiziana Bedettiego w ramach podziękowań za naszą współpracę. Wykonuję jego dzieła skomponowane dla mnie na całym świecie – w USA, Kanadzie, Argentynie. Gdy zakładam te perły, lepiej śpiewam.



NAGRODY

Cartagine oraz Fontane di Roma otrzymałam za artystyczne osiągnięcia na świecie. Pierwsza z nich jest dla mnie dużym wyróżnieniem, ponieważ dostał ją m.in. Ennio Morricone.



Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Fot. Paolo Gepri, Giuseppe Corrà, Michał Korsun, prywatne archiwum Dominiki Zamary, Associazione "La Musica di Angela", materiały reklamowe Herbapol, Shutterstock

eprasa.pl e84c291d09

Jestem, jaka jestem

Z aktorką Małgorzatą Rożniatowską rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Jest pani aktorką szczęśliwą, spełnioną?

Małgorzata Rożniatowska: Całe życie byłam szczęśliwą aktorką. Może nie do końca spełnioną, ale szczęśliwą.

Dziś przyciąga pani uwagę zarówno na dużym, jak i na małym ekranie – w filmie „Życie dla początkujących" wyprowadzając na manowce ekranowego wnuka, w kolejnych częściach hitu „Kogel mogel" jako Goździkowa, szalejąc m.in. na traktorze. Z kolei Zocha Kisielowa nie daje o sobie zapomnieć w serialu „M jak miłość". W najnowszej kinowej premierze – „Dalej jazda! 2" – też rozdaje pani karty. I forma, i efekt robią wrażenie.

Miło to słyszeć. I mieć taki dobry czas. Bo nie zawsze się układało. Rzeczywiście, aktorki w pewnym wieku długo były niedoceniane i pomijane, ale to się zmienia. Ja w każdym razie nie mogę narzekać. Jest praca i coraz więcej ciekawych propozycji.

Jest też energia i międzypokoleniowy „power". W najnowszej premierze nawiązuje pani brawurowe relacje zarówno z Marianem Opanią, jak i z Julią Wieniawą.



Jestem, jaka jestem. Lubię grać wyraziste postacie, a moja bohaterka jest bardzo kolorowa. A jak ma się jeszcze takich wspaniałych partnerów jak Marian i Julia, praca jest ogromną przyjemnością i radością.

Pani rola w „Dalej jazda! 2" nie tylko się skrzy, lecz także niesie ważne przesłanie.

Bardzo ważne. Po pierwszej części zdarzało się nam słyszeć, że jest to film zbyt komediowy, że choroba Alzheimera, na którą cierpi moja bohaterka, nie wygląda tak na co dzień. Mówiłam wtedy, że nie kręciliśmy studium choroby, tylko film o miłości. O tym, że dwoje starszych ludzi wciąż może się kochać. Ale gorących uczuć jest wokół nich więcej.

Kto doceni taki przekaz w walentynki?

To uniwersalna opowieść o miłości i relacjach międzypokoleniowych. Prawdziwie rodzinne kino – pełne uczuć, na które jest czas w każdym wieku i okolicznościach.

Fot. Monolith Films

wPolsce24

NIE MA NAS W TWOIM TELEWIZORZE?

Zacznij działać! Naciskaj na swojego operatora telewizji kablowej.

Dzwoń, pisz, przekaż mu kontakt do nas:

operatorzy.kablowi@wPolsce24.tv

Im więcej zgłoszeń otrzyma operator, tym szybciej Ty i Twoi bliscy będziecie mogli oglądać wPolsce24.



Informacje o lokalnych i regionalnych operatorach tv:
www.wpolsce24.tv/gdzie-nas-ogladac

GDZIE NAS OGLĄDAĆ: 52 telewizja naziemna | 909 921, 196 polsat box | 62 CANAL+ | 192 netia | 32 orange | 825 vectra | 65 339, 121 PLAY | 459 inea | 631 TOYA | 43 evio

eprasa.pl e84e261d09

Pogarda



Mój śp. dziadek Teofil Makowiecki za odmowę podpisania volkslisty wraz z całą rodziną został wysiedlony i umieszczony w tzw. Szmalcówce w Toruniu. Zginął w kolejnym obozie przejściowym w Skierniewicach, zatłuczony na śmierć przez czterech niemieckich strażników na oczach 12-letniego Staszka (mojego ojca). Kolejne 3,5 roku chłopak spędził u niemieckiego bauera, harując od świtu do zmroku jak niewolnik i śpiąc w oborze z krowami. Uciekający przed Armią Czerwoną gospodarze przekazali go Organizacji Todta. Przez trzy miesiące w okolicach Wilhelmshaven Staszek kopał w zmarzniętej ziemi okopy dla Wehrmachtu. Niewykonanie normy (8 m^3 ziemi) było karane pozbawieniem dziennej racji żywnościowej. Wyzwolony przez pancerniaków gen. Maczka znalazł się w Maczkowie, miasteczku utworzonym dla polskich sierot i więźniów obozów koncentracyjnych. Oślepł z powodu awitaminozy i leczył się w tamtejszym szpitalu. W 1947 r., po likwidacji Maczkowa, Stanisław wrócił do Polski. Zaczynał od zera: bez domu, rodziców, z ukończoną w dwa lata szkołą podstawową.

Zapytałem kiedyś ojca, co było dla niego najbardziej traumatycznym wspomnieniem z czasów okupacji. Głód? Zimno? Wszy? Choroby zakaźne? Praca ponad siły? A może ciągłe zagrożenie życia? Po krótkim zastanowieniu tata wyznał, że najtrudniej było mu znieść POGARDĘ okazywaną na każdym kroku Polakom przez Niemców. Naród panów (Herrenvolk) traktował ich jak zwierzęta, gorzej – jak karaluchy, którymi trzeba się brzydzić i które należy tępić, jeśli tylko przestają być przydatne.

Martwi mnie, że we współczesnym świecie ta pogarda zaczyna się wdzierać na salony. Publiczne obrażanie interlokutorów, próby odhumanizowania przeciwników politycznych, przyzwolenie na bezprawne działanie względem ludzi o innych poglądach – to wszystko dzieje się już na naszych oczach! Nakręcanie tej spirali nienawiści zaburza racjonalne myślenie i w końcu doprowadzi nas wszystkich do upadku.

Lech Makowiecki

ZDJĘCIE TYGODNIA

RUSZYŁY ZIMOWE IGRZYSKA OLIMPIJSKIE WE WŁOSZECH



Fot. Evgeniy Maloletka/Associated Press/East News

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, JERZY SZMIT, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: FOTOMONTAŻ STUDIO GRAFICZNE FRATRIA, ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER, IPN, SHUTTERSTOCK/GAGODESIGN

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	366 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

Autopromocja

eprasa.pl e84c291d09



Planeta jednak nie płonie

Histeria klimatyczna jest w odwrocie. Nie może być inaczej, skoro za oknem -10 st. Celsjusza, Rosja i Chiny, zamiast walczyć o klimat, chcą podbijać świat, a w Ameryce rządzi Donald Trump, który święty dotąd „klimatyczny konsensus" ma po prostu gdzieś

Fot. Shutterstock

eprasa.pl e84c891d09



ŁUKASZ WRÓBLEWSKI

To było jak wybuch bomby atomowej. Odpaliłją – dotąd zielony jak szczypiorek na wiosnę – Bill Gates, publikując notatkę przed szczytem klimatycznym COP30. Ogłosił w niej coś, za co do niedawna wyrzucano z grona ludzi rozsądnych i kulturalnych. Podniósł rękę na świątynię „konsensusu klimatycznego"! I choć odstępstwo od ortodoksji zostało przez niego zakomunikowane w zawoalowany, pełen zastrzeżeń sposób, to wszyscy wiedzieli, co się właśnie stało.

Gates zaznaczył, że „zmiana klimatu to poważna sprawa", ale dodał, że „udało nam się zrobić wielki postęp" w jej opanowywaniu. Wezwał, by „nadal wspierać przełomy, które pozwolą światu na zerową emisję", ale przyznał, że „nie możemy tego robić kosztem nakładów na zdrowie i rozwój". Powtórzył zaklęcie o konieczności „obniżania »zielonej premii«", czyli kosztu wyboru droższych, „czystych", a nie tańszych, „brudnych" technologii, ale jednocześnie wyraził życzenie, by „postawić dobro człowieka w centrum naszych strategii klimatycznych".

„Jest katastroficzna wizja następstw zmian klimatu, która sprowadza się do następującego scenariusza: w ciągu kilku dekad katastrofalna zmiana klimatu zdziesiątkuje ludzkość. Dowody są wszędzie dookoła nas – tylko spójrzcie na te wszystkie rekordowe upały, sztormy i burze spowodowane przez



eprasa.pl e84cc91d0

wzrost temperatury. Nic nie jest ważniejsze niż zatrzymanie tego wzrostu" – prezentował opowieść, którą sam dotąd snuł.

„Na szczęście dla nas wszystkich ten pogląd jest błędny" – przyznawał.

Kilka słów Gatesa wywołało tornado. „Z całym szacunkiem, ale Bill Gates powinien się zamknąć" – domagał się liberalny „Onion". „Nie powinniśmy zwracać uwagi na to, co Bill Gates ma do powiedzenia w sprawie kryzysu klimatycznego" – apelował progresywny portal Common Dreams. „Naukowcy od klimatu boją się, że w swojej notatce jeden z najbogatszych i najpotężniejszych ludzi na świecie wysyła zły sygnał" – alarmowało „Politico".

Tym razem front nie był jednak jednolity. „Bill Gates powiedział wprost to, co zwykle mówi się po cichu" – przyznawał liberalny magazyn „The Atlantic".

KLIMAT WOKÓŁ KLIMATU

Tak, klimat wokół klimatu się zmienia. To już nie jest 2023 r., kiedy cudowne, ponadpięćdziesięcioletnie dziecko polskiej polityki – Rafał Trzaskowski – zdobywało punkty w kampanii Platformy Obywatelskiej, opowiadając w mediach, że „planeta płonie" i wykrzykujący z wiecowych scen groźby, co się nie stanie, jeśli natychmiast się nie opamiętamy.

„I dzisiaj ma się okazać, że młode pokolenie, jeżeli nic nie zrobimy, ma po nas odzyskać planetę, która będzie płonąć?" – pytał 24 sierpnia 2023 r. podczas wiecu w Olsztynie. „A co robi rząd PiS? Nic. Naśmiewa się z tego. Prezes Kaczyński wychodzi i mówi: »Nie wiadomo. Profesorowie mówią tak, drudzy profesorowie mówią inaczej«" – drwił Trzaskowski, przedrzeźniając złośliwie Jarosława Kaczyńskiego.

Oczywiście to „starszy pan bez konta w banku" miał rację. Jedni profesorowie mówią tak, drudzy profesorowie mówią inaczej. A że za oknem -10 st. Celsjusza, Rosja i Chiny chcą podbijać świat, a nie walczyć z ociepleniem, a w Ameryce rządzi Donald Trump, który „konsensus klimatyczny" ma gdzieś, ci drudzy są coraz uważniej słuchani.

NA SZCZĘŚCIE

Weźmy obrazek używany od lat, by wdrukować nam nieuchronność rychłej zagłady. Od lądolodu odrywa się potężny blok, spadając w morską topiel. Jest tak ciepło, że Arktyka się topi. Niedługo zamiast lodu będzie tam dżungla. Poziom mórz się podniesie i zatopi świat. Aby to zatrzymać, już dziś, najpóźniej jutro, trzeba zrezygnować ze wszystkiego, zamknąć co się da i nie da i osiągnąć wymarzoną „zeroemisyjność". Jezus Maria, Józefie Święty, ratuj się, kto może!

Rzeczywiście, w ciągu ostatnich 50 lat zasięg lodu na Oceanie Arktycznym stopniowo się zmniejszał, ale głównie pod koniec lata i jesienią. Zimą i wiosną proces ten był nieistotny, jeśli nie niezauważalny. Od dekady minimalny zasięg lodu morskiego nie wykazuje tendencji spadkowej.

> „Na szczęście dla nas wszystkich ten pogląd jest błędny" – stwierdził Bill Gates, który tymi słowami zakwestionował lansowaną także przez niego diagnozę o zagładzie klimatycznej planety

ZASKAKUJĄCE, PRAWDA?

W pracy z sierpnia 2025 r. Mark England, Lorenzo Polvani, James Screen i Anthony Chan, naukowcy z Uniwersytetu w Exeter, dowodzą, że w ciągu ostatnich 20 lat tempo zaniku lodu arktycznego wyraźnie się zmniejszyło.

„Modele klimatyczne (CMIP5 i CMIP6) pokazują, że wielodekadowe przerwy w utracie lodu morskiego mogą występować nawet wtedy, gdy emisje gazów cieplarnianych rosną. Porównanie obecnego spowolnienia z podobnymi przerwami w symulacjach modelowych wskazuje, że może ono realnie trwać jeszcze przez kolejne 5 do 10 lat" – piszą naukowcy.

„Ogólnie rzecz biorąc, choć fakt, że zanik arktycznego lodu morskiego spowolnił w czasie, gdy globalne temperatury osiągają rekordowe wartości, może się wydawać zaskakujący, dowody z modelowania klimatu wskazują, że takich okresów należy się spodziewać stosunkowo często" – dodają.

Brytyjski pisarz popularnonaukowy, biolog i były członek Izby Lordów Matt Ridley (sprzedał ponad milion książek, które zostały przetłumaczone na 30 języków) przytacza na platformie X anegdotę, jak próbował naprostować pewnego ważnego admirała, snującego wizję dramatycznych zmian w strategii wojskowej, bo arktyczne Przejście Północno-Zachodnie „jest już otwarte" na skutek zmian klimatycznych.

„Nie chciał mnie słuchać" – wspomina Ridley. „A to przecież nonsens. Przejście Północno-Zachodnie prawdopodobnie nie stanie się otwartym szlakiem morskim do końca stulecia. Dlaczego? Ponieważ zamarza ponownie każdej zimy". Na szczęście.

JAPOŃCZYCY GINĄ W WANNACH

Inny przykład. „Fakt, że zgony związane z klimatem stają się coraz rzadsze, jest dokładnym przeciwieństwem tego, co zwykle słyszymy. Wynika to z tego, że media informują nas o kolejnych katastrofach, podkreślając liczbę zdarzeń. Ona rzeczywiście rośnie, ale głównie z powodu lepszego raportowania, niższych progów rejestracji i większej dostępności informacji" – przekonuje Bjørn Lomborg, twórca Konsensusu Kopenhaskiego, projektu badawczego bazującego na teorii ekonomii dobrobytu, którego celem jest ustalenie priorytetów w dążeniu do niego.

W swoich książkach i licznych wystąpieniach publicznych Lomborg mówi, że chociaż zmiana klimatu jest faktem, to jej następstwa są zdecydowanie przeszacowywane. Badacz porównuje np. koszty, jakie poniesiemy z powodu ocieplenia, z prognozami dochodów

Autopromocja

eprasa.pl e84c291d09

do 2100 r., argumentując, że przewidywany wzrost gospodarczy miażdżąco przewyższa negatywne skutki zmiany klimatu. Nawet jeśli weźmiemy pesymistyczne scenariusze wzrostu temperatury, walka z następstwami rozmaitych klęsk będzie kosztowała 2,5–5,7 światowego PKB. Tymczasem PKB na osobę ma – według szacunków ONZ – wzrosnąć do tego czasu sześciokrotnie. „Zamiast sześciokrotności PKB na osobę w 2100 r. w stosunku do wartości z 2020 r. będziemy więc, po odliczeniu szkód klimatycznych, mieli jego wzrost o 5,9 raza" – przekonuje Lomborg, wzywając do „nowego pragmatyzmu" w polityce klimatycznej. Stawiajmy na nowe technologie, starajmy się tam, gdzie ma to sens, redukować emisje, a przede wszystkim – jak w całej historii ludzkości – wymyślajmy sposoby przystosowania się do zmian – powiada Lomborg. Ale, do licha, nie cofajmy się do epoki kamienia łupanego, żeby zaoszczędzić jedną dziesiątą światowego PKB w perspektywie najbliższych 75 lat!

Analizując jedną z najbardziej przerażających narracji klimatycznych, czyli epatowanie ciągłymi katastrofami pogodowymi na wszystkich kontynentach, Lomborg powołuje się na prace innego „denialisty", Rogera Pielke. Na podstawie danych International Disaster Database wyliczył on, że w ciągu ostatnich 100 lat roczna liczba zgonów związanych z klimatem zmniejszyła się o ponad 97 proc. W latach 20. XX w. średnio ginęło ok. 485 tys. osób rocznie, w latach 2010–2019 średnia wyniosła niespełna 11 tys. zgonów. Od 2020 do 2025 r. odnotowano 11 967 śmierci z powodu katastrof związanych z klimatem. W 2025 r. było ich 8329.

„Każda z 11 957 osób, które zginęły w latach 20. XXI w. w wyniku katastrof klimatycznych, to tragedia. Ważne jest jednak zachowanie proporcji. Dla porównania: w samej Japonii szacuje się, że ok. 19 tys. osób rocznie, głównie starszych, umiera w wannach – najczęściej w wyniku utonięcia" – komentuje pracę Pielkego Bjørn Lomborg.

W TĘ CZY WE W TĘ

Klimatyczny denializm, Trump nie wierzy w naukę – komentarze na temat opublikowanego w zeszłym roku raportu Departamentu Energii USA (DoE) były tyleż ostre, co całkowicie przewidywalne. Orange Man nie zna się na niczym i chce zniszczyć świat – toć wie to każdy mądry człowiek. No i czego się można spodziewać po DoE, instytucji, którą zarządza związany przez wiele lat z branżą energetyczną Chris Wright? – pytały lewicowe media. By zrobić z niego wariata, przypominano, jak w 2019 r., gdy był prezesem Liberty Energy, wypił płyn do szczelinowania hydraulicznego, używany podczas wydobycia gazu łupkowego. Chciał w ten sposób udowodnić, że stosowana przez jego firmę technologia jest bezpieczna. Cóż, on przynajmniej pokazał, że naprawdę wierzy w to, co mówi.

> Czempioni postępu, przekonani, że zbudują swoje polityczne kariery na klimatycznej histerii, nie są już tego tak pewni. Rozgoryczony Rafał Trzaskowski zmarznięty i przygaszony walczy z zimą, której przecież miało już nigdy nie być

Nie bacząc na ostrzeżenia, przyjrzyjmy się więc temu dokumentowi. Raport zawiera przegląd ustaleń naukowych i „obszarów niepewności" dotyczących wpływu spowodowanego przez człowieka wzrostu emisji gazów cieplarnianych na klimat Stanów Zjednoczonych, a także skutków tych zmian w odniesieniu do „dobrostanu społecznego".

Autorzy (utytułowani, współpracujący z najlepszymi ośrodkami naukowymi klimatolodzy, meteorolodzy i ekonomiści, których i tak szufladkuje się jako „denialistów klimatycznych") przekonują, że wykorzystywane obecnie globalne modele nie dostarczają jednoznacznych wskazówek w sprawie skali reakcji klimatu na wzrost stężenia dwutlenku węgla w atmosferze. Trudno np. za jednoznaczną wskazówkę uznać scenariusze Międzynarodowego Zespołu ds. Zmian Klimatu, które przewidują, że przy podwojeniu ilości CO_2 w atmosferze do 2100 r. temperatura wzrośnie od 1,8 do 5,7 st. Celsjusza. Te cztery stopnie w tę czy we w tę to jednak dość istotna różnica – zauważają.

„Modele klimatyczne zazwyczaj »przegrzewają« symulację klimatu, pokazując zbyt duże ocieplenie przy powierzchni, a także w dolnej i środkowej troposferze. Połączenie nadmiernie czułych modeli z mało wiarygodnymi, skrajnymi scenariuszami przyszłych emisji prowadzi do zawyżonych prognoz przyszłego ocieplenia" – czytamy w raporcie Departamentu Energii USA.

Uczeni podważają także klimatyczny dogmat, że za ocieplenie odpowiada wyłącznie ten wstrętny człowiek, dowodząc, że wkład wnoszony weń choćby przez aktywność Słońca „może być niedoszacowany". Co więcej, przekonują, iż „większość ekstremalnych zjawisk pogodowych w USA nie wykazuje długoterminowych trendów", a za pożary amerykańskich lasów winy nie ponosimy wyłącznie my, złoczyńcy jeżdżący samochodami na benzynę i jedzący mięso, lecz także idiotyczna, skupiona na „zachowaniu stanu naturalnego" gospodarka leśna. Obumarłe, suche drzewa, których nie można wyciąć, „bo przyroda", palą się szybciej niż te żywe.



NOWOŚĆ!
PRENUMERATA PRZEZ InPost
Zamów już dziś prenumeratę przez Paczkomat!
prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

CO ZYSKUJESZ DODATKOWO?
Dostęp do e-prenumeraty SIECI
- teraz możesz czytać wygodnie na telefonie lub komputerze

eprasa.pl e84c291d09



Fot. WOJCIECH STROZYK/REPORTER

„Twierdzenia o wzroście częstotliwości lub intensywności huraganów, tornad, powodzi czy susz nie znajdują potwierdzenia w historycznych danych z USA" – dowodzą na podstawie twardych danych autorzy raportu DoE. Inne herezje? Proszę bardzo. Potwierdzona niedawno odbudowa Wielkiej Rafy Koralowej sugeruje, że spadek zasadowości oceanów wywoływany przez zwiększone emisje CO_2 nie jest dla niej tak jednoznacznie niekorzystny, jak do niedawna sądzono. Globalny poziom mórz wzrósł od 1900 r. o ok. 20 cm, jednak występują znaczne różnice regionalne, wynikające głównie z lokalnego osiadania lądu. Dwutlenek węgla, którego stężenie ze wszystkich sił staramy się zahamować, przyczynia się do „zazieleniania" planety i zwiększenia wydajności rolnictwa. I tak dalej.

„Zarówno modele, jak i doświadczenia empiryczne sugerują, że ocieplenie wywołane przez CO_2 może być gospodarczo mniej szkodliwe, niż powszechnie się uważa, a nadmiernie restrykcyjne polityki redukcyjne mogą przynieść więcej szkód niż korzyści" – stwierdzają naukowcy. „Szacunki tzw. społecznego kosztu emisji dwutlenku węgla mające na celu wycenę ekonomicznych strat wynikających z emisji CO_2 są silnie uzależnione od przyjętych założeń, przez co dostarczają ograniczonej informacji" – zauważają oczywisty fakt naukowcy z zespołu powołanego przez Wrighta.

I puentują: „Działania polityczne podejmowane przez Stany Zjednoczone mają bezpośrednio niewykrywalnie mały wpływ na globalny klimat, a ewentualne efekty pojawią się dopiero po długim czasie".

Dlatego administracja Trumpa porzuciła dotychczasową politykę klimatyczną, a w styczniu wycofała się z członkostwa w 66 organizacjach międzynarodowych, z których wiele ma za zadanie „walkę o klimat". „Wiele z tych organizacji promuje radykalną politykę klimatyczną, globalne zarządzanie i programy ideologiczne, które są sprzeczne z suwerennością i siłą gospodarczą Stanów Zjednoczonych" – podano w komunikacie amerykańskiego rządu. Na liście znalazły się m.in. Międzyrządowy Zespół ds. Zmian Klimatu (IPCC), Międzynarodowa Unia Ochrony Przyrody (IUCN) oraz Ramowa Konwencja Narodów Zjednoczonych w sprawie Zmian Klimatu (UNFCCC).

Amerykanie mogą chyba powiedzieć: na szczęście.

CZEMPIONI WALCZĄ Z ZIMĄ

W ślad za Trumpem idzie biznes. Dobitnym dowodem na to – poza kolejnymi wystąpieniami liderów globalnych korporacji – jest rekordowy odpływ kapitału z „zielonych" inwestycji. W 2025 r. z funduszy inwestycyjnych deklarujących cele ESG (czyli m.in. uwzględnianie kwestii środowiskowych podczas podejmowania decyzji o lokowaniu środków) uciekło łącznie ok. 84 mld dol.

Kolano uginają politycy – także ci, którzy nienawidzą Trumpa, jak liberalny premier Kanady Mark Carney. W listopadzie 2025 r. zatwierdził on umowę z prowincją Alberta w sprawie budowy nowego rurociągu naftowego, rezygnując jednocześnie z wprowadzonego przez Justina Trudeau limitu emisji dla sektora naftowo-gazowego. Już wcześniej zdecydował zaś o zniesieniu podatku węglowego dla osób fizycznych.

Poddają się nawet Niemcy, śniący dotąd, że zbudują swoją IV Rzeszę na zielonej energii. „Nie można wyłączyć wszystkiego na chybił trafił, mając nadzieję, że kiedyś będziemy czerpać niezbędną energię z wiatru i słońca" – stwierdził kanclerz Friedrich Merz i ogłosił rewizję niesławnej Energiewende Angeli Merkel. Chce ograniczenia rozwoju drogich i niestabilnych OZE (np. wiatraków), zatrzymania procesu wygaszania kopalń węgla, zapowiedział też szybką budowę nowych elektrowni gazowych. Przebąkuje się nawet, że może jednak warto by było uruchomić zamknięte kretyńską decyzją Merkel elektrownie atomowe.

Czempioni postępu – przekonani, że zbudują swoje polityczne kariery na klimatycznej histerii, nie są już tego tak pewni. A może nawet wiedzą, że właśnie m.in. przez udział w tym świeckim, wymagającym krwawych ofiar kulcie (złożono je z gospodarki Zachodu, wolności wyrażania opinii i badań naukowych i zdrowia psychicznego dzieciaków, atakowanych wizjami zagłady) kariery te przegrali.

W licznej grupie takich byłych liderów poczesne – zwłaszcza z naszego punktu widzenia –miejsce zajmuje oczywiście przywoływany na początku tego tekstu Rafał Trzaskowski. Jeszcze nie tak dawno szef rozmaitych zielonych komisji, ambasador paktu klimatycznego i bywalec spotkań najbardziej postępowych z postępowych burmistrzów, kreślących z ustami pełnymi frazesów nowy światowy ład, dziś publicznie wyraża żal, że był zbyt lewicowy, zbyt zielony na prezydenta Polski.

Rozgoryczeniu Trzaskowskiego nie ma co się dziwić. Zamiast przyjmować koronowane głowy i wygłaszać orędzia do narodu, zmarznięty i przygaszony walczy z zimą, której przecież miało już nigdy nie być. To nierówna walka, zawodzą bowiem ludzie i cudowne maszyny. W Warszawie kursuje 200 autobusów elektrycznych, wkrótce takich „elektryków" ma być dwa razy więcej. Kiedy zrobiło się zimno, zasięg tych cacek spadł o 30 proc. Trzeba je częściej ładować albo po prostu odstawiać do bazy na regenerację.

„Na szczęście odpaliły wszystkie diesle" – cieszył się w rozmowie z „Gazetą Wyborczą" jeden z urzędników Trzaskowskiego. Na szczęście.

eprasa.pl e84c291d09

Konflikt w rodzinie

W Konfederacji się kłócą – to główny komunikat, który opinia publiczna od dłuższego czasu słyszy na temat tej partii. Wprawdzie jej politycy zapewniają o zgodnej współpracy liderów, ale innych wiadomości z Konfederacji ostatnio nie ma. Istnieje tylko jeden przekaz – Sławomir Mentzen i Krzysztof Bosak są pokłóceni i nie potrafią się porozumieć



PIOTR GURSZTYN

To, co ostatnio dzieje się w Krakowie, stanowi polityczną gratkę dla całej opozycji. Prezydent drugiego co do wielkości miasta w Polsce Aleksander Miszalski w błyskawicznym tempie stał się politykiem niepopularnym, a na dodatek groteskowym. Człowiek-mem – jak piszą o nim media relacjonujące sytuację w Krakowie. Stał się łatwym celem, atakowanym nie tylko przez prawicę, lecz także lokalnych samorządowców i niezwiązane z partiami środowiska mieszkańców Krakowa. Na dodatek Miszalski to ważny reprezentant Koalicji Obywatelskiej, którego w czasie kampanii samorządowej mocno wsparł Donald Tusk.

27 stycznia zaczęto zbierać podpisy za referendum w sprawie jego odwołania. Akcja jest dynamiczna i popierana przez różnorodne siły społeczne i polityczne. Odwołanie niepopularnego Miszalskiego jest całkiem realne, co dałoby wszystkim przeciwnikom rządu spektakularny sukces o znaczeniu ogólnokrajowym. Nic dziwnego, że w inicjatywę od razu zaangażowali się małopolscy politycy Prawa i Sprawiedliwości. Równie aktywnie wsparli ją działacze Konfederacji. Ale nie całej – tylko ci z Ruchu Narodowego kierowanego przez Krzysztofa Bosaka. Druga część Konfederacji – ludzie z Nowej Nadziei

Fot. Liudmyla Skwarczyńska

eprasa.pl e84c291d09

Sławomira Mentzena – przez cztery dni stali z boku. Dołączyli dopiero wtedy, gdy zrobił się szum, że dystansują się od referendum.

Dzisiaj atakują Miszalskiego tak samo ostro jak wszyscy jego przeciwnicy. Ale zwłoka została zauważona, bo nie była przypadkowa. Na samym początku konfederaccy zwolennicy referendum wystąpili pod szyldem całej partii. Potem – jak informowała „Interia" – przedstawiciele Nowej Nadziei zażądali usunięcia wspólnego szyldu Konfederacji. Od tego momentu przez pewien czas był tylko szyld Ruchu Narodowego.

Oficjalną przyczyną zwłoki miało być to, że Konfederacja stanowi porozumienie dwóch podmiotów i oba muszą się zgodzić na wykorzystanie wspólnej nazwy. Ale w innych zdarzeniach nie pojawiało się takie uzasadnienie. Silniejsza część Konfederacji – Nowa Nadzieja Mentzena – podejmowała różne inicjatywy, nie pytając o zgodę, ani nawet nie informując tej drugiej, czyli RN Bosaka. Dość szybko wyszła zresztą na jaw przyczyna początkowego zdystansowania się ludzi Mentzena od referendum uderzającego w Koalicję Obywatelską. Przyczyną były pieniądze – 12 mln zł subwencji budżetowej. Sprawa ich przyznania trafiła do Sądu Najwyższego po tym, jak sprawozdanie Konfederacji zostało odrzucone przez Państwową Komisję Wyborczą. SN może orzec korzystnie dla Konfederacji, ale minister finansów Andrzej Domański już raz – w przypadku PiS – zlekceważył stanowisko tego sądu i zablokował pieniądze. Według doniesień płynących z Konfederacji Mentzen przestraszył się tej wizji. Na dodatek ma inne priorytety. Więcej emocji wkładał w atakowanie PiS niż rządu Tuska – czyli odwrotnie niż Bosak.

RÓŻNE RACJE I WRAŻLIWOŚCI

Rzekoma obopólna zgoda Nowej Nadziei i Ruchu Narodowego nie zadziałała w przypadku powołania Wojciecha Machulskiego na stanowisko wspólnego rzecznika prasowego całej Konfederacji. To młody, zaledwie 22-letni, bardzo bliski współpracownik Mentzena. Nieźle daje sobie radę w mediach, ale ciągnie się za nim pamięć o wypowiedzi takiej jak ta, że Leszek Miller był lepszym premierem niż Mateusz Morawiecki. Nie słychać było głośnych protestów przeciw tej nominacji ze strony Bosaka i Ruchu Narodowego, ale pozostaje pewne, że nie jest to kandydatura, która uwzględnia racje i wrażliwość drugiego filaru Konfederacji.

Niedawno Machulski w mocno korwinowskim stylu obwieścił, że Konfederacja chce ciąć różne świadczenia społeczne. W ustach przedstawiciela opozycji to mało pragmatyczna deklaracja, skierowana tylko do wąskiej grupy wyborców i przy okazji kolidująca z poglądami Bosaka, który akcentuje politykę prorodzinną.

> Konfederacja miała być świeża, antysystemowa, nieuwikłana w brudy partyjnej polityki. Teraz widać, że ma te same wady, co stare partie (ale nie posiada ich atutów). Czyli zaczęła się psuć, zanim dojrzała

„Konflikt jest wtedy, kiedy ktoś się kłóci. Kontakt jest częsty, jest serdeczny" – zarzekał się w wywiadzie telewizyjnym szef klubu parlamentarnego Konfederacji Grzegorz Płaczek. Ale jednocześnie dodał asekuracyjnie, że nie zna kalendarza liderów, czyli Mentzena i Bosaka, jeśli chodzi o ów „częsty" kontakt. Przy okazji trzeba zaznaczyć, że Płaczek wywodzi się z Nowej Nadziei, więc nie będzie przecież wywlekał brudów, które najbardziej obciążyłyby jego szefa, czyli Sławomira Mentzena.

Mimo oficjalnego przekazu o niemal braterskiej miłości wszyscy politycy Konfederacji są teraz wypytywani o podziały w ich partii. Próbują wyciszać konflikt, by rzeczywiście nie doszło do żadnych publicznych awantur. Jednak problemu braku komunikacji nie da się ukryć. Wyszedł na jaw w przypadku referendum w Krakowie, ale nie jest to sprawa nowa, bo przecież cała Polska widziała zdumioną minę Bosaka, gdy dowiedział się o osławionym piwie w pubie Mentzena, gdzie została ugoszczona czołówka Koalicji Obywatelskiej.

Podziały wewnętrzne od dłuższego czasu odbijają się na kondycji całego ugrupowania. Konfederacja – inaczej niż w pierwszych miesiącach zeszłego roku – nie jest już atrakcyjną panną na wydaniu. Nikt się do niej nie przymila. Traci też walor recenzenta innych sił politycznych, wprawdzie przemądrzałego, ale niekiedy trafnie punktującego słabości przeciwników i konkurentów. Na dodatek był to recenzent, który zdawał się wolny od przypadłości, na które cierpią inne partie. Konfederacja miała być świeża, antysystemowa, nieuwikłana w brudy partyjnej polityki. Teraz widać, że nie dość, że nie jest skuteczna, bo nigdy nigdzie nie rządziła, to ma te same wady, co stare partie (ale nie posiada ich atutów). Czyli zaczęła się psuć, zanim dojrzała.

Dodajmy sprawę, o której wspominaliśmy, czyli utratę finansowania budżetowego. To też bardzo ważny powód wewnętrznego konfliktu, bo za partyjne finanse odpowiadał człowiek Mentzena – Roman Łazarski. Wprawdzie Mentzen pozbył się go kilka tygodni temu, ale długo go bronił. Na dodatek lider Nowej Nadziei mówił wcześniej, aby nikt – a zwłaszcza Ruch Narodowy – nie wtrącał się do partyjnych finansów, bo on przypilnuje ich najlepiej. Skutek znamy. Błędy Łazarskiego były kompromitujące, co ośmieszyło zarówno Mentzena (jako doradcę podatkowego), jak i całą Konfederację, bo przecież prezentowała się wraz ze swoim liderem jako najbardziej prorozwojowa z polskich partii.

SONDAŻOWY ZJAZD

Do tego dochodzą spadające sondaże Konfederacji. Zamierzchłą przeszłością zdaje się marzec ub.r., gdy notowania partii przekraczały 20 proc. Dzisiaj musi się ścigać z dużo młodszą partią Grzegorza Brauna, którego Mentzen

Autopromocja

eprasa.pl e84c291d09

wypchnął z Konfederacji. I jeżeli kogoś obciążać odpowiedzialnością za spadające sondaże, to przecież nie Bosaka ani nikogo innego, gdyż najważniejsze decyzje podejmuje Mentzen.

Pewne zaniepokojenie w konfederackich szeregach wywołał detal ze styczniowego sondażu CBOS. W grupie najmłodszych wyborców w wieku 18–24 lata Konfederacja spadła na szóste miejsce! Uzyskała tylko 5 proc. poparcia, wyprzedzona przez Razem, PiS, KO, Lewicę i KKP Brauna. Czy to błąd sondażowni? Tak się pocieszają sympatycy Konfederacji, wskazując na to, że w poprzednich miesiącach dominowała w tej grupie (w grudniu 29 proc. i pierwsze miejsce). CBOS na pewno był informowany o tej anomalii. Nie zmienił jednak danych i tabela z szokującym wynikiem nadal wisi na stronie internetowej centrum.

Trzeba będzie poczekać na następne comiesięczne sondaże, aby ocenić styczniowy wynik. Jest bowiem możliwe, że nastąpił jakiś błąd w sztuce wynikający z małej próby w tej grupie wiekowej. Ale może to symptom nowego trendu. Najmłodszych wyborców należy potraktować jako papierek lakmusowy. Oni jeszcze nie zdążyli się na kimś zawieść ani obrazić się na kogoś, na kogo już głosowali. Może ich sposób wyboru politycznego faworyta nie jest zbyt przemyślany, lecz na pewno bardziej spontaniczny niż w starszych grupach wiekowych. Nie chodzi tu o wartościowanie żadnej z grup wiekowych, ale dla obserwatora sceny politycznej to ważny znak, co wydaje się w danym momencie najbardziej atrakcyjne, czy wręcz modne.

CZAR PRYSŁ

Wbrew stereotypowym wyobrażeniom Sławomir Mentzen nie jest już szczególnie popularny wśród najmłodszych roczników wyborców. Jego czar mija, co widać m.in. po internetowych żartach z niego. Często niewybrednych, wręcz wulgarnych, gdy za pomocą AI jest karykaturalnie przerabiany. To się zdarza każdemu politykowi, ale w przypadku lidera Nowej Nadziei wyczuwa się jakąś szczególnie negatywną emocję drwiących z niego internautów. Jakby przejaw mocnego rozczarowania.

To, co jeszcze kilka miesięcy było w jego wykonaniu „fajne", teraz jest odbierane jako żenujące – np. ostatni wyjazd bożonarodzeniowy do Dubaju. Kilkanaście miesięcy temu najmłodsi wyborcy traktowaliby to jako wzorzec, do którego aspirują, bo mają nadzieję, że dzięki receptom Konfederacji ich też będzie stać na takie wyjazdy. Dzisiaj jest to odbierane jako oderwanie się politycznego „tłustego kota" od realiów życia młodych Polaków, którzy nie mają i nie będą mieli pieniędzy na podobne eskapady. À propos „tłustych kotów" – pulchna fizjonomia Mentzena jeszcze niedawno nikomu nie przeszkadzała, a dzisiaj jest powodem do owych wyżej wspomnianych niewybrednych drwin.

Najmłodsze pokolenie wyborców jest szczególnie ważne dla Konfederacji, bo tylko ono dawało jej możliwość wzrostu. Od dawna nie ma przepływu starszych wyborców z elektoratów innych partii. A inne niedawne badanie potwierdza, że urok Mentzena przemija. To sondaż SW Research z pytaniem, którego polityka Polacy najchętniej zaprosiliby do stołu wigilijnego. W najmłodszej grupie Mentzen był trzeci po Adrianie Zandbergu i Karolu Nawrockim. W grupie 24–34 lata był drugi, ale wyraźnie przegrał z Nawrockim (10,9 do 17,5 proc.). W grupie 35–49 lat w ogóle wypadł z pierwszej piątki, przegrywając także z Braunem. Jako czwarty wrócił w grupie 50+, ale ze słabym wynikiem – 3,3 proc. Prezydent Nawrocki był pierwszy we wszystkich grupach z wyjątkiem najmłodszych i to chyba on zaczyna być kłopotem Mentzena, bo dla wielu prawicowców stał się „nową nadzieją", większą niż partia polityka z Torunia.

Wróćmy do Krzysztofa Bosaka. Wygląda na to, że coraz mniej ogląda się na Mentzena. Ma wiele powodów, bo Mentzen nie oglądał się na niego. Większość komentatorów przeoczyła zdarzenie sprzed kilku tygodni, gdy z wizytą do Warszawy przybył prezydent Ukrainy. Nowa Nadzieja urządziła wtedy hałaśliwą antyukraińską pikietę. Przedstawiła tam „pięć punktów", na których miała bazować polityka Konfederacji wobec Ukrainy. Oczywiście były one mało przyjazne wobec naszego południowo-wschodniego sąsiada. I co ciekawe, mocno odciął się od nich Bosak, skądinąd nieobecny na pikiecie. Odciął się nie tylko dlatego, że ma inny pogląd w tej kwestii, ale przede wszystkim z tego powodu, że nikt nie ustalał tego z nim i Ruchem Narodowym.

W tym świetle należy interpretować ostatnią ostrą wypowiedź Bosaka na temat Brauna, gdy mówił o środowiskach „wariackich i „agenturalnych" w Konfederacji Korony Polskiej. To wypowiedź całkowicie w stylu narracji Jarosława Kaczyńskiego, a do tej pory lider Ruchu Narodowego pilnie się strzegł, aby nie dawać powodów do takich porównań. Oczywiście KKP Brauna to zagrożenie także dla Konfederacji (zarówno dla Ruchu Narodowego, jak i Nowej Nadziei), ale rzecz w nieoczekiwanej stylistyce. Bo przecież jeszcze niedawno Bosak stanowczo odcinał się od pochwał, jakie pod jego adresem wypowiadał prezes PiS. Lider RN jest znany z tego, że starannie formułuje swoje komunikaty. Można być pewnym, że w świadomy, wręcz wyrachowany sposób sformułował ocenę Brauna.

Pakiet kontrolny w Konfederacji nadal ma Sławomir Mentzen. Będzie to szczególnie ważne w momencie układania list wyborczych. W wyborach parlamentarnych w 2023 r. i europejskich w 2024 r. Mentzen nie był zbyt szczodry – eufemistycznie to ujmując – dla kandydatów Ruchu Narodowego. Wtedy mu to się udało. Dzisiaj Bosak i jego środowisko są mądrzejsi o tamte niezbyt miłe doświadczenia.

Ta wiedza jest już atutem Bosaka w ewentualnej przepychance z Mentzenem. Ale są jeszcze dwa ważniejsze: Bosak ma dokąd pójść. Co więcej, to nie on, lecz Mentzen odpowiada za wszystkie obecne kłopoty Konfederacji.



NOWOŚĆ!
PRENUMERATA SIECI PRZEZ InPost

Zamów na: prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

CO ZYSKUJESZ?
Tygodnik SIECI odbierasz **już w poniedziałek** ze swojego paczkomatu
Możesz go zmienić na inny np. na czas urlopu

eprasa.pl e84c291d09

Kłócąca się z Tuskiem

Wybór Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz na przewodniczącą Polski 2050 nie zakończył konfliktów, a dla premiera może oznaczać wielkie kłopoty



Fot. Andrzej Wiktor, Ludmyla Skwarczyńska



STANISŁAW JANECKI

31 stycznia 2026 r. Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz została wybrana na przewodniczącą Polski 2050. 3 lutego spotkał się z nią założyciel partii Szymon Hołownia i na platformie X udostępnił wspólne zdjęcie ze spotkania z komentarzem: „Dzięki za świetną rozmowę! Polska 2050 jest bezpieczna w Twoich rękach. Działamy!”.

Już 3 lutego nowa przewodnicząca wskazała swoich zastępców: poseł Ewę Schädler i wojewodę zachodniopomorskiego Adama Rudawskiego. W zarządzie pozostali też jej sprzymierzeńcy: skarbnik Łukasz Osmalak, szef klubu Paweł Śliz oraz sekretarz generalny Robert Sitnik. O obsadzie pozostałych stanowisk w zarządzie zdecyduje Rada Krajowa.

Wybór Pełczyńskiej-Nałęcz ucieszył Szymona Hołownię, mimo że spekulowano, jakoby już nie stanowili tandemu. Zmartwiłoby go natomiast zwycięstwo Pauliny Hennig-Kloski, bo ta ponoć deklarowała kolegom, że wokół założyciela partii trzeba zbudować kordon sanitarny. To, iż widzi go jako wicepremiera, wynika wyłącznie z chęci osłabienia rywalki.

Zarówno ta, która zwyciężyła, jak i ta przegrana deklarują, że partia się nie rozpadnie i będzie mocnym ogniwem rządzącej koalicji, pracując na jej rzecz aż do wyborów parlamentarnych jesienią 2027 r. Tyle że w polityce jest tak, iż prawdziwe intencje i plany bardzo rzadko są ujawniane. Nie dziwi zatem wręcz przesadne podkreślanie jedności i wierności koalicji.

Nowa przewodnicząca zachęca w ten sposób premiera Donalda Tuska, by wreszcie powierzył jej stanowisko wicepremiera, na które czeka od lipca 2025 r. Ale szef rządu nie zamierza się z tym spieszyć, a raczej w ogóle nie widzi jej w tej roli. Wzmocniona w rządzie byłaby dla niego nie do opanowania. Eurodeputowany Michał Szczerba nie był więc zupełnie oderwany od rzeczywistości, gdy stwierdził, iż żadnego nowego wicepremiera nie będzie. A to potwierdza sytuację, iż Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz praktycznie została zepchnięta do roli, w której od dwóch lat widzi ją Tusk: obcego ciała w jego rządzie i największego zagrożenia dla trwałości tego gabinetu.

Gdyby wygrała Hennig-Kloska, podałaby premierowi Polskę 2050 na tacy. Ale nie wygrała i prezentu nie będzie. A o tym, jakie okażą się dalekosiężne konsekwencje wyboru Pełczyńskiej-Nałęcz, zdecyduje to, kim właściwie ona jest.

„BOMBA” W RZĄDZIE

Nie wygląda na to, żeby Donald Tusk dobrze się orientował, kogo Szymon Hołownia umieścił w jego w rządzie. Ale już po kilku tygodniach uznał,

01/0126/F/ZAL

eprasa.pl e84c291d09

że ma w swoim gabinecie „bombę". Dlatego prewencyjnie przyjął wrogą postawę wobec niej. To tłumaczy, dlaczego przez wiele miesięcy odmawiał spotkania z nią i nigdy nie zadeklarował, że uczyni ją wicepremierem. Ale to wcale nie oznacza, że Tusk wygrał z Pełczyńską-Nałęcz. Tym bardziej że to ona się wzmocniła w stosunku do szefa rządu i dopiero teraz może pokazać pazurki. Nic nie zostało wyjaśnione, zażegnane ani przesądzone, więc premier i rządząca koalicja dopiero teraz mogą wpaść w prawdziwe kłopoty.

Zanim dokonano wyboru przewodniczącej, partia przeszła takie turbulencje, jak chyba żadna inna w Polsce po 1989 r. Była próba puczu, wzajemne ataki wpływowych partyjnych polityków, publiczne pranie brudów. I straszenie przez założyciela Szymona Hołownię, że odejdzie z partii – raczej taktyczne niż rzeczywiste. Strach wzbudzała wizja, że Hołownia wyprowadzi Polskę 2050 z rządzącej koalicji z grupą 15–16 posłów. I głównie to miało zdecydować o wygranej Pełczyńskiej-Nałęcz. Bo Hołownia łączył czarne wizje z wygraną Pauliny Hennig-Kloski.

Tydzień przed wyborami media dostały kontrolowany przeciek, że minister kultury Marta Cienkowska oraz minister do spraw społeczeństwa obywatelskiego Adriana Porowska uczestniczyły w próbie storpedowania wyborów w Polsce 2050. Na zamkniętym czacie Cienkowska pisała o „planowanym przewrocie" i postulowała, by „jeb...ć przychylne media", bo „przynajmniej pokażemy jaja". Adriana Porowska zaś proponowała, by obwołać Szymona Hołownię królem w partii. Hołownia najpierw się rytualnie oburzył, a później zagroził, że jeśli „dojdzie do prywatyzacji ugrupowania przez jedną z frakcji", opuści Polskę 2050.

Sytuacja w klubie Polski 2050 zrobiła się taka, że reprezentanci skłóconych frakcji nie podawali sobie rąk, a niektórzy nawet nie mówili: „Dzień dobry". Paweł Śliz, przewodniczący Klubu Parlamentarnego Polska 2050, stwierdził po wyborze, że „będzie wspierał nową przewodniczącą w scaleniu partii". Ale w tym czasie padły też deklaracje, że nie trzeba nic scalać, bo żadna frakcja nie wyjdzie, a nawet nie będzie się buntowała. Cytując klasyka (Radosława Sikorskiego), deklaracje obowiązują tylko tych, którzy w nie wierzą.

Pełczyńska-Nałęcz otrzymała od partii rekomendację na „należne" Polsce 2050 – po ustąpieniu Hołowni z funkcji marszałka – stanowisko wicepremiera, ale tylko przewagą dwóch głosów. Wykorzystali to jej przeciwnicy z Pauliną Hennig-Kloską i Ryszardem Petru na czele. To im przypisuje się rozpowszechnianie w partii teorii spiskowej, że wskazanie Pełczyńskiej-Nałęcz to prowokacja wobec Tuska. Zaczęto jej przyczepiać gębę osoby niezdolnej do kompromisu i mówić, iż jej „konfrontacyjna linia wykończy rządzącą koalicję".

REKLAMA



Gdyby została wicepremierem, byłaby pierwszą kobietą na takim stanowisku za obecnych rządów, co Tuskowi bardzo by utrudniało jej odwołanie w przyszłości. Przecież można by mówić, że to spisek mężczyzn. Zaczęto więc porównywać Pełczyńską-Nałęcz do Jarosława Gowina, który ponad dekadę wcześniej porzucił Platformę Obywatelską dla sojuszu ze zmierzającym do władzy PiS.

Zwolennicy Hennig-Kloski twierdzą, że minister funduszy – podobnie jak Szymon Hołownia – obstawia, iż obecna koalicja przegra wybory w 2027 r., więc trzeba mieć scenariusz przejścia na drugą stronę. W programie Onetu „Co mówi Polska" Pełczyńska-Nałęcz domagała się dotrzymania umowy przez Donalda Tuska i Koalicję Obywatelską, skoro Polska 2050 wywiązała się ze wszystkich zobowiązań. Jej zdaniem „rządząca koalicja to nie jest rodzina czy jakieś towarzystwo wzajemnej adoracji". Nie wie, czy premier ją ignoruje. Nie wie, czy premier ją lubi, czy nie. Tłumaczyła: „Stanęłam do debaty z byłym premierem Morawieckim, z panem Bosakiem. Niektórym to się nie podobało, ale ja uważam, że trzeba debatować z oponentami, ludźmi myślącymi inaczej, także z szacunku dla ich koalicjantów. Debata publiczna nigdy nie jest za niczyimi plecami i ponad niczyimi głowami. Na pewno nikt mi nie będzie mówił, że mam nie prowadzić dialogu. […] Bardzo szanuję pana ministra Sikorskiego za prowadzoną przez niego politykę zagraniczną, ale ja pić piwa z Konfederacją nie będę".

Pełczyńska-Nałęcz nie uważa też, że spotkanie Szymona Hołowni w mieszkaniu Adama Bielana „było poza jakimiś plecami. Uważam, że dialog jest dobry, rozmowa jest dobra i nikt mi nie będzie mówił, z kim mam rozmawiać, a z kim nie". Uważa też, że „choć prezydent Trump nikogo nie traktuje po partnersku, to dialog między prezydentem Nawrockim a nim jest, działa. […] I to jest dla nas cenne".

ROSYJSKI KONTEKST

Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz, doktor socjologii, przed tym, jak w grudniu 2023 r. została ministrem funduszy i polityki regionalnej, w latach 2012–2014 była podsekretarzem stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, a w latach 2014–2016 pełniła funkcję ambasadora RP w Federacji Rosyjskiej. Przez wiele lat była związana z Ośrodkiem Studiów Wschodnich, uznawano ją za ekspertkę do spraw Rosji. A przed wejściem do rządu kierowała Instytutem Strategie 2050, czyli zapleczem eksperckim ruchu Polska 2050.

Najwięcej emocji budzi stosunek Pełczyńskiej-Nałęcz do Rosji. Także dlatego, że jej matka była Rosjanką, ale przede wszystkim z powodu jej zaangażowania w politykę resetu z Rosją. W 2013 r. głosiła tezę, że stosunki polsko-rosyjskie są w najlepszym punkcie we wspólnej kilkusetletniej historii. W marcu 2014 r. mimo napaści Rosji na Krym polskie resorty – spraw zagranicznych i kultury – informowały, że trwają przygotowania do obchodów Roku Polski w Rosji i Roku Rosji w Polsce w 2015 r. I to właśnie Pełczyńska-Nałęcz miała być główną zwolenniczką takiego podejścia. W programie „Co mówi Polska" stwierdziła: „Pracowałam jako ambasador Rzeczypospolitej w Moskwie, a nie w Moskwie na rzecz reżimu Putina, tylko na rzecz państwa polskiego". Ambasadorem była dwa lata, a wróciła nie dlatego, że ją ktoś odwołał, tylko z tego powodu, że miała taką umowę z ministrem Sikorskim – jedzie na 2–2,5 roku. „Zdecydowanie twardo po 2014 r. sprzeciwiałam się resetowi z Rosją. Dostawałam instrukcje z centrali, żeby jednoczyć cały europejski, NATO-wski korpus dyplomatyczny w budowaniu twardej, sankcyjnej pozycji wobec Rosji. […] Bezpieczeństwo Polski było i jest najwyższą wartością i nie było i nie ma złudzeń, że trzeba stawiać opór i powstrzymywać Rosję, a nie z nią współpracować".

Pełczyńska-Nałęcz przyznaje: „Moja świętej pamięci mama rzeczywiście urodziła się w Związku Radzieckim. Jednak zdecydowaną większość życia przeżyła w Polsce. Ja jestem Polką, mam polskie obywatelstwo i tu nie ma żadnego na półrosyjskiego serca". Za swoją zasługę uważa to, że podnosi „sprawę rosyjskich obozów koncentracyjnych". Mówi: „Jeżeli pan prezydent [Karol Nawrocki] zechciałby o tym powiedzieć Amerykanom, to...". Twierdzi, że „Ukraina się broni przed Rosją, a Rosja jest zagrożeniem dla Polski. […] Nasi niektórzy politycy, np. brauniści, wręcz czasem zachęcają do tego, żebyśmy się stali częścią tzw. ruskiego miru. To jest kuriozalne, antypatriotyczne i przeciwko polskiej racji stanu".

> Podobno Tusk się wścieka, że Pełczyńska-Nałęcz szantażuje go tym, iż stoi za nią 13 posłów i jeśli odejdzie, to razem z nimi. A wtedy będzie po rządzie i po sprawującej władzę koalicji

NIELUBIANA

Problemem Pełczyńskiej-Nałęcz jest to, że nigdy nie startowała w wyborach do parlamentu czy choćby do samorządu, nigdy nie poddała się powszechnej weryfikacji wyborczej. Jeszcze przed wyborami miała być jedną z największych przeciwniczek wspólnej listy wyborczej partii obecnej koalicji, co Donald Tusk zapamiętał. Podobnie jak to, że odważała mu się sprzeciwiać podczas posiedzeń rządu. A z koalicyjnymi ministrami toczyła spory – dlatego jest przez nich nielubiana. W Koalicji Obywatelskiej jest traktowana jako ta, która wewnętrznie niszczy rząd, przez którą Rafał Trzaskowski przegrał wybory prezydenckie. W dodatku po wygranej Karola Nawrockiego jednoznacznie wypowiadała się przeciw teoriom o fałszerstwach.

Podobno Tusk się wścieka, że szantażuje go tym, iż stoi za nią 13 posłów i jeśli odejdzie, to razem z nimi. A wtedy będzie po rządzie i po sprawującej władzę koalicji.

eprasa.pl e84c291d09

Turów, czyli historia sądowego bezprawia

Kolejne orzeczenie najwyższego unijnego sądu w sprawie Kopalni Węgla Brunatnego „Turów" unaocznia, jak szkodliwą instytucją w ustroju Unii Europejskiej jest TSUE





JAN ROKITA

Cztery lata po zawarciu polsko-czeskiej ugody w sprawie turoszowskiej kopalni Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej po raz kolejny skazał Polskę na 68,5 mln euro kar za to, że na rozkaz z Luksemburga nie zamknęła owej kopalni z dnia na dzień, w maju 2021 r.

Aby być precyzyjnym: sędziowie z Luksemburga potwierdzili, że ich zdaniem zawarcie tamtej międzypaństwowej ugody nie ma wpływu na kary, które Unia i tak przymusowo wyegzekwowała już na polskim rządzie – oczywiście nie na rzecz skarżącego się na nas rządu czeskiego, a na swoją.

eprasa.pl/e84c291d09


Fot. Shutterstock

To kolejne orzeczenie najwyższego unijnego sądu, które z jednej strony jest wymierzone w polskie interesy narodowe, a z drugiej – po raz nie wiedzieć który unaocznia, jak szkodliwą instytucją w ustroju Unii Europejskiej jest TSUE. Pozostaje bowiem jedyną instytucją polityczną w całej Europie – włączając w to Radę, Komisję i Parlament Europejski, jak również rządy, parlamenty i sądy krajów członkowskich – która sama przypisała sobie nieograniczoną władzę w każdej dziedzinie życia i nie podlega ani kontroli, ani apelacji.

OBRAZA PRAWA I ROZUMU

Skoro unijni sędziowie potrzebowali czterech lat, by definitywnie rozpatrzeć tę prostą sprawę, trzeba przypomnieć genezę owego procesu sądowego przeciw Polsce.

To Andrej Babiš, czeski premier, znany z uprzedzeń wobec naszego kraju (swego czasu osobiście nawoływał Czechów, by nie jedli polskiego mięsa, drobiu i jabłek), poskarżył się unijnemu sądowi, że polska kopalnia ponoć zabiera wodę z czeskiego terytorium. W odpowiedzi sławetna ówczesna wiceprezeska TSUE, Hiszpanka Rosario Silva de Lapuerta, jednoosobowo nakazała Polsce natychmiastowe zamknięcie kopalni, wyznaczając karę 500 tys. euro za każdy dzień opóźnienia owego zamknięcia.

Kilka miesięcy później władzę w Pradze objął premier Petr Fiala z konserwatywno-liberalnej partii ODS, który dość prędko – w lutym 2022 r. – dogadał się z premierem Mateuszem Morawieckim w sprawie warunków dalszego wydobycia węgla w kopalni „Turów". Komisji Europejskiej nie przeszkodziło to jednak, aby potrącić Polsce wyznaczone przez Silvę de Lapuertę kary z należnych unijnych wypłat. Gdy po czterech latach Babiš zdążył na powrót objąć władzę w Czechach, w Luksemburgu sobie przypomnieli, że trzeba oddalić polską skargę na tamtą egzekucję.

Od samego początku niemal wszystko w tej sprawie było sądowym bezprawiem. Już samo zarządzenie Silvy de Lapuerty, nakazujące zamknąć z dnia na dzień wielki zakład, od którego produkcji zależy polska energetyka oraz lokalny rynek pracy, obrażało nie tylko podstawowe zasady prawa, lecz także ludzki rozum.

Jedna z tych zasad, znana studentom pierwszego roku prawa, powiada, iż sąd powinien się kierować logicznym rozumowaniem, własną wiedzą i doświadczeniem życiowym. Jest jasne, że hiszpańska sędzia, wykorzystując swe niczym nieograniczone prawo do wydawania orzeczeń skutkujących potencjalną katastrofą ekonomiczną i społeczną regionu, ostentacyjnie zignorowała tę zasadę. A biorąc pod uwagę, że Silva de Lapuerta niemal obsesyjnie wydawała również inne nonsensowne postanowienia wobec Polski, trudno było nie nabrać podejrzenia, iż Hiszpanka musi żywić jakąś szczególniejszą idiosynkrazję do naszego kraju.

PRECEDENS W SKALI UNII

To jeden, lepiej znany u nas aspekt procesu sądowego w sprawie kopalni „Turów". Bezprawie orzeczeń zapadających w toku tego procesu ma jednak również szerszy wymiar, daleko wykraczający poza polskie interesy. Orzeczenia Silvy de Lapuerty przeciw Polsce z 2021 r. miały bowiem charakter precedensowy w ustrojowej historii Unii Europejskiej. Nigdy wcześniej bowiem żaden sąd nie posłużył się przepisem art. 279 drugiego traktatu europejskiego, aby bez merytorycznego rozpatrzenia sprawy użyć tzw. środka tymczasowego (by przywołać traktatową terminologię) w celu wymuszenia natychmiastowego zamknięcia jakiegoś biznesu, obojętnie do kogo by on należał. Nie zważając przy tym ani na katastrofę właściciela (którym w tym przypadku jest państwo), ani nawet na oczywiste dla prawnika prawa pracownicze.

Prawdę mówiąc, sam pomysł, aby „tymczasowo" w celu zabezpieczenia czyichś roszczeń nakazać z dnia na dzień zamknąć kopalnię, musi wyglądać na ponury żart, zwłaszcza dla prawnika z elementarnymi kwalifikacjami zawodowymi.

Przede wszystkim dlatego, że wszelkie orzeczenia wydawane na podstawie art. 279 traktatu muszą mieć charakter „niezbędny" i „tymczasowy", a zamknięcie kopalni jest krokiem nieproporcjonalnym i ostatecznym, a więc celowym i zamierzonym zrujnowaniem czyjegoś biznesu. Rozstrzygając sprawę definitywnie, ale pod pretekstem „środka tymczasowego", hiszpańska sędzia dopuściła się – co tu dużo mówić – oczywistego i wyjątkowo bezceremonialnego nadużycia prawa. W ten sposób mogła uniknąć wydania merytorycznego wyroku, w którym sąd musiałby w taki czy inny sposób odnieść się do społecznych i ekonomicznych argumentów podnoszonych w toku sprawy przez polski rząd. Zamiast tego stworzyła niezwykły unijny precedens, wydając po prostu arbitralny nakaz, jakby chodziło, powiedzmy, o jakieś błahe wykroczenie drogowe.

Jednak precedens jest precedensem, zwłaszcza gdy decyduje o nim sędzia najważniejszego sądu europejskiego. Od 2021 r. najrozmaitsi prawnicy czynią więc pseudoteoretyczne wysiłki, aby uzasadnić tego rodzaju nonsens i bezprawie.

POLSCY SUFLERZY

Dobrym przykładem w tej kwestii jest artykuł naukowy krakowskiej prawniczki Moniki Kawczyńskiej na temat sprawy turoszowskiej kopalni, wydany w zbiorze prac prawniczych próbujących ogólnie uzasadnić i uprawomocnić wszelkie kroki, jakie w ciągu ostatnich lat europejscy sędziowie podejmowali

Autopromocja

eprasa.pl e84c291d09

przeciw Polsce („Problem praworządności w Polsce w świetle orzecznictwa TSUE" – brzmi tytuł tego zbioru). Trzeba przyznać, że nie jest rzeczą zwyczajną, aby prawnicy jakiegoś kraju z taką zaciekłością bronili oczywistego międzynarodowego bezprawia, którego na dodatek użyto przeciw ich własnemu państwu. W moim przekonaniu tego rodzaju publikacje pozostaną trwałym znakiem naszych czasów, odbijającym zdumiewającą deprawację intelektualną i rozkład instynktu państwowego części polskiego świata prawniczego.

Orzeczenia w sprawie turoszowskiej były precedensowe jeszcze z innego, a kluczowego w tej sprawie powodu. Nigdy wcześniej bowiem żaden unijny sąd nie obwarował egzekucji tego rodzaju „środka tymczasowego" gigantycznymi karami finansowymi, które na dodatek mają być egzekwowane z funduszów europejskich, prawnie przyznanych jakiemuś państwu. „Tymczasowość" oznacza przecież stan, który na końcu procesu sądowego po przeprowadzeniu wszystkich dowodów może się okazać z gruntu niesprawiedliwy, więc nakładanie kar na suwerenne państwo w takich przypadkach jest co najmniej bardzo ryzykowne.

W przypadku kopalni „Turów" żaden sąd nie miał okazji rozpatrzyć merytorycznie racji obu stron, gdyż rządy polski i czeski względnie szybko się porozumiały i zawarły ugodę. Tym bardziej „środki tymczasowe" zarządzone tendencyjnie przeciw Polsce w 2021 r. nie mają dziś żadnego merytorycznego oparcia. Jasne zatem, że w takiej sytuacji żadne kary nie powinny być nakładane, a jeśli już doszło do ich precedensowego wyznaczenia, to po zawarciu polsko-czeskiej umowy powinny one zostać zniesione.

Jak nietrudno było jednak przypuszczać, luksemburscy koledzy Silvy de Lapuerty nie pozwolą po latach na jakiekolwiek podważenie postanowień byłej wiceszefowej TSUE, toteż obecny wyrok ma posłużyć dwóm celom. Przede wszystkim ma usankcjonować – na mocy orzeczenia najwyższego unijnego sądu – akty bezprawia, których dopuściła się hiszpańska sędzia, dziś będąca jest już na emeryturze. W przeciwnym bowiem razie Komisja Europejska musiałaby zwrócić Polsce bezzasadnie skonfiskowane fundusze, a hiszpańska sędzia mogłaby mieć polityczne kłopoty, gdyby tego rodzaju upokorzenie spadło na Brukselę z powodu jej nonsensownych prawniczo orzeczeń.

Poza tym w Brukseli, a zwłaszcza w Luksemburgu obowiązuje doktryna polityczna, wedle której żaden z kroków podejmowanych w przeszłości, by odsunąć w Polsce od władzy prawicowy rząd PiS, nie może zostać podważony, nawet jeśli z prawniczego punktu widzenia nie nadawałby się do logicznej obrony.

> Nie jest rzeczą zwyczajną, aby prawnicy z jakiegoś kraju z taką zaciekłością bronili oczywistego międzynarodowego bezprawia, którego na dodatek użyto przeciw ich własnemu państwu

SĘDZIOKRACJA

Tym jednak, na co szczególnie chciałbym zwrócić uwagę, jest bezwzględna obrona przez TSUE nieograniczonego dziś w praktyce zakresu własnej władzy, daleko rozszerzonej dzięki precedensom zastosowanym przez Silvę de Lapuertę. Bo to dzięki hiszpańskiej sędzi, która była zdeterminowana, by rozprawić się z Polską, wykorzystując nieznane dotąd Unii i prawnie niedopuszczalne sposoby, luksemburski trybunał stał się *de facto* najmocniejszą instytucją unijną, zdolną do narzucania swojej politycznej woli nie tylko samej UE, lecz także państwom członkowskim. Skoro bowiem przeciw każdemu krajowi można jednoosobowo, bez postępowania dowodowego, wydać „środek tymczasowy" i na dodatek obwarować go sankcjami, egzekwowanymi przymusowo przez Komisję Europejską, to znaczy, że to luksemburscy sędziowie (jakby paradoksalnie to nie brzmiało) są dziś kolektywnym europejskim suwerenem.

Tych 38 prawników, nieznanych opinii publicznej nawet z nazwiska, bez żadnego społecznego mandatu, dysponuje dziś w Europie władzą, jakiej nie mogłaby zdobyć nawet hipotetyczna eurodyktatura, z konieczności musząca stosować się do jakichś kompetencyjnych ograniczeń. TSUE to dziś władza na kształt antycznego areopagu z czasów sprzed demokratycznych reform Aten wprowadzonych przez Solona, która nie musi nawet uzasadniać swoich rozkazów, bo może je wydawać w trybie arbitralnych „środków tymczasowych". Do tego doprowadziły orzeczenia wydawane przeciw Polsce przez Silvę de Lapuertę, która z marginalnego, proceduralnego przepisu art. 279 drugiego traktatu europejskiego uczyniła fundament władzy politycznej sędziów nad całą Unią Europejską.

Po raz kolejny okazuje się, że bez przełamania nieograniczonej władzy luksemburskiego sądu żadna reforma instytucji unijnych nie będzie możliwa. Ale też nie dziwota, że TSUE z taką determinacją broni dziś błahej na pozór decyzji Silvy de Lapuerty o turoszowskich sankcjach nałożonych niegdyś na Polskę. Broni jej, bo prawdziwą stawką wydanego teraz w Luksemburgu orzeczenia nie są przecież owe sankcje, ale potwierdzenie politycznej hegemonii trybunału, którego gniewu ma się bać każdy kraj i każdy rząd w Europie.



NOWOŚĆ! PRENUMERATA PRZEZ InPost

Zamów na: prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

CO ZYSKUJESZ?
Płacisz mniej niż w kiosku – tylko 9,40 zł za egzemplarz (w kiosku to 13,90 zł)

eprasa.pl e84c291d09

Polska się zwija

Polacy należą do najszybciej wymierających narodów w Europie, a także na świecie. Żeby odwrócić ten proces, należy go najpierw zatrzymać. Tusk i jego ministrowie udowodnili już, że na pewno tego nie zrobią. Każdy kolejny dzień ich władzy jedynie pogłębia katastrofę demograficzną





KONRAD KOŁODZIEJSKI

Często mówi się, że gabinet Tuska nie ma żadnego programu ani planu dla Polski. To nieprawda. Jego planem jest zwijanie Polski. I to w sensie dosłownym. W styczniu tego roku w naszym kraju zlikwidowano 18 oddziałów położniczych, w większości położonych w peryferyjnych miastach powiatowych. Rząd tłumaczy tę decyzję koniecznością oszczędzania (bo jak wiadomo „piniendzy ni ma i nie będzie"). „Skoro rodzi się mniej dzieci i prowincja się wyludnia, to po co utrzymywać tam porodówki?" – pytają tuskowi spece od zaciskania pasa.

Na pozór wygląda to logicznie, ale tylko dla tych, którzy potrafią myśleć jedynie w wąskim horyzoncie czasowym. Być może dziś zaoszczędzi się parę złotych, ale długofalowe konsekwencje tej szalonej decyzji mogą się okazać katastrofalne. Również w wymiarze finansowym.

NARODOWE WYMIERANIE

Polsce grozi zapaść demograficzna. Jak ostatnio podał GUS, pod koniec 2025 r. liczba ludności w Polsce wyniosła 37 mln 332 tys., co oznacza spadek o 157 tys. w porównaniu z 2024 r. Ubytek ludności co roku przyspiesza i jest już naprawdę duży – to tak jak gdyby w ciągu ostatniego roku zniknęło w Polsce miasto wielkości Tarnowa. Jeśli ta tendencja się utrzyma, naszemu krajowi grozi powolne wyludnienie.

Wiadomo o tym nie od dziś. Zgodnie z dość optymistyczną prognozą z 2014 r. liczba ludności Polski w 2050 r. spadnie – według GUS – do niespełna 34 mln osób, a więc do poziomu z końca 1974 r. Co gorsza, jedną trzecią spośród tych 34 mln mają stanowić osoby powyżej 65. roku życia.

Bardziej ponurą perspektywę dla naszego kraju przedstawia prognoza demograficzna ONZ, zgodnie z którą w 2100 r. populacja Polaków wyniesie 14,5 mln ludzi, i to przy założeniu, że współczynnik dzietności nie spadnie poniżej 1,3. Jeśli będzie niższy, to do końca tego stulecia będzie nas mniej niż 10 mln.

Niestety ten czarny scenariusz zaczyna się sprawdzać, bo jak podaje GUS, w 2024 r. współczynnik dzietności w Polsce spadł do poziomu 1,1. Oznacza to, że na 100 kobiet w wieku rozrodczym (15–49 lat) przypadało 110 urodzonych dzieci, tymczasem aby zapewnić wzrost demograficzny, na 100 takich kobiet powinno przypadać co najmniej 210 dzieci, a zatem współczynnik dzietności powi-

eprasa.pl e84c291d09

nien osiągać wartość 2,1. Według serwisu Birth Gauge, zajmującego się monitorowaniem dzietności na świecie, Polska znalazła się na ostatnim miejscu w tej kategorii w Europie oraz na trzecim od końca wśród krajów OECD (gorszą sytu-



Fot. Shutterstock

ację demograficzną zanotowano jedynie w Chile i Korei Południowej).

Jest bardzo źle i z każdym rokiem robi się coraz gorzej. W zeszłym roku w Polsce urodziło się 238 tys. dzieci, a więc o ok. 14 tys. mniej niż w roku poprzednim. Nie będzie chyba wielką przesadą stwierdzenie, że kryzys demograficzny ma już charakter egzystencjalny – chodzi o to, czy przetrwamy jako naród.

ZOHYDZANIE MACIERZYŃSTWA

Z powolnym spadkiem przyrostu naturalnego mamy do czynienia od 1983 r. Największe załamanie nastąpiło pod koniec lat 90., gdy liczba urodzeń zaczęła gwałtownie pikować. W rezultacie już w 2002 r. liczba zgonów przewyższyła liczbę urodzeń i Polska odnotowała ujemny przyrost naturalny. Odbiliśmy się na chwilę od dna cztery lata później, gdy na dzieci zaczęło się decydować pokolenie urodzone na przełomie lat 70. i 80., a więc w okresie krótkiego boomu. Wzrost trwał kilka lat i zakończył się definitywnie w 2013 r., gdy przyrost znów spadł poniżej zera.

Rekordowy pod względem liczby ludności był 2011 r. – według danych GUS w Polsce mieszkało wtedy 38 mln 538 tys. osób. Od tej pory straciliśmy już 1,2 mln ludzi.

Do tego należy dodać masową emigrację po wejściu naszego kraju do Unii Europejskiej, wywołaną głównie powodami ekonomicznymi. W 2024 r. poza granicami kraju przebywało 1,5 mln Polaków, zwykle w wieku produkcyjnym. Ich potomstwo nie zasili już raczej polskiego społeczeństwa, bo większość z tych, którzy zamierzali wrócić do Polski, już to prawdopodobnie zrobiła.

Mimo to wskaźniki przyrostu naturalnego może byłyby dziś nieco lepsze, gdyby nie jeszcze jeden istotny czynnik wpływający na jego spadek. Jest nim utrzymująca się na wysokim poziomie liczba zgonów. W 2025 r. zmarło 406 tys. osób (przy 238 tys. urodzeń), rok wcześniej mieliśmy 409 tys. zgonów (wobec 252 tys. urodzeń).

Eksperci wskazują, że powoli zaczyna umierać pokolenie boomu demograficznego z okresu powojennego. Z tego powodu nawet przy lekko rosnącej liczbie urodzeń w najbliższym czasie nie ma szans na dodatni przyrost naturalny. Żeby nastąpił, potrzebna jest kulturowa i mentalna rewolucja, która byłaby możliwa jedynie przy znaczącym wsparciu instytucji państwowych.

Tymczasem jest dokładnie odwrotnie. W Polsce od wielu lat uprawia się – głównie w liberalnych mediach – antyrodzinną i antynatalistyczną propagandę. Przykładowe tytuły z „Newsweeka": „Nienawidzę być matką!", „Rodzicielstwo ich wykańcza". Oraz z „Wyborczej": „Nie chcę mieć dziecka. Gdybym mogła cofnąć czas, nigdy bym go nie urodziła", „Tak, żałuję bycia mamą" – podobne artykuły można liczyć w dziesiątkach.

Konsekwentne zohydzanie macierzyństwa nie pozostaje bez wpływu na decyzje wielu kobiet. W tym kontekście nie dziwi już chyba to, że w obecnej ekipie rządowej nikt nie rozważa jakichkolwiek zachęt do posiadania dzieci. Nie ma mowy o nowych formach wsparcia finansowego dla rodziców ani o żadnych ułatwieniach systemowych. Zamiast tego mamy promocję bezdzietności i politykę gospodarczą, która prowadzi całe państwo i jego obywateli wprost do ubóstwa. Trudno wręcz powstrzymać się od wrażenia, że komuś zależy na tym, aby Polacy jako naród zniknęli z powierzchni ziemi.

CYWILIZACYJNY REGRES

Rządowy plan likwidacji porodówek to kolejny element tej strategii. Są miejsca w Polsce, gdzie w promieniu kilkudziesięciu kilometrów nie ma już żadnego działającego oddziału położniczego. Na terenie województwa warmińsko-mazurskiego taka dziura, gdzie nie da się urodzić dziecka w szpitalnych warunkach, ma wielkość Cypru.

Jak w ten sposób przekonać kobiety – i tak już bombardowane antynatalistyczną propagandą – do podjęcia decyzji o potomstwie? Co więcej, poród zawsze może się wiązać z komplikacjami. Nic więc dziwnego, że likwidacja oddziałów położniczych i pozostawienie kobietom opcji w postaci porodu na SOR lub szukania szpitala w oddalonym mieście skutecznie zniechęca do macierzyństwa. Tym samym dochodzimy do sytuacji, w której decyzja o ciąży i narodzinach dziecka staje się obarczona poważnym ryzykiem dla zdrowia i życia matki. To cywilizacyjny regres. Kobiety, które planowały pierwsze dziecko, mogą zmienić zdanie, a te, które już mają potomstwo, zrezygnują z powiększania rodziny. Tak będzie, jeśli państwo nie zapewni im wykwalifikowanej opieki medycznej oraz godnych i bezpiecznych warunków, w których będą mogły urodzić dziecko.

Warto jeszcze raz sięgnąć do danych GUS. Współczynnik dzietności, choć katastrofalnie niski, jest inny w dużym mieście i wsi. W 2024 r. w miastach wynosił on 1,07, podczas gdy na wsi pozostawał na nieco wyższym poziomie – 1,15. Ograniczenie opieki medycznej na prowincji doprowadzi więc prawdopodobnie do tego, że dzietność na wsi spadnie do poziomu notowanego w miastach, co jeszcze bardziej pogorszy fatalną sytuację demograficzną Polski.

EKIPA KONFORMISTÓW

Ta spirala będzie się nakręcała coraz szybciej. Trzeba bowiem pamiętać, że decyzję

eprasa.pl e84c291d09

o likwidacji porodówek można podjąć w ciągu kilku minut, ale odkręcenie jej skutków – o ile to w ogóle będzie możliwe – zajmie lata. Wraz z oddziałami położniczymi zniknie bowiem cała towarzysząca im infrastruktura medyczna oraz – co najbardziej groźne – wykwalifikowana kadra. Tego nie da się już łatwo odbudować.

Klakierzy obecnej władzy uwielbiają przypominać – niejako na swoje usprawiedliwienie – że PiS za swoich rządów też likwidowało porodówki. Owszem, tak się działo, ale dziś nikt nie ukrywa, że to był błąd. Przy czym trzeba znać proporcje. W latach 2015–2023 zniknęło w Polsce 80 oddziałów położniczych. Obecny rząd mógłby przecież powiedzieć „stop", ale nie zrobił tego. Przeciwnie, likwidacja przyspieszyła w zawrotnym tempie. Jeszcze raz warto podać liczbę: 18 porodówek zamkniętych w ciągu zaledwie jednego miesiąca tego roku! Jak tak dalej pójdzie, to za półtora roku nie będzie już w Polsce żadnej porodówki.

Oczywiście nic takiego się nie stanie. Oddziały położnicze pozostaną w dużych miastach, bo tam jest elektorat obecnego rządu. Ale Polska wiejska i powiatowa już nie budzi empatii Tuska, dlatego jego ekipa tak ochoczo przykłada dziś rękę do depopulacji prowincji. Przecież Polaków zawsze mogą zastąpić imigranci.

Pojawia się tutaj pytanie, na ile jest to działanie zamierzone, a na ile wynika z urzędniczej krótkowzroczności (żeby nie powiedzieć – głupoty) tego rządu. Jestem gotów uznać, że bezpośrednią przyczyną oszczędzania na dzietności Polaków jest pojmowanie rzeczywistości przez ekipę Tuska w bardzo wąskich kategoriach finansowo-księgowych, bez jakiegokolwiek namysłu strategicznego, a nawet w ogóle bez myślenia. Minister finansów – skądinąd niesprawiający wrażenia osoby szczególnie wyrafinowanej – dostał polecenie od premiera, więc realizuje je bez szemrania, a inne resorty podporządkowują się tej polityce, bo inaczej „kierownik" będzie zły. To mentalność zastraszonych konformistów i karierowiczów, a nie ludzi świadomych swoich celów i posiadających jakąś wizję państwa oraz jego przyszłości. Z taką ekipą daleko nie zajedziemy. Tymczasem działania – i to radykalne – są potrzebne natychmiast.

SKOŃCZYĆ Z MODĄ NA BEZDZIETNOŚĆ

Nowa władza, która pewnego dnia przejmie stery rządów od Tuska, musi mieć gotowy plan walki z depopulacją Polski. Stawką jest bowiem przyszłość całego państwa, którym Tusk nigdy się specjalnie nie przejmował.

Na początku tego roku redaktor naczelny tygodnika „Sieci" i telewizji wPolsce24 Jacek Karnowski oraz prezes Fundacji Mamy i Taty socjolog Marek Grabowski przedstawili „Dekalog Narodowego Przetrwania" – czyli 10 radykalnych postulatów, które mają powstrzymać proces wymierania Polaków (jego treść jest dostępna w internecie). To dobry punkt wyjścia do dyskusji na temat przyczyn i skutecznych sposobów walki z demograficzną zapaścią.

> Zohydzanie macierzyństwa nie pozostaje bez wpływu na decyzje wielu kobiet. Trudno się powstrzymać od wrażenia, że komuś zależy na tym, aby Polacy zniknęli z powierzchni ziemi

Wymieranie Polaków ma przyczyny ekonomiczne i kulturowe. Dlatego właśnie w tych sferach przeciwdziałanie musi być najsilniejsze. Trzeba stworzyć realne zachęty finansowe dla rodzicielstwa oraz prawnie zakazać uprawiania antynatalistycznej i antyrodzinnej propagandy. Nie można dłużej tolerować mody na bezdzietność w kraju, który w zastraszającym tempie traci swoich mieszkańców.

Ta propaganda sączy się dziś z każdego miejsca. Była już mowa o artykułach zohydzających macierzyństwo – z takimi publikacjami najtrudniej jest walczyć, nie można bowiem naruszać zasad wolności słowa. Można jednak zastanawiać się nad strukturą właścicielską wydawców takich tytułów – tu wraca pytanie o udział zagranicznego kapitału w polskich mediach. Trzeba też walczyć o umysły młodych ludzi, aby tego rodzaju publikacje nie znajdowały posłuchu.

Podobnie jest z kulturą popularną, ogłupiającymi filmami i serialami, mediami społecznościowymi oraz z reklamami. Ostatnio można się było natknąć na reklamy pewnego niemieckiego sklepu drogeryjnego, które promowały samotne święta Bożego Narodzenia. Teraz – w przeddzień Walentynek – ten sam sklep namawia do tego, abyśmy kochali samych siebie. Niby nic takiego, ale jest to właśnie ten rodzaj podprogowego działania na umysły ludzi, który w obecnej sytuacji demograficznej powinien być absolutnie niedopuszczalny.

Czy da się uodpornić społeczeństwo na taki przekaz? Tak, ale tylko pod warunkiem włożenia bardzo dużych środków finansowych w profesjonalną (podkreślam: profesjonalną) promocję rodziny i macierzyństwa. Zwłaszcza wśród młodych ludzi. Bez pomocy państwa prawdopodobnie nie uda się tego zrobić.

JEDEN GŁOS NA KAŻDE DZIECKO

Posiadanie dzieci znów powinno się stać życiowym celem Polaków. Trzeba też skończyć z przedstawianiem wielodzietności jako konsekwencji ubóstwa czy wręcz patologii. Tu z kolei konieczne są zachęty finansowe na zasadzie: im więcej dzieci, tym więcej ulg i przywilejów.

Warto także rozważyć propozycję Karnowskiego i Grabowskiego przyznania wielodzietnym rodzinom szerszych praw wyborczych. Skoro Krzysztof Śmiszek z tzw. Lewicy chciałby pozwalać na udział w wyborach w Polsce imigrantom z egzotycznych krain, to chyba lepiej by było, aby o przyszłości kraju decydowali ci, którzy stąd pochodzą i tu się urodzili. Dlatego nie należy z góry odrzucać pomysłu: jeden dodatkowy głos na każde niepełnoletnie dziecko. Wtedy nagle okazałoby się, że i wyborcy Tuska – w nadziei na korzystne dla siebie rozstrzygnięcie wyborów – zapragnęliby licznego potomstwa. A przecież o to właśnie chodzi. O jak najwięcej dzieci.

Oczywiście aby taki scenariusz mógł się stać rzeczywistością, konieczne jest jedno – wymiana obecnej władzy na inną. Warto o tym pamiętać, bo czasu jest coraz mniej.

eprasa.pl e84c291d09



Smartfon – cichy sabotażysta

Współczesne dzieci dorastają w świecie, w którym ekran stał się naturalnym przedłużeniem dłoni. Smartfon budzi je rano, towarzyszy w drodze do szkoły, leży na biurku podczas odrabiania lekcji i zasypia razem z nimi późną nocą. Urządzenie, które miało być narzędziem ułatwiającym życie, coraz częściej staje się głównym architektem chaosu poznawczego i emocjonalnego młodych ludzi

Fot. Shutterstock

eprasa.pl e84c291d09



DOROTA ŁOSIEWICZ

Najnowsze badanie przeprowadzone przez zespół Instytutu Psychologii WSKZ oraz Fundację Bonum Humanum nie pozostawia wątpliwości – nieedukacyjna obecność technologii ekranowych w przestrzeni dziecka prowadzi do wyraźnego spadku zainteresowania nauką, osłabienia koncentracji oraz rozpadu rytmu edukacyjnego.

SKALA PROBLEMU

Badanie zrealizowane od września do grudnia 2025 r. objęło 998 uczniów szkół podstawowych i ponadpodstawowych oraz 202 nauczycieli i rodziców. Dane są alarmujące: ponad 74 proc. uczniów szkół podstawowych i aż 95 proc. ponadpodstawowych podczas nauki domowej ma włączone smartfony lub komputery, choć w większości przypadków nie służą one celom edukacyjnym. W trakcie lekcji aktywne telefony posiada 39 proc. młodszych uczniów i 79 proc. starszych, a 21 proc. uczniów podstawówek oraz 45 proc. szkół średnich korzysta z nich w celach czysto rozrywkowych.

Te liczby opisują nie epizod, lecz codzienny styl funkcjonowania. Technologie ekranowe stały się tłem każdego działania – jak radio, którego nikt nie potrafi już wyłączyć. A jednak w przeciwieństwie do radia smartfon nie tylko „gra w tle". On nieustannie domaga się reakcji, przerywa, wciąga i przejmuje kontrolę nad uwagą.

ROZBITA UWAGA – UTRACONA NAUKA

Proces uczenia się wymaga ciszy poznawczej: czasu na skupienie, powtórzenie, refleksję. Tymczasem komunikatory i media społecznościowe działają jak seria mikrowstrząsów. Badanie pokazuje, że czynnikiem najbardziej wytrącającym z rytmu edukacyjnego są właśnie powiadomienia z aplikacji. Ponad 38 proc. uczniów szkół podstawowych i 75 proc. ponadpodstawowych przyznaje, że podczas nauki regularnie zagląda do social mediów. Równocześnie połowa młodszych i 42 proc. starszych uczniów ma problemy z przyswajaniem wiedzy, a znaczący odsetek obserwuje pogorszenie wyników.

To nie przypadek. Neuropsychologia od dawna dowodzi, że każda przerwa w koncentracji cofa proces zapamiętywania do punktu wyjścia. Dziecko, które co kilka minut zerka na ekran, uczy się powierzchownie, chaotycznie, bez zrozumienia. Wiedza przestaje być konstrukcją, a staje się zbiorem luźnych notatek, z których niewiele zostaje na dłużej.

DOM BEZ GRANIC I ILUZJA KOMPETENCJI

Szczególnie niepokojące jest to, że w wielu domach nie istnieją jasne zasady korzystania z technologii. Tylko w 54 proc. rodzin uczniów szkół podstawowych i zaledwie w 24 proc. ponadpodstawowych ustalono reguły używania urządzeń mobilnych. Programy kontroli rodzicielskiej ma 62 proc. młodszych i niespełna 19 proc. starszych dzieci, przy czym połowa z nich deklaruje, że potrafi je skutecznie obejść. Cyfrowe wychowanie bazuje więc bardziej na intuicji niż na świadomej strategii. W tej próżni to nie rodzice, lecz algorytmy przejmują rolę wychowawcy. To one decydują, co jest interesujące, ważne i warte uwagi. Czy naprawdę chcemy, by to smartfony wychowywały?

Na skutek zmian wprowadzonych przez resort edukacji już niemal jedna piąta uczniów szkół podstawowych i ponad połowa uczniów szkół ponadpodstawowych (dotyczy to jednak głównie uczniów szkół zawodowych) nie uczy się w domu. Badanie pokazuje też, że prawie 29 proc. uczniów szkół podstawowych i ponad połowa uczniów szkół średnich traktuje internet jako podstawowe, a często jedyne źródło wiedzy pozyskiwanej w procesie nauki. W 2025 r. 29 proc. uczniów szkół podstawowych i 55 proc. ponadpodstawowych nie przeczytało w całości nawet jednej lektury obowiązkowej – preferują oni „szorty", które znajdują w internecie lub zlecają AI.

Prawie 31 proc. uczniów klas maturalnych przygotowuje się do egzaminu przede wszystkim na podstawie opracowań wytworzonych przez sztuczną inteligencję i nie korzysta z podręczników szkolnych. Znaczenie AI w rozwoju edukacyjnym jest niekwestionowane, ale traktowanie jej jako jedynej formy rozwoju wiedzy pozostaje obarczone wysokim ryzykiem edukacyjnym. Problem w tym, że te subiektywne korzyści często przykrywają realne straty. Kultura „szortów" uczy skrótu, nie uczy myślenia. Klik zastępuje refleksję, a gotowe odpowiedzi – proces rozumowania.

Młodzi ludzie postrzegają technologie jako przestrzeń rozwoju relacji i umiejętności komunikacyjnych. Prawie jedna czwarta woli kontakt online niż spotkanie twarzą w twarz. Deklarują, że internet pomaga w wymianie informacji edukacyjnych i poszerzaniu wiedzy. Badanie pokazuje też wyraźne symptomy uzależnienia: 58 proc. uczniów szkół podstawowych i 76 proc. ponadpodstawowych ma problem z regulowaniem kontaktu z ekranem. Blisko połowa obserwuje u siebie obniżony nastrój oraz konflikty z rodzicami na tle używania smartfonów. To cena za życie w permanentnym trybie online.

SZKOŁA BEZ CISZY

W szkołach podstawowych próbuje się jeszcze chronić przestrzeń lekcji – telefony trafiają do szafek lub plecaków. W szkołach średnich kontrola niemal nie istnieje: 45 proc. uczniów korzysta ze smartfonów podczas zajęć, a jedynie 21 proc. je wyłącza. Mechanizm ma charakter kompulsywny – bodziec i natychmiastowa reakcja. Silnie pobudzające treści wypierają „edukacyjną dopaminę", czyli satysfakcję z wysiłku intelektualnego.

Ponad 95 proc. nauczycieli i rodziców uczestniczących w badaniu opowiada się za odgórnym zakazem przynoszenia smartfonów do szkół podstawowych. W przypadku szkół ponadpodstawowych postuluje się „umowę społeczną". To wołanie dorosłych o przywrócenie elementarnego porządku – prawa do nauki bez cyfrowego hałasu.

eprasa.pl e84c291d09

NOC, KTÓRA KRADNIE PRZYSZŁOŚĆ

Technologia ma szczególnie destrukcyjny wpływ na sen. 32 proc. uczniów podstawówek i 72 proc. średnich kończy aktywność w sieci po 23.00, a znaczna część – po północy. 14 proc. młodszych i 27 proc. starszych dzieci wybudza się w nocy z powodu sygnału telefonu. Skrócony sen głęboki niszczy proces konsolidacji pamięci – ten, który decyduje o skuteczności nauki.

Dzieci wstają zmęczone, rozdrażnione, pozbawione energii do wysiłku intelektualnego. Paradoksalnie choć większość łączy poranne przemęczenie z nadużywaniem ekranów, ponad 70 proc. nie zgadza się na odkładanie smartfonów do innego pomieszczenia. Urządzenie stało się ważniejsze niż biologiczne potrzeby organizmu.

CYFROWA SAMOTNOŚĆ

Smartfon obiecywał bliskość, a przyniósł osłabienie realnych więzi. Kontakty zapośredniczone wypierają rozmowę, spojrzenie, obecność. Konflikty rodzinne coraz częściej dotyczą czasu spędzanego w sieci. Rodzice czują się bezradni, dzieci – niezrozumiane. W tej przestrzeni rośnie podatność na obniżony nastrój, lęk i poczucie pustki.

Technologia nie jest neutralna. Kształtuje styl myślenia: szybki, impulsywny, niecierpliwy. Uczy natychmiastowej gratyfikacji, która stoi w sprzeczności z logiką edukacji wymagającej wysiłku i odroczenia nagrody. Tam, gdzie dominuje ekran, maleje ciekawość świata, a rośnie potrzeba nieustannej stymulacji.

EPIDEMIA ROZPACZY

Do badań Instytutu Psychologii WSKZ oraz Fundacji Bonum Humanum dodajmy wstrząsającą diagnozę prof. Andrzeja Zybertowicza, który podczas kongresu PiS w Katowicach alarmował: „Jeśli nie nauczymy młodych żyć bez ekranów, to ekrany nauczą ich żyć bez nas". Socjolog, autor książek „Cyber kontra real" oraz „AI Eksploracja", przestrzegał, że smartfon stał się „narzędziem systemowego zatrucia umysłów" i że dopóki nie ograniczymy jego wpływu, nie zdołamy wychować pokolenia zdolnego do odpowiedzialnego myślenia i działania. Prof. Zybertowicz podkreślił, że nie mamy już do czynienia z pojedynczym zjawiskiem uzależnienia, lecz z masowym procesem destrukcji psychicznej.

„Trwa proces zatrucia umysłów milionów ludzi na całym świecie, nie tylko w Polsce. W krajach, które to rozumieją, coraz powszechniej i coraz bardziej stanowczo zakazuje się używania smartfonów w szkołach. Wspierajcie proces zakazania jakiegokolwiek dostępu do smartfonów w szkołach – apelował profesor.

Zybertowicz wskazał, że ciągła ekspozycja na bodźce ekranowe rozbija ludzki układ dopaminowy, co w efekcie prowadzi do emocjonalnego wypalenia. „Analizy wykazały, że istnieje tzw. epidemia rozpaczy. Ciągłe przebodźcowanie dopaminowe poprzez kontakty z ekranowymi bodźcami powoduje podatność na depresję, próby samobójcze, ogromną ilość samookaleczeń, potrzeby konsultacji psychiatrycznych. Bez odcięcia od smartfonów młodego pokolenia nie będziemy mieli dla kogo reformować Polski" – mówił profesor.

> Proces uczenia się wymaga ciszy poznawczej: czasu na skupienie, powtórzenie, refleksję. Tymczasem komunikatory i media społecznościowe działają jak seria mikrowstrząsów

WYCHOWANIE JAKO WARUNEK PRZETRWANIA

W „Dekalogu Narodowego Przetrwania" Jacka Karnowskiego i Marka Grabowskiego pkt. 5 brzmi jak program naprawy: „Wychowanie młodego pokolenia maksymalnie poza wpływem mediów społecznościowych – jako warunek zdrowia psychicznego i więzi społecznych". To nie ideologiczny postulat, lecz wniosek z twardych danych. Bez odzyskania przestrzeni wychowania żadna reforma szkoły ani gospodarki nie przyniesie owoców.

Badanie WSKZ i Fundacji Bonum Humanum formułuje jednoznaczny wniosek: bez edukacji medialnej rodziców, jasnych reguł w szkołach i odwagi politycznej proces destrukcji będzie narastał. Prof. Zybertowicz ujmuje to jeszcze ostrzej: „Musimy nauczyć się mówić »dość« technologii, która nami rządzi, zamiast nam służyć".

Z badań przeprowadzonych przez CBOS w marcu 2025 r. wynika, że 73 proc. Polaków popiera wprowadzenie zakazu korzystania ze smartfonów w szkołach. Co istotne, 71 proc. badanych uważa, że wprowadzenie jednolitych zasad obowiązujących we wszystkich szkołach byłoby skuteczniejsze niż obecna, indywidualna polityka szkół.

Nie chodzi o wojnę z postępem. Chodzi o obronę dziecka – jego snu, uwagi, zdolności kochania i myślenia. Smartfon może być narzędziem, ale pozostawiony bez kontroli staje się wychowawcą gorszym niż najgorszy nauczyciel. Jeśli nie przywrócimy ciszy w domach i szkołach, wyrośnie pokolenie przebodźcowane, niezdolne do wysiłku i odpowiedzialności.

Dlatego potrzebne są odważne decyzje: zakaz telefonów w szkołach podstawowych, umowy społeczne w ponadpodstawowych, realne programy wsparcia rodziców, promocja kultury offline, odbudowa snu i czytelnictwa. To nie walka z młodymi, lecz o młodych.

Smartfon nie jest niewinną zabawką. To potężna maszyna kształtująca mózgi i charaktery. Od nas zależy, czy stanie się narzędziem rozwoju, czy architektem pokolenia zmęczonych, rozproszonych i samotnych ludzi.

Ostrzeżenia naukowców, w tym prof. Zybertowicza, brzmią alarmistycznie: jeśli nie nauczymy młodych żyć bez ekranów, ekrany nauczą ich żyć bez nas. Pora działać, zanim przyszłość naprawdę zgaśnie w niebieskim świetle wyświetlaczy.

eprasa.pl e84c291d09



Kobiety to siła telewizji wPolsce24

Najbardziej dynamicznie rozwijająca się stacja informacyjna w Polsce buduje swoją pozycję dzięki kobietom. Poznajcie odważne, kompetentne i zawsze poszukujące prawdy dziennikarki telewizji wPolsce24

Martę Kielczyk Polacy znają z wieloletniej kariery w radiu i telewizji, ale przede wszystkim z niezwykłego ciepła i pięknej polszczyzny, jaką się posługuje. Nie bez przyczyny wielokrotnie nagradzana dziennikarka była m.in. laureatką plebiscytu „Mistrz Mowy Polskiej".

W telewizji wPolsce24 prowadzi m.in. „Wiadomości". – W e-mailach i telefonach do redakcji widzowie telewizji wPolsce24 domagają się, żeby Marty było na antenie więcej i więcej. A że my widzów słuchamy, to dostała ona nowy program, „Raport Extra". Wierzymy, że podobnie jak inne pozycje z jej udziałem, stanie się on hitem naszej stacji – słyszymy od szefów wPolsce24.

ODDANI FANI

Niezwykle oddanych fanów ma także Agata Rowińska i jej „Kryminalny wieczór wPolsce24". Doświadczona, mająca na koncie wiele informacyjnych sukcesów dziennikarka przedstawia sensacyjne historie. Raz smutne, raz z pozytywnym finałem, często wręcz nie do uwierzenia – ale zawsze prawdziwe. „Kryminalny wieczór wPolsce24" startuje od poniedziałku do soboty o 23.05.

Równie mocno – choć w inny sposób – rozgrzewa publiczność Marianna Schreiber i jej „Naga Prawda". Celebrytka komentuje wydarzenia i rozmawia z ciekawymi ludźmi – zawsze w terenie. Szczere opinie na każdy temat w każdą sobotę o 18.15.

„PIĄTKA JAKUBOWSKIEJ" I „COGITO... U RACZYŃSKIEJ"

Aleksandra Jakubowska w swojej „Piątce" komentuje wydarzenia dnia. Mocno, dosadnie, ale zawsze uczciwie i z klasą. Stałym punktem programu jest cykl „Piękne umysły". To przegląd największych absurdów, wyławianych przez publicystkę z medialno-internetowego stawu. Tutaj możemy się pośmiać np. z największej polskiej gazety „Fakt", która nie zważając na katastrofę służby zdrowia, drożyznę czy kolejne afery władzy, zapełnia pierwszą stronę relacją z remontu u... sąsiadów Jarosława Kaczyńskiego, albo obejrzeć brawurową akcję jednego z internautów, który kupił w aptece prezerwatywy „najmniejsze, jakie są" i poprosił o wystawienie w KSeF faktury na Kancelarię Premiera. „Piątkę Jakubowskiej" można oglądać od poniedziałku do piątku o 13.00.

„Cogito... u Raczyńskiej" (emisja w każdą sobotę o 13.55) to prawdziwa uczta intelektualna. Tutaj nie ma mowy o prześlizgiwaniu się po tematach, tutaj nie hołduje się tabloidowej publicystyce. Najwyższy poziom gwarantują niezwykle doświadczona autorka i goście, których zaprasza.

Małgorzata Raczyńska-Weinsberg stworzyła w telewizji wPolsce24 przestrzeń, w której ks. prof. Waldemar Cisło i prof. Grzegorz Kucharczyk mogą spokojnie, wyczerpująco opowiedzieć o prześladowaniach, których doświadczają obecnie na całym świecie chrześcijanie. To w „Cogito..." możliwa była merytoryczna dyskusja na temat kondycji współczesnych mediów. Jej uczestnicy zastanawiali się, czy mainstreamowe, liberalne gazety, portale i telewizja rzeczywiście – jak głoszą – łagodzą konflikty społeczne czy przeciwnie – pogłębiają je i podsycają.

„Ucieczka od polskości na rzecz europejskości wynika często z braku wiedzy" – podkreślał w innym wydaniu „Cogito" wybitny socjolog, prof. Leszek Korporowicz. „Dziś nie mamy elit, mamy mandarynów władzy – to nie ma nic wspólnego z elitami" – podkreślał.

W rozmowie z Małgorzatą Raczyńską-Weinsberg wiceprezes PiS Jacek Sasin miał czas i możliwość, by szczegółowo wyjaśnić, jaka naprawdę jest sytuacja w największej partii opozycyjnej. Gdzie indziej ani on, ani jego partyjni oponenci nie mogą liczyć na taki luksus.

W AMERYKAŃSKIM STYLU

„Pracujemy na kredyty, na marże kredytowe banków, pracujemy na

Autopromocja

eprasa.pl e84c291d09



Niezwykle oddanych fanów ma Agata Rowińska i jej „Kryminalny wieczór wPolsce24". Doświadczona, mająca na koncie wiele informacyjnych sukcesów dziennikarka przedstawia sensacyjne historie. Raz smutne, raz z pozytywnym finałem, często wręcz nie do uwierzenia – ale zawsze prawdziwe

opłaty stałe, które z miesiąca na miesiąc i z roku na rok stale rosną. Ludzie, z którymi rozmawiam, boją się rachunków za prąd, które dostaną w marcu. Bo one będą gigantyczne" – mówiła Olga Semeniuk.

„Czym jest dzisiaj emerytura? To świadczenie dla aptek przechodzące przez emeryta" – cytowała słowa zasłyszane od starszej pani pod apteką Magdalena Ogórek.

Jej program taki jest. Żywy, gorący, często bazujący na ostrym sporze pomiędzy politykami czy ekspertami reprezentującymi różne poglądy, ale zawsze skupiony na zwykłym człowieku. Przez taki pryzmat Magdalena Ogórek i jej goście pokazują tragedię rolników, którym nie opłaca się produkować, lęk ciężarnych kobiet przed zarządzonymi przez władzę porodami na SOR czy katastrofę w służbach, które zamiast bronić obywateli przed złoczyńcami, muszą odpierać kolejne zarzuty pojawiające się w wyniku kolejnych afer obyczajowych.

Startując ze swoim „Studiem" Magdalena Ogórek (emisja w niedzielę o 21.00) podkreślała, że zależy jej na stworzeniu show w amerykańskim stylu. Czyli treściwego, żywego, dotykającego codziennych ludzkich spraw, a jednocześnie pozwalającego złapać do nich trochę zdrowego dystansu. Dziś z całym przekonaniem można powiedzieć – udało się. „Studio Magdaleny Ogórek" jest świetne i świetnie się ogląda, o czym świadczą badania.

– Programy prowadzone przez nasze świetne, odważne dziennikarki budują siłę naszej stacji. To m.in. dzięki Marcie Kielczyk, Magdalenie Ogórek, Aleksandrze Jakubowskiej czy Agacie Rowińskiej rozwijamy się najbardziej dynamicznie spośród wszystkich informacyjnych stacji telewizyjnych w Polsce – podkreślają szefowie telewizji wPolsce24.

(AT)



eprasa.pl e84c291d09

Lewica chce Wielkiej Podmiany

Europejska lewica chce przyznać imigrantom prawa wyborcze, a dzięki ich poparciu utrzymać władzę i zatrzymać rosnące w siłę partie prawicy. Robi to, przejmując „spiskową" teorię wielkiej podmiany





MACIEJ WALASZCZYK

W ubiegłym tygodniu socjalistyczny rząd Pedra Sáncheza zdecydował o legalizacji w Hiszpanii pobytu ok. 500 tys. nielegalnych imigrantów. Dotarli tam bez wymaganych dokumentów, dostarczeni przez przemytników ludzi. Oficjalnie zadeklarowano, że gospodarka potrzebuje rąk do pracy, ale o co faktycznie chodzi, wyjaśniła europosłanka skrajnie lewicowej Podemos Irene Montero. Podczas wiecu wyborczego w Saragossie 30 stycznia br. w żarliwym przemówieniu oficjalnie przywołała teorię wielkiej podmiany jako polityczny program. „Chcę prosić osoby imigranckie i należące do mniejszości etnicznych: nie zostawiajcie nas samych z tyloma faszystami. Chcemy oczywiście, aby głosowali. Zdobyliśmy dla nich papiery, daliśmy im legalizację, a teraz idziemy po obywatelstwo lub zmianę prawa, żeby mogli głosować" – wołała do zgromadzonych, życząc wszystkim, by teoria podmiany populacji się ziściła w jej kraju, by dzięki imigrantom pozbyć się z niego „faszystów i rasistów". Chodzi oczywiście o politycznych przeciwników z partii Vox i Partii Ludowej, którzy znów rosną w siłę. Wcześniej także Pablo Iglesias, jej partyjny towarzysz i konkubent, zapowiadał, że owe 500 tys. osób powinno od statusu nielegalnych imigrantów przejść płynnie do statusu pełnoprawnych obywateli z prawami socjalnymi i wyborczymi.

eprasa.pl e8c291d09

„MDŁA SŁOWIAŃSZCZYZNA" NIE CHCIAŁA TRZASKOWSKIEGO

Po przegranych przez Rafała Trzaskowskiego wyborach prezydenckich w środowiskach lewicowych i liberalnych odżyła dyskusja o tym, co zrobić, by zdobyć w Polsce większość umożliwiającą rewolucję taką, jaka ma miejsce np. w Hiszpanii. W jaki sposób wygrać wybory prezydenckie tam, gdzie wciąż decyduje zwykła demokratyczna tubylcza większość. Kierujący „Krytyką Polityczną" Sławomir Sierakowski przyznał, że nie może się już doczekać czasów, aż znajdzie się w Polsce na tyle liczna „inna" grupa wyborców, dzięki której jego formacja dokona politycznego i społecznego przewrotu. „Mogę otwarcie powiedzieć, że jak najwięcej migracji w Polsce to jest najbezpieczniejsza opcja gospodarczo i społecznie" – oświadczył, definiując warunki krajowego wariantu jakiejś wielkiej podmiany ludności. A więc dużego transferu imigrantów spoza Europy, a także ludności ukraińskiej, która uzyskałaby nie tylko prawa socjalne, lecz także polityczne.

Już rok temu Związek Ukraińców w Polsce apelował o nadanie prawa wyborczego Ukraińcom, którzy mieszkają w Polsce na stałe i płacą tu podatki. To być może nawet 1,5 mln osób. Jego prezes Mirosław Skórka, używając identycznej argumentacji co hiszpańscy czy francuscy lewacy, stwierdził, że nadanie „legalnym imigrantom zarobkowym" praw wyborczych powinno „uzdrowić polski system polityczny", bo prawica musiałaby liczyć się z przegraną w wyborach.

W podobnym tonie jeszcze w 2022 r. wypowiadał się ówczesny RPO Adam Bodnar. O „szerszym włączeniu migrantów w życie społeczne i polityczne" mówił m.in. Krzysztof Śmiszek. Pojawiły się nawet argumenty biologiczne i rasowe, np. Magdalena Środa pisała o „wzmocnionej genetycznie i kulturowo" Polsce przez ludzi „spoza mdłej słowiańszczyzny". Olga Tokarczuk chwaliła zaś Szwecję za korzystanie z potencjału szerszej „puli genetycznej", zalecając taką kurację także w Polsce.

Chodzi więc o populacyjną korektę bazy wyborczej, na którą nałożą się postępujące zmiany kulturowe, widoczne szczególnie wśród mieszkańców miast, także tych prowincjonalnych. Żniwo zbiera tam sekularyzacja, egoizm, spóźniona o kilka dekad imitacja – także politycznych trendów z postkolonialnej Europy. W Wielkiej Brytanii uchodźcy i imigranci z krajów Wspólnoty Narodów, głównie dawnych terytoriów Imperium Brytyjskiego, takich jak Nigeria, Indie i Malezja, mają prawo głosować, a imigracja stała się tam polem politycznej bitwy. Partia Pracy wielokrotnie zapowiadała rozszerzenie praw wyborczych na obywateli UE oraz 16- i 17-latków. Keir Starmer proponował, by umożliwić głosowanie także migrantom mieszkającym „na stałe", np. płacącym podatki.

Ale i ten kij ma dwa końce. Dwa lata temu w czasie wyborów samorządowych mandaty zdobyło kilkudziesięciu propalestyńskich i muzułmańskich działaczy, którzy tym razem nie chcieli startować z list Partii Pracy ze względu na zbyt miękką politykę angielskiej lewicy wobec Izraela. A Ruch Muslim Vote postawił jej warunki, jeśli nadal chce ona dalej liczyć na głosy co najmniej czteromilionowej rzeszy wyznawców Allaha na Wyspach.

RASOWY „CHRZEST NOWEJ FRANCJI"

Narracja o wielkiej podmianie (z franc. le grand remplacement) narodziła się we Francji. Tam szczególnie widoczny jest proces zastąpienia rdzennej białej i chrześcijańskiej ludności przez nieeuropejskich imigrantów, głównie pochodzenia afrykańskiego, przy jednoczesnym wypieraniu europejskiej kultury i spadku dzietności kobiet pochodzenia europejskiego. Cichy podbój Europy jest więc skutecznie realizowany od wewnątrz, za pomocą praw człowieka, sankcji karnych, które z biegiem czasu przekształciły się w świecką państwową religię, wyczuloną na punkcie niedyskryminacji. Jej popularyzator, niezwiązany z prawicą pisarz Renaud Camus, od początku podkreślał, że nie jest to nawet spiskowa teoria, w uproszczony sposób wyjaśniająca rzeczywistość, ale prosta obserwacja, „straszny, złowieszczy fakt" i forma samobójstwa cywilizacyjnego.

Rację przyznaje mu 61 proc. Francuzów, choć nie wolno im dyskutować na ten temat. Wielokrotnie posługiwał się nią Éric Zemmour, wyjaśniając, że „wielka podmiana przez islamizację" nie jest fantazją, lecz dramatem historycznym. Odwołują się do niego politycy Zjednoczenia Narodowego oraz lokalni liderzy zaniepokojeni zmianą struktury etnicznej w prowincjonalnych miasteczkach.

W marcu odbędą się wybory samorządowe, które Jean-Luc Mélenchon, lider lewicowej Francji Nieujarzmionej, określił nawet jako „symbol chrztu Nowej Francji", przeciwstawiając go mitowi założycielskiemu Francji symbolizowanemu przez chrzest Chlodwiga. W czasie wiecu w Tuluzie 22 stycznia br., wyrażając m.in. poparcie dla kandydującego na mera Saint-Denis Ballyego Bagayoka, czarnoskórego imigranta malijskiego pochodzenia, zapowiadał usunięcie ze stanowiska „zbyt białego" socjalisty Mathieu Hanotina i zdobycie władzy dla „prawdziwego ludu Francji". Mélenchon stwierdził też, że podmiana ludności jest pożądana, a ruch polityczny, któremu przewodzi, stanowi właśnie wcielenie „nowej Francji – Francji wielkiej podmiany". Okazuje się, że tożsamość rasowa stała się dla skrajnej lewicy politycznym markerem, co doskonale wychwycił Zemmour, przyznając, że ta Francja będzie po prostu arabsko-muzułmańska. Mélenchon zresztą już wcześniej ukuł termin „kreolizacja Francji", oznaczający wymieszanie rasowe populacji.

Aby było ciekawiej, Bruno Roger-Petit, rzecznik prasowy prezydenta Macrona, stwierdził kiedyś, że nastąpi raczej polityczna wymiana „wyznawców zemmourizmu" i stanie się to wskutek ich demograficznego wymarcia oraz wymiany na takich obywateli, którzy nie będą się bać wybrać prezydenta, którego imię będzie brzmiało Mohammed czy Ahmed.

Zdaniem analizującego i komentującego wydarzenia nad Sekwaną Adama Gwiazdy wszystkie ugrupowania imigranckie czy islamskie nie stanowią poważnej siły politycznej. „Nie potrzebują tego, bo już jakiś czas temu drogą politycznej i ideologicznej infiltracji udało im się przejąć partie skrajne

eprasa.pl e84c291d09

lewicy. I głosują tu oczywiście również na lewicę" – wyjaśnia publicysta, przypominając, że w czasie wyborów prezydenckich w 2012 r. to muzułmański elektorat przeważył szalę, doprowadzając do przegranej Sarkozy'ego.

GROŹBA CYWILIZACYJNEGO WYMAZANIA

Większość krajów europejskich notuje niski wskaźnik urodzeń, zazwyczaj poniżej progu zastępowalności pokoleń. Wraz z jej topnieniem rdzenni Europejczycy są zastępowani przez ludy z dawnych kolonii. O wielkiej podmianie wspominał w oficjalnych wystąpieniach Viktor Orbán, a prezydenta Joe Bidena atakowano, że wspierając masową imigrację, próbuje zastąpić obecny elektorat nowymi, bardziej posłusznymi wyborcami z Trzeciego Świata.

Czy ten trend odmieni prezydentura Donalda Trumpa? W listopadzie jego administracja opublikowała nową Strategię Bezpieczeństwa Narodowego USA. Stwierdzono w niej m.in., że w ciągu najbliższych dwóch dekad Europa stanie w obliczu „wyraźnej perspektywy cywilizacyjnego wymazania", spowodowanego z jednej strony skutkami przyjętego modelu integracji, np. ograniczaniem wolności politycznych i upadkiem gospodarczym, a z drugiej – obcą kulturowo i etniczne imigracją. Dokument mówi wprost, że w ciągu 20 lat spowoduje ona utratę tożsamości i pojawienie się „większości nieeuropejskiej".

W samych Stanach Zjednoczonych nie jest lepiej, a przypadki Kamali Harris albo Zohrana Mamdaniego, nowego, muzułmańskiego burmistrza Nowego Jorku ugandyjsko-indyjskiego pochodzenia, symbolizują podobne zmiany. Harris, jako dziecko imigrantów z Jamajki i Indii, była widziana jako pierwszy prezydent USA, którego rodzice przybyli podczas wielkiej fali imigracji, która doprowadziła do uchwalenia w 1965 r. Immigration and Nationality Act. Używana w jej kampanii narracja bazowała na przekonaniu, że różnorodność jest dobra, biali są źli, Ameryka to „naród imigrantów" i była odbierana właśnie jako zwięzła metafora teorii wielkiej podmiany. Do tego pod obietnicą ostatecznego pogrążenia Donalda Trumpa wyborcy wyczuwali zapowiedź rasowej zemsty na białym kontrkandydacie. Zdaniem konserwatywnych komentatorów byli to z jednej strony wykorzenieni mieszkańcy wielkich aglomeracji Zachodniego i Wschodniego wybrzeża, a z drugiej – pokolenie wielkiej podmiany, czyli ci, którzy palili amerykańskie flagi, niszczyli pomniki, a więc ludzie niemający już żadnego związku z Ameryką sprzed 1965 r. i z niecierpliwością oczekujący jej końca.

> Cichy podbój Europy jest skutecznie realizowany od wewnątrz, za pomocą praw człowieka, sankcji karnych, które z biegiem czasu przekształciły się w świecką państwową religię, wyczuloną na punkcie niedyskryminacji

WOJENNA DZIURA DEMOGRAFICZNA

Mijają już cztery lata od wybuchu wojny na Ukrainie. Miliony Ukraińców opuściły swój kraj, a setki tysięcy mężczyzn zginęły lub zostały ranne na froncie. Choć dokładne dane na ten temat nie są ujawniane, szacuje się, że blisko 600 tys. ukraińskich żołnierzy poległo, zostało rannych lub zaginęło. Do tego spośród 6,3 mln Ukraińców, którzy znaleźli schronienie w Europie, zdecydowaną większość stanowią kobiety i dzieci. A to oznacza gwałtowny spadek populacji, zapowiadający kłopoty.

Wasilij Woskobożnik, prezes Ukraińskiego Stowarzyszenia Agencji Zatrudnienia Zagranicznego, zapowiadał bez ogródek, że skoro spadek urodzeń nie może już zostać zrekompensowany prostym wzrostem wskaźnika urodzeń, to jedynym rozwiązaniem dla ukraińskiej gospodarki będzie imigracja z krajów Trzeciego Świata. Według szacunków rządowych ekonomistów do powojennej odbudowy gospodarki Ukrainy potrzeba będzie co najmniej 8,2 mln pracowników, a więc imigrantów z Bangladeszu, Indii, Nepalu, a także krajów Afryki Północnej i Azji Środkowej.

TOTALNA ZMIANA SPOŁECZNA

Dla Europy i całego Zachodu imigracja jest oczywiście dziedzictwem kolonializmu i realizacją ideologii lewicy, a także chaosu, jaki wywołały wojny w Iraku, Afganistanie, Syrii czy opłakane w skutkach efekty tzw. Arabskiej Wiosny. Problemy z dzietnością, brak poczucia zakorzenienia i stabilizacji wywołało także zderzenie z globalizacją i ogromnymi możliwościami, jakie ona oferuje. Przyczynia się do tego neoliberalna polityka ekonomiczna, która zabija wszelkie formy tożsamości. Napływ imigrantów rozsadza też budowane przez dekady stabilne systemy społeczne, socjalne i edukacyjne. Sprowadzanie taniej siły roboczej jest z godne z logiką kapitalizmu, którego interesy są stawiane ponad interesami narodów. A to już raczej przypomina handel niewolnikami, ściąganymi dziś masowo do wielkiej europejskiej metropolii.

Z tego punktu widzenia wielka podmiana ludności europejskiej ma przede wszystkim motywy ekonomiczne i to nimi zasłaniali się Sierakowski czy Iglesias, potwierdzając, że lewica, dążąc do rozbicia wspólnot narodowych, niwelacji płciowych, religijnych, rasowych tożsamości, a także własności, robi to w interesie ponadnarodowego kapitału, którego siła jest absolutnie niwelująca. Wspomniany już Renaud Camus używał do opisu tego zjawiska pojęcia „ludobójstwa przez substytucję", w którym współczesny człowiek Zachodu zostaje przekształcony w pozbawionego swojego imienia, rodowodu i dziedzictwa, w końcu ojczystego języka, kultury, lojalności, „absolutnego proletariusza". Systemowo zdekulturowanego, a więc takiego, który nie wierzy, iż jego kultura jest warta obrony.

eprasa.pl e84c291d09



Gra w skojarzenia

Wpływowy bankier inwestycyjny oraz seryjny przestępca seksualny Jeffrey Epstein potrafił manipulować ludźmi. Schlebiał im, odgrywał rolę empatycznego, a zarazem rozrywkowego „kumpla" znanych i bogatych. Takiego, który może im „załatwić" młode i piękne kobiety. Nigdy nie zapominał o przyjaciołach, szczególnie jeśli byli dla niego użyteczni. Choć nie żyje od 2019 r., jego pośmiertny wpływ jest równie złowrogi, a przede wszystkim upokarzający dla wszystkich, których spotkał. 30 stycznia Departament Sprawiedliwości USA opublikował ostatnią transzę akt dotyczących Epsteina. To ponad 3 mln stron dokumentów, 180 tys. zdjęć oraz ok. 2 tys. nagrań wideo. W sumie ponad 300 GB.

Przestępca seksualny Jeffrey Epstein [na zdj.] otaczał się nie tylko młodymi Rosjankami, lecz także Polkami. Uważał się zresztą za Polaka. Pytanie, czy cokolwiek z tego wynika



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

KLIENT I SUTENER ZARAZEM

W aktach figurują m.in. były prezydent Bill Clinton, obecny prezydent Donald Trump, upadły książę Yorku Andrew Mountbatten-Windsor, który latał samolotem Epsteina zwanym „Lolita Express" co najmniej 20 razy na prywatną wyspę finansisty Little Saint James na Karaibach, amerykański magnat supermarketowy Ron Burkle, Bill Gates, producent filmowy Steve Bing, reżyser Brett Ratner (m.in. autor filmu dokumentalnego o Melanii Trump), księżna koronna Norwegii Mette-Marit, kilku laureatów Nagrody Nobla z różnych dziedzin nauki oraz lord Peter Mandelson, którego zdjęcie w majtkach zrobione w mieszkaniu Epsteina w Paryżu obiegło światowe media. Mandelson, w przeszłości

Fot. Rex Features/East News

eprasa.pl e84c291d09

minister i komisarz UE, zrezygnował z członkostwa w Partii Pracy, by uniknąć dalszej – jak zaznaczył – „żenady". Odwołano go także z funkcji brytyjskiego ambasadora w USA. Mandelson, który jest homoseksualistą, miał otrzymać od Epsteina dziesiątki tysięcy dolarów w zamian za lobbowanie brytyjskiego rządu.

Brad Edwards, prawnik z Florydy, od dwóch dekad reprezentujący ofiary Epsteina, w wywiadzie dla telewizji ABC News nazwał zmarłego finansistę „uzależnionym od seksu". „Był konsumentem i sutenerem zarazem. Był swoim klientem numer jeden. Prowadził w zasadzie dwa odrębne życia: jedno, w którym wykorzystywał seksualnie kobiety i dziewczęta, i drugie, w którym spotykał się z politykami, członkami rodzin królewskich oraz potentatami biznesu, świata akademickiego i nauki". Według Edwardsa w większości przypadków te dwa światy się nie przecinały. „Zdarzały się jednak sytuacje, w których nieliczni z tych mężczyzn dopuszczali się aktów seksualnych z nielicznymi dziewczynami, które Epstein wykorzystywał lub molestował" – dodał prawnik.

KOBIETY NA SPRZEDAŻ

Epstein, urodzony i wychowany w Nowym Jorku, w połowie lat 70. XX w. uczył matematyki i fizyki w prywatnej szkole na Coney Island. Sam studiował oba przedmioty na uniwersytecie, ale nigdy nie ukończył studiów. Ojciec jednego z jego uczniów był podobno pod tak wielkim wrażeniem jego charyzmy i zdolności, że skontaktował go ze znajomym w banku inwestycyjnym Bear Stearns na Wall Street. W ciągu czterech lat został tam partnerem. W 1982 r. założył własną firmę – J. Epstein and Co., która zarządzała aktywami klientów o wartości ponad 1 mld dol. i odniosła natychmiastowy sukces. Epstein szybko zaczął wydawać swoją nowo nabytą fortunę, kupił m.in. willę na Florydzie, ranczo w Nowym Meksyku i rzekomo największą prywatną rezydencję w Nowym Jorku.

Epstein spotykał się z takimi kobietami jak zwyciężczyni konkursu Miss Szwecji Eva Andersson Dubin. Jeden z jego przyjaciół powiedział magazynowi „Vanity Fair", że „kochał blondynki". „W swoim domu na Upper East Side trzymał zdjęcie gwiazdy opery mydlanej z lat 80. Morgan Fairchild, którą nazywał swoim ideałem kobiety" – czytamy. Była ona dla niego wówczas już o wiele za stara. Bo Epstein lubił, gdy dziewczyny były młode. Nie miał zresztą trudności z ich znalezieniem. „To były modelki albo studentki, które pragnęły otworzyć drzwi do świata prywatnych samolotów i globalnej elity. W późniejszych latach faworyzował inny typ kobiety z Europy Wschodniej, która była wyraźnie na sprzedaż" – uważa David Boies, prawnik niektórych oskarżycielek Epsteina.

SAMOBÓJSTWO

„Były to kobiety, które nie były nieletnie, ale zazwyczaj miały mniej niż 20 lat. Stały się one częścią tego, co nazywamy orbitą handlu ludźmi w celach seksualnych Epsteina – albo były przedmiotem handlu, albo wypożyczane innym ludziom, nazwijcie to jak chcecie" – dodawał Boies.

Ale tych nieletnich też trochę było. W 2005 r. rodzice 14-letniej dziewczynki poinformowali policję na Florydzie, że Epstein molestował ich córkę w swoim domu w Palm Beach. Podczas przeszukania posesji policja znalazła w całym domu zdjęcia nastolatek. Prokuratorzy zawarli ugodę z finansistą. Uniknął on zarzutów federalnych, za które groziło mu dożywocie, i zamiast tego otrzymał wyrok 18 miesięcy więzienia, w trakcie którego mógł pracować w swoim biurze przez 12 godzin dziennie, 6 dni w tygodniu. Ponownie aresztowano go 6 lipca 2019 r. Tym razem groziła mu długa odsiadka. Podczas pobytu w areszcie popełnił samobójstwo.

Po śmierci Epsteina jego była partnerka i przyjaciółka Ghislaine Maxwell znalazła się w centrum uwagi. Została aresztowana w lipcu 2020 r. pod zarzutem pomagania mu w wykorzystywaniu nieletnich poprzez pomoc w rekrutacji i uwodzeniu ofiar. W grudniu 2021 r. ława przysięgłych w Nowym Jorku uznała ją winną pięciu z sześciu zarzutów, w tym najpoważniejszego – handlu ludźmi w celach seksualnych. Została skazana na 20 lat więzienia.

Wszystko to jest wystarczająco obrzydliwe, ale w związku z kolejnym rzutem akt pojawiły się nowe pytania. Czy Epstein był agentem? A jeśli tak, to czyim?

AGENT OBCEGO WYWIADU?

W opublikowanych materiałach pojawia się Władimir Putin, i to ponad tysiąc razy. Sam Epstein przyznawał się do tego, że bardzo mu zależało na spotkaniu z rosyjskim prezydentem. Wiemy z opublikowanych e-maili, że usiłował dotrzeć do niego za pośrednictwem byłego premiera Norwegii Thorbjørna Jaglanda, w latach 2009–2019 sekretarza generalnego Rady Europy. Także lord Mandelson usiłował załatwić Epsteinowi rosyjska wizę w 2010 r., ale mu się to nie udało.

Słowo „Rosja" pojawia się w aktach ponad 10 tys. razy. Kilka dokumentów wspomina o potencjalnych spotkaniach Epsteina z Putinem (choć nie ma dowodów na to, że się odbyły). Amerykanin utrzymywał regularne kontakty z wysokimi rangą funkcjonariuszami FSB i rosyjskimi dyplomatami. Wiele młodych kobiet, które do niego trafiało, pochodziło z Rosji, Białorusi, Turcji oraz Turkmenistanu. Przekazywał je dalej znajomym celebrytom, jak Bill Gates czy książę Andrew.

Miał też utrzymywać kontakty z wpływowymi kręgami w Izraelu. Już we wcześniej opublikowanych materiałach Epstein sugerował, że to za jego namową i wsparciem w 2019 r. do izraelskiej polityki wrócił były premier Ehud Barak. Brakuje jednak na to dowodów, podobnie jak na związki milionera z izraelskim wywiadem.

Według Brada Edwardsa, adwokata części ofiar Epsteina, nie ma także dowodów na to, że dysponował on listą klientów ani na to, że ich szantażował. „Zajmowałem się tym przez 20 lat i nie widziałem na to żadnych wskazówek" – powiedział prawnik w rozmowie z ABC News. Albo Epstein był więc agentem amerykańskiego lub obcego wywiadu, dla którego zbierał kompromaty, albo lubił się przechwalać, sprawiać wrażenie bardziej wpływowego, niż był w rzeczywistości.

eprasa.pl e84c291d09

SENTYMENT DO POLSKI

W nowym rzucie akt obok Rosji pojawia się także słowo „Polska" – aż 1853 razy, przy czym część e-maili dotyczy Marka Polanda z Sikorsky Global Helicopters, od którego Epstein chciał nabyć śmigłowiec. Jest jeszcze słowo „Warszawa", które pojawia się 1678 razy. Tu chodzi głównie o młode dziewczyny, aspirujące modelki, które odwiedzał w Polsce (poznając nawet ich rodziny), pomagał w rozwijaniu kariery oraz opłacał studia. Odwiedzały go na jego wyspie, w Paryżu i w Nowym Jorku, a on kupował im bilety lotnicze z Warszawy. Jedną z nich miała być modelka Mariana Idźkowska, która po ujawnieniu jej korespondencji z Epsteinem zniknęła z mediów społecznościowych.

Epstein korespondował także z polską spółką Sportis na Kaszubach w sprawie zakupu luksusowego jachtu. Zainwestował również w akcje spółki CD Projekt.

Zresztą dwoje Polaków przez lata pracowało u boku finansisty. Od lat było wiadomo, że polska modelka Adrianna Mucińska Ross wielokrotnie podróżowała na pokładzie samolotu Epsteina, m.in. z Billem Clintonem. W pierwszej sprawie karnej przeciwko Epsteinowi z 2008 r. kobieta została wymieniona jako jego potencjalna wspólniczka w procederze dotyczącym prostytucji nieletnich, lecz nigdy nie usłyszała zarzutów.

W tej samej sprawie sądowej zeznawał inny Polak, Janusz Banasiak, który przez 20 lat zarządzał domem Epsteina w Palm Beach na Florydzie. Jest jeszcze Wojciech Fibak, były tenisista, z którym Epstein miał się spotkać w 2013 r. w Paryżu. Obaj byli sąsiadami w Nowym Jorku i kolekcjonowali sztukę. W rozmowie z PAP Fibak wyraził zdziwienie, że pojawił się w aktach Epsteina. „Ten pan odegrał marginalną rolę w moim życiu. Byliśmy sąsiadami w Nowym Jorku. Ledwo się znaliśmy. Miałem apartament blisko niego i spotykaliśmy się czasem przypadkowo w restauracjach czy na ulicy. To była tego rodzaju znajomość. Nie zakolegowaliśmy się. Nie umawialiśmy się" – podkreślił. Epstein zapewne chciał pozwiedzać galerie w Paryżu, ale jak sugeruje były tenisista, nigdy do tego nie doszło.

Epstein bardzo interesował się Polską. W swojej korespondencji wspominał o dynamicznie rozwijającej się gospodarce nad Wisłą, aktywnie poszukiwał miejsc do zwiedzania, przy czym preferował te związane z historią, jak dawne getta w Warszawie czy Łodzi. W prywatnych wiadomościach pisał zresztą o sobie jako o Polaku. Dziadek miliardera Julius urodził się w Białymstoku. Idźkowską pouczał więc z pozycji „Polaka" o katastrofie smoleńskiej: „Te teorie spiskowe są aberracją i zniewagą dla pamięci ofiar katastrofy, w tym samego nieżyjącego już prezydenta. Jako Polak, który przynajmniej jako tako zna polską politykę i gospodarkę, a także dziennikarz, który codziennie śledzi światową politykę i wydarzenia, jestem głęboko rozczarowany liczbą osób, które lgną do tych teorii spiskowych, a naukowcy i profesjonaliści, którzy propagują takie idee, powinni się wstydzić" – miał napisać.

W tej sprawie jest więc trochę wątków polskich, ale po przejrzeniu korespondencji Epsteina na stronach Departamentu Sprawiedliwości USA, trudno mówić o sensacji. Trochę modelek, trochę sentymentów do Polski (Kaczyńskiego oceniał pozytywnie) i niewiele ponadto.

> W korespondencji z polską modelką Marianą Idźkowską Epstein pouczał ją z pozycji „Polaka" – jego dziadek urodził się w Białymstoku – o katastrofie smoleńskiej: „Te teorie spiskowe są aberracją i zniewagą dla pamięci ofiar katastrofy

RYZYKOWNA GRA

Tymczasem 3 lutego premier Donald Tusk zapowiedział, że powołał zespół analityczny, który zajmie się badaniem upublicznionych akt zmarłego finansisty. Zdaniem szefa rządu był on „organizatorem szatańskiego kręgu". Oczywiście badać można i być może nawet należy. Ale trudno się oprzeć wrażeniu, że tak zdecydowane działanie premiera w tej sprawie ma odwrócić uwagę od mniej przyjemnych i łatwych do zagospodarowania tematów, jak kryzys w służbie zdrowia, spirala długu publicznego czy złe notowania rządu. A podkreślanie powiązań Epsteina z Putinem i rosyjskimi wywiadem stawia w złym świetle Donalda Trumpa, którego przez lata łączyła z nim przyjaźń (prezydent USA twierdzi, że zerwał z nim relacje na początku XXI w.). To znów może negatywnie rzutować na prezydenta Karola Nawrockiego i polityków PiS, którzy utrzymują dobre relacje z Białym Domem. I być może dokładnie o to chodzi. Kolejna odsłona „Russiagate".

Tymczasem najnowsze akta Epsteina kompromitują polityków zarówno z lewej, jak i prawej strony oraz pokazują, że (niektórzy) wpływowi europejscy politycy byli zwyczajnie na sprzedaż, np. Jagland czy lord Mandelson. Powoływanie się na opinie przestępcy seksualnego też jest dość ryzykowne. Epstein nawiązywał kontakty, gdzie i kiedy tylko mógł, bo z tego żył i to zapewniało mu nieprzerwany strumień młodych kobiet. Nie oznacza to, że był czyimś szpiegiem ani że rozgrywał całą światową politykę. Kontaktów z polskimi politykami – jak dotychczas wynika z dokumentów – raczej nie utrzymywał. Wygląda więc na to, że mieliśmy do czynienia z człowiekiem o ogromnym apetycie – amoralnym, zboczonym – który był wystarczająco czarujący i wystarczająco użyteczny dla wielu znanych na całym świecie osobistości. Jedna z jego byłych dziewczyn powiedziała „Vanity Fair", że „Jeffrey kolekcjonował ludzi, jak inni kolekcjonują rzeczy". „Był emocjonalnie infantylny, zahamowany w rozwoju, pozbawiony wewnętrznego świata. Ciągle chwalił się kontaktami. To one wypełniały jego wewnętrzną pustkę" – dodała.

eprasa.pl e84c291d09



Na progu powszechnego wyścigu zbrojeń nuklearnych

W minionym tygodniu przestał obowiązywać traktat rozbrojeniowy New Start, który określał maksymalną liczbę atomowych głowic będących na wyposażeniu Rosji i USA. Oznacza to, że obecnie – po raz pierwszy od 50 lat – obu krajów nie wiążą już żadne dwustronne porozumienia rozbrojeniowe i świat stoi na progu nowej fazy wyścigu zbrojeń jądrowych



MAREK BUDZISZ

António Gutteres, sekretarz generalny ONZ, kilkanaście godzin przed datą wygaśnięcia porozumienia wezwał do wznowienia negocjacji, przestrzegając, że „mamy przed sobą świat bez żadnych wiążących ograniczeń dotyczących strategicznych arsenałów nuklearnych". Papież Leon XIV zwrócił się z kolei do polityków, aby ci „zrobili wszystko, co jest możliwe", aby uniknąć wyścigu zbrojeń nuklearnych. Apele te pozostały bez echa.

Co prawda w październiku ub.r. prezydent Rosji zaproponował, aby oba państwa nawet mimo upływu terminu obowiązywania porozumienia przestrzegały uzgodnionych ograniczeń, ale administracja Trumpa nie odpowiedziała na tę ofertę, na co ostatnio uskarżał się rzecznik Kremla Pieskow. Donald Trump, który udzielił w stycz-

Fot. Shutterstock

eprasa.pl e84c291d09

niu długiego wywiadu dziennikowi „The New York Times", pytany przez dziennikarzy o tę sprawę, zlekceważył problem związany z wygaśnięciem porozumienia, mówiąc: „Jeśli wygaśnie, to wygaśnie... Po prostu zawrzemy lepszą umowę". Tyle że prócz tych ogólnych deklaracji niewiele się od tego czasu wydarzyło. Dlaczego?

ROSYJSKO-CHIŃSKIE ZAGROŻENIE

Powodów jest co najmniej kilka. Po pierwsze, Amerykanie uważają, że Rosjanie zwyczajnie oszukują. Jeszcze za pierwszej kadencji obecnego prezydenta Stany Zjednoczone wypowiedziały inny traktat rozbrojeniowy – o rakietach o średnim i pośrednim zasięgu, bo eksperci w Waszyngtonie doszli do wniosku, że Rosjanie potajemnie opracowali zakazane konstrukcje. Co więcej, w ubiegłym roku światowe media obiegła informacja o umieszczeniu przez Rosjan w kosmosie satelity 2553, co miało być elementem budowy ich zdolności do używania i testowania broni jądrowej w tej domenie. Są one nie tylko groźne dla amerykańskiego systemu łączności satelitarnej. Podjęte przez Kreml działania stanowią też złamanie innego traktatu – o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej w przestrzeni okołoziemskiej.

Druga przyczyna jest znaczenie istotniejsza. Administracja Trumpa – ale podobnie było za czasów jego poprzedników – jest zaniepokojona tempem chińskich zbrojeń nuklearnych. W świetle ocen wywiadu Pekin, który jeszcze kilka lat temu dysponował ok. 300 głowicami przenoszonymi przez rakiety międzykontynentalne – co dawało USA i Rosji bezpieczną przewagę, bo w świetle traktatu New Start oba państwa mogą posiadać po 1550 aktywnych głowic tego rodzaju – obecnie ma ich już 600 i intensywnie się zbroi. Eksperci są zdania, że ok. 2030 r. Chiny mogą mieć nawet tysiąc głowic, a w połowie przyszłego dziesięciolecia osiągną parytet ilościowy konkurujący z Rosją i Stanami Zjednoczonymi.

W świetle tych ocen kontynuowanie polityki rozbrojeniowej oznaczałoby, że USA nałożą na siebie ograniczenia, które nie obowiązują Chin, bo nie podpisały żadnego porozumienia rozbrojeniowego, a Rosjanie i tak notorycznie oszukują. To dlatego Trump kilka razy proponował, aby ewentualne negocjacje prowadzić w trójkącie, ale jego sugestie pozostały bez odpowiedzi.

Wynika to z faktu, że tego rodzaju pertraktacje nie są łatwe. Jak powiedział w rozmowie z dziennikiem „Niezawisimaja Gazieta" akademik Aleksiej Arbatow, jeden z głównych rosyjskich ekspertów w zakresie polityki rozbrojeniowej i nuklearnej,

> W destabilizującym się świecie, kiedy kruszeją gwarancje bezpieczeństwa i kwestionowane są więzi sojusznicze, kwestia posiadania potencjału jądrowego staje się coraz bardziej aktualna

negocjacje w trójkącie – nawet jeśli się rozpoczną, na co Pekin nie ma dziś wielkiej ochoty – będą trudne. Przede wszystkim dlatego, że Amerykanie nie wiedzą, jak traktować współpracujące ze sobą Rosję i Chiny. Jeśli jako sojusz strategiczny, który nie został formalnie zawarty, to równowaga powinna oznaczać wyrównanie potencjału Stanów Zjednoczonych i rosyjsko-chińskiego tandemu. A to by oznaczało – jeśli trzymać się dotychczasowych ograniczeń ilościowych – że Rosja powinna zmniejszyć liczbę posiadanych głowic, aby w tym wspólnym rachunku uwzględnić rosnący potencjał Pekinu. Ale Kreml nigdy na to nie pójdzie, mając w pamięci podróż Nixona do Pekinu i zawarty w jej konsekwencji antyrosyjski sojusz. Można więc być pewnym, że łączne traktowanie zdolności nuklearnych Moskwy i Pekinu na użytek negocjacji nie wchodzi obecnie w grę.

Amerykanie nie wykluczają jednak, że sojusz chińsko-rosyjski ulegnie pogłębieniu, o czym ciągle mówią przywódcy obydwu państw, a to z kolei oznacza, że za kilka lat strategiczni rywale osiągną znaczącą przewagę. „Po co zatem czekać i bezczynnie przyglądać się, jak Chińczycy się zbroją?" – argumentują zwolennicy tego poglądu. Ich zdaniem teraz, kiedy Pekin jeszcze nie osiągnął stawianych sobie celów, a Rosjanie w związku z wojną na Ukrainie nie mają pieniędzy, trzeba modernizować własny potencjał i rozwijać zdolności.

To właśnie z tego powodu w ubiegłym roku Trump ogłosił wznowienie prób nuklearnych i modernizacje posiadanych systemów, zapowiadając, że w najbliższym 30-leciu Ameryka wyda na zbrojenia nuklearne nawet 1,5 bln dol.

Ewentualne rozmowy rozbrojeniowe w trójkącie amerykańsko-chińsko-rosyjskim będą jeszcze bardziej skomplikowane, bo Pekin pyta o indyjski arsenał nuklearny, a nie przejmuje się zdolnościami Francji i Wielkiej Brytanii, które z kolei niepokoją Moskwę. Chcąc odpowiedzieć na te obawy, należałoby rozpocząć globalne negocjacje rozbrojeniowe, obejmujące więcej niż jedno państwo, na co przy obecnym stanie relacji raczej się nie zanosi. Co prawda przed wojną Rosjanie sygnalizowali gotowość do realizacji tzw. memorandum Dynkina, ale wybuch konfliktu zniweczył te plany. Akademik Aleksandr Dynkin zaproponował wówczas, aby rozmowy rozbrojeniowe obejmowały w pierwszym rzędzie arsenały Rosji i Stanów Zjednoczonych. Chodziło przede wszystkim o znajdujące się w podziemnych szachtach rakiety międzykontynentalne. Są one już przestarzałe, a na dodatek wszyscy wiedzą, gdzie się znajdują – w przeciwieństwie do mobilnego potencjału na atomowych okrętach podwodnych, którego aktualne położenie trudno określić. Eksperci uznają, że w razie konfliktu rakiety balistyczne klasy ziemia–ziemia po pierwszej salwie zostaną zniszczone po obu stronach, a to powoduje, że sens ich posiadania

eprasa.pl e84c291d09

i wydawania miliardów dolarów na modernizację jest kwestionowany. Dynkin zaproponował, aby Moskwa, negocjując z Amerykanami przedłużenie traktatu, dążyła do obniżenia limitu liczby głowic do umownej liczby ok. tysiąca. Negocjacja nowej umowy zajmie lata, a to by oznaczało, że w momencie jej ewentualnego podpisania Chińczycy dogoniliby Rosję i Stany Zjednoczone. Wówczas można by było rozpocząć negocjacje trójstronne. Propozycja Dynkina nie wzbudziła jednak w Waszyngtonie entuzjazmu, bo jej przyjęcie dawałoby Rosji pozycję „rozgrywającego".

W obecnej sytuacji perspektywa negocjacji wydaje się dość iluzoryczna choćby z tego powodu, że Kreml nie ma zamiaru zrezygnować z atutów, które daje mu posługiwanie się groźbą użycia swego potencjału jądrowego. Dmitrij Miedwiediew, były prezydent, za kadencji którego przedłużono traktat New Start, obecnie zastępca przewodniczącego rosyjskiej Rady Bezpieczeństwa, powiedział w wywiadzie dla dziennika „Kommiersant", że „gdyby nie broń atomowa, to mojej ojczyzny już zapewne by nie było" i nazwał zdolności nuklearne Rosji „najlepszym gwarantem suwerenności". Jego zdaniem nie ma mowy o nowych negocjacjach, dopóki nie zostanie osiągnięte porozumienie w równie istotnych kwestiach, np. szacunku dla bezpieczeństwa drugiej strony. Tym mianem rosyjscy politycy najczęściej określają konieczność uznania przez Zachód interesów Moskwy na Ukrainie i w podobnym tonie wypowiada się Miedwiediew, deklarując przy okazji, że bez ogólnego ustabilizowania relacji rozbrojenie jest niemożliwe, a może nawet niecelowe. Siergiej Riabkow, wiceszef rosyjskiego MSZ, deklaruje, że „jesteśmy gotowi na świat bez kontroli zbrojeń nuklearnych", a Dmitrij Miedwiediew sugeruje nawet, że niedługo „klub jądrowy" rozszerzy się o nowe państwa. W świetle deklaracji Riabkowa Rosja „nie weźmie udziału" w wyścigu zbrojeń nuklearnych, ale wiarygodność tych zapewnień nie jest wielka, bo w ostatnich latach Kreml zarówno dyslokował swoje głowice na Białoruś, jak i zmienił doktrynę jądrową, obniżając próg użycia, a także zaprezentował nowe rakiety hipersoniczne w rodzaju Oriesznika, które znacznie trudniej jest przechwycić.

NORDYCKA BROŃ ATOMOWA

W destabilizującym się świecie, kiedy kruszeją gwarancje bezpieczeństwa i kwestionowane są więzi sojusznicze, kwestia posiadania potencjału jądrowego staje się coraz bardziej aktualna. Najlepszym przykładem zmieniających się nastrojów są dyskusje w państwach skandynawskich, przez lata uznawanych za bastion – jeśli chodzi o nastawienie – zwolenników nuklearnego rozbrojenia. Teraz zmienia się to w przyspieszonym tempie.

„Dagens Nyheter", duży liberalny dziennik wychodzący w Szwecji, w artykule redakcyjnym postuluje rozpoczęcie dyskusji na temat „nordyckiej broni atomowej". Argumentacja jest prosta – w obecnych czasach trudno mieć pewność co do skuteczności amerykańskiego parasola nuklearnego, a ewentualne gwarancje Paryża i Londynu również trzeba traktować z rezerwą. Zagrożenie ze strony Rosji nie maleje, a to oznacza, że nie mając pewności co do postawy sojuszników, trzeba rozpocząć samodzielną akcję. Jeśli państwa skandynawskie podejmą decyzję o budowie własnego potencjału, to – jak argumentuje redakcja dziennika – „połączenie umiejętności ekspertów nuklearnych i zaawansowanego przemysłu obronnego daje Szwecji kluczową rolę".

Do tej pory wypowiadający się na ten temat politycy z państw nordyckich mówili jedynie o gotowości do przyjęcia amerykańskich bomb atomowych na swym terytorium. Prezydent Finlandii Alexander Stubb w czasie kampanii wyborczej „nie wykluczał" takiego rozwiązania, a Ulf Kristersson, premier Szwecji, deklarował potrzebę dyskusji na temat dołączenia jego kraju do amerykańskiego programu Nuclear Sharing, kilka tygodni temu poinformował zaś o trwających rozmowach z Francją i Wielką Brytanią na temat szans rozszerzenia ich parasola nuklearnego.

Eksperci i analitycy idą jeszcze dalej. David Carlqvist, szwedzki ekspert, zaproponował reaktywowanie unii kalmarskiej, związku państw nordyckich, który został utworzony w 1523 r. Obecnie miałby on dysponować bronią jądrową. Jeden z duńskich naukowców postuluje nawet, aby wspólny nordycki program budowy bomby atomowej nazwać Młot Thora.

ATOMOWE PRZYSPIESZENIE

Dyskusja na temat konieczności rozpoczęcia własnego programu nuklearnego trwa również w niemieckich mediach. Jeden z wypowiadających się na ten temat naukowców sformułował nawet egzotyczną propozycję, aby Berlin „kupił" od Amerykanów tysiąc głowic, bo ci po podpisaniu umów rozbrojeniowych część z nich zdemontowali i trzymają je w magazynach.

Pytany o atomowe plany Niemiec kanclerz Merz uchylił się od odpowiedzi, dwuznacznie deklarując, że „jeszcze nie czas" na tego rodzaju rozważania, ale zakup przez Berlin izraelskich rakiet Arrow-3 o zasięgu 2,4 tys. km jest uznawany przez ekspertów za pierwszy krok w tym kierunku.

O rozbudowie swoich zdolności myślą Brytyjczycy, w Korei Południowej trwa narodowa debata na temat budowy broni jądrowej, a Japonia realizuje program „latencji nuklearnej". Tokio nie posiada obecnie gotowych ładunków, ale dysponuje wszystkimi składowymi, które są niezbędne, aby je skonstruować. Jeśli bezpieczeństwo Japonii pogorszy się, to wystarczy kilka miesięcy, aby zbudować nawet 30 głowic nuklearnych.

Ukraińscy eksperci również wyciągają naukę z rozwoju sytuacji. Jak napisał Iwan Kyryczewski z portalu Defence Express, z faktu, iż Amerykanie i Rosjanie nie byli w stanie porozumieć się w sprawie kontroli zbrojeń nuklearnych, trzeba wyciągnąć prawidłowe wnioski. Narzuca się sceptycyzm wobec szans wynegocjowania trwałego pokoju, a w związku z tym, jeśli Ukraina myśli o przyszłości, to powinna „samodzielnie stworzyć więcej narzędzi", aby decydować o swojej suwerenności. Zełenski już kilkakrotnie sugerował, że Kijów może uruchomić własny program nuklearny.

Innymi słowy – za kilka lat może się okazać, że wszyscy sąsiedzi Rzeczypospolitej – prócz Czech i Słowacji – albo jak Rosja mają broń atomową, albo pracują nad jej uzyskaniem.

eprasa.pl e84c291d09

Jesteśmy Polakami, obywatelami Ukrainy



Relacja z Ukrainy

O polskiej społeczności w Odessie i historii miasta, a także o trwającej wojnie i ukraińskich bohaterach walczących z Moskalami opowiada ***Svitlana Zaitseva-Velykodna***, prezes tamtejszego oddziału Związku Polaków na Ukrainie im. Adama Mickiewicza, w rozmowie z Andrzejem Skwarczyńskim

Spotykamy się w Odessie, mieście, które leży daleko od Polski, a mimo to w jego centrum znajdziemy ul. Polską i będącą jej odnogą ul. Lecha Kaczyńskiego. Skąd te nazwy?



Svitlana Zaitseva-Velykodna: Powiedzenie „Polska od morza do morza" nie wzięło się z niczego. My tutaj jesteśmy właśnie... „do morza". Za czasów panowania króla Władysława Jagiełły Odessa i tereny dalej na wschód znajdowały się w granicach Rzeczypospolitej. W tym czasie miasto nazywało się Chadżybej – od istniejącej w tym miejscu tatarskiej warowni. Osada zmieniła swój charakter i została znacznie rozbudowana za sprawą ukazu carycy Katarzyny II, w myśl którego miała tam powstać „przystań handlowa i port w mieście Chadżybej". To, że od 1795 r. w dokumentach pojawia się nazwa Odessa, nie oznacza, że Chadżybej został zburzony, a na jego gruzach powstało nowe miasto. Mieliśmy do czynienia jedynie ze zmianą nazwy tej samej miejscowości.

Na początku XX w. Polacy stanowili 10 proc. społeczności Odessy. Reprezentowali wszystkie warstwy społeczne. Trafiali tu różnymi drogami i z różnych przyczyn. Niemniej polska inteligencja i kupcy znacznie się zasłużyli dla miasta. Co trzeci budynek w Odessie został zaprojektowany przez lub dla naszego rodaka. Polskiej obecności nie dało się nie zauważyć. Również my kształtowaliśmy to wielokulturowe miasto. Ten ślad jest widoczny chociażby w nazwach tych ulic.

Jak pani powiedziała – były różne powody, dla których Polacy docierali do Odessy. Jakie konkretnie?

Po aneksji Noworosji – Katarzyna II osobiście nazwała tak tereny na południowej Ukrainie zdobyte na imperium osmańskim – Rosja carska stanęła przed wyzwaniem ich kolonizacji. Tak jak w przypadku innych obszarów, sięgnięto po sprawdzoną metodę zsyłki. Najsłynniejszym Polakiem, który trafił do Odessy, był Adam Mickiewicz. Obecnie w mieście są jego pomnik oraz tablice pamiątkowe – na domu, w którym uczył oraz tam, gdzie mieszkał. Z Odessy na sachalińskie zesłanie odpłynął też statek z bratem Józefa Piłsudskiego Bronisławem.

Drugą grupą tutejszych Polaków byli przedstawiciele bogatych rodów, m.in. Potockich czy Branickich, zarabiający na handlu zbożem. Ich spichlerze znajdowały się przy ulicy, która obecnie nazywa się Polska i prowadzi bezpośrednio do portu, skąd towary wyruszały w świat. Za tymi ludźmi przyjeżdżały masy polskich pracowników, poczynając od tych wykonujących prace fizyczne przez prawników, lekarzy, księgowych po wspomnianych już architektów.

A jak do Odessy trafili pani przodkowie? Jak została pani prezesem Związku Polaków w tym mieście?

Moja polska tożsamość jest mozaiką rodzinnej historii rozpiętą między Górnym Śląskiem i Małopolską a wschodnią Ukrainą. Losy wojenne i powojenne rzuciły moją prababcię, Helenę Nowakową z domu Wodołazską, do Charkowa,

eprasa.pl e84c291d09

a później, już moją mamę, do Odessy – miasta, które stało się prawdziwą polską przystanią dla mojej rodziny.

W mojej pamięci i sercu Odessa ma szczególne miejsce. To tutaj znajdował się jedyny w okolicy niezamknięty kościół katolicki pw. Świętego Piotra, co miało fundamentalne znaczenie dla mojej babuni. To ona z wielkim zaangażowaniem mnie ochrzciła, nauczyła języka i zaszczepiła polskość. Aż do jej śmierci naszym wspólnym językiem był polski.

Kościół i towarzystwo Polaków stały się centrum życia mojej rodziny. Tam moja babcia spotykała się m.in. z założycielami Towarzystwa Kultury Polskiej im. Adama Mickiewicza w Odessie. Wychowawczynią mojego pokolenia była śp. Wanda Bilecka. To ona została moją „panią od kultury", ucząc polskich piosenek, tańców i wierszy – wychowując niemal każde dziecko polskiego pochodzenia w Odessie w latach 90. W ten sposób zupełnie naturalnie jako dziecko stałam się częścią organizacji, którą dzisiaj mam zaszczyt kierować.

Po studiach wróciłam do Związku Polaków na Ukrainie Oddziału im. A. Mickiewicza jako nauczycielka języka polskiego. Ówczesny prezes, śp. Tadeusz Załucki, przez pięć lat delikatnie wprowadzał mnie w tajniki zarządzania stowarzyszeniem i szkolił na swoją następczynię. W listopadzie 2017 r. wygrałam wybory na prezesa, a w lutym 2022 r. ponownie zostałam doceniona, więc moja kadencja trwa.

Ilu Polaków mieszka obecnie w Odessie?

Według spisu ludności w 2001 r. w Odessie mieszkało ok. 2,5 tys. Polaków [0,2 proc. mieszkańców – przyp. red.], ale uważam, że było ich więcej. Na skutek polityki prześladowań i wynarodowiania prowadzonej w ZSRS nasi rodacy nawet na początku XXI w. mogli się obawiać przyznawania do polskości, a inni być może utracili jej świadomość.

Najwięcej (do 50 tys.) było nas tutaj po 1918 r. Na szczęście I wojna światowa ominęła Odessę, dzięki czemu schronienie w mieście znalazło wielu uchodźców z terenów objętych walkami, w tym Polacy. Akurat wtedy przypłynął do portu dywizjon polskiej jazdy, który po przyjęciu licznych odeskich ochotników rozwinął się do pułku. Szczególnie zasłużył się w bitwie pod Jazłowcem w czasie wojny polsko-ukraińskiej w 1919 r., dlatego przyjął nazwę pułku ułanów jazłowieckich – tych samych, którzy szli z odsieczą walczącej Warszawie w 1939 r.

Zatrzymajmy się przy tematyce wojennej. Niemal cztery lata temu Rosja rozpoczęła pełnoskalową napaść na Ukrainę. Jak na te wydarzenia zareagowali tutejsi Polacy?

Nasza reakcja nie różniła się zbytnio od działań podejmowanych przez społeczeństwo. Matki z dziećmi w poszukiwaniu bezpieczeństwa w większości wyjechały do Polski. Część mężczyzn zaciągnęła się do armii i cały czas walczy z najeźdźcami na wszystkich kierunkach. Nie zapominamy o nich – wysyłamy im paczki, a oni zawsze odwiedzają nas podczas przepustek. Pozostali Polacy zaangażowali się w różne formy wolontariatu, pomagając uchodźcom, zdobywając fundusze i wszystko inne, co było i jest potrzebne do obrony kraju.

Czy któryś z tutejszych Polaków zginął w walce z Rosjanami?

Po Ukrainie krąży wystawa „Byłem Polakiem, obywatelem Ukrainy". Jest ona prezentowana w różnych miastach, w 2023 r. przez pewien czas można ją było obejrzeć również w Warszawie. Tworzą ją plansze przedstawiające żołnierzy ukraińskiej armii polskiego pochodzenia. Niejednokrotnie byłam pytana, czy chciałabym dołączyć kogoś do ekspozycji. Dzięki Bogu nie mam nikogo takiego. Opatrzność chroni naszych chłopców i żaden z odeskich Polaków nie zginął. Niestety nasi rodacy z innych miast Ukrainy są obecni na planszach prezentowanych na tej wystawie.

Czy przez niemal cztery lata wojny udało się pani do niej przyzwyczaić?



Część plansz z wystawy „Byłem Polakiem, obywatelem Ukrainy"

Fot. Liudmyla Skwarczyńska

Wielokrotnie zadawano mi to pytanie, szczególnie kiedy odwiedzałam Polskę. Nie da się przyzwyczaić do tego, że następnego dnia możesz się już nie obudzić. Musisz zdawać sobie z tego sprawę i co niedzielę spowiadać się w kościele, bo może to być ostatni raz.

Pewnego razu, przejeżdżając odeskim tramwajem, zauważyłem na murze tabliczkę z napisem w języku polskim: „Cmentarz katolicki". Czy na Ukrainie wyrazy „Polak" i „katolik" są synonimami?

Ten cmentarz nie jest polskim cmentarzem – jak Łyczakowski we Lwowie czy nekropolia w Żytomierzu. Są tam pochowani także katolicy innych narodowości, ale ponieważ polska społeczność jest najbardziej zaangażowana w jego utrzymanie, mamy tabliczkę po polsku. W świadomości Ukraińców katolicyzm jest bardzo mocno powiązany z polskością, dlatego można się zgodzić, że tutaj każdy Polak będzie postrzegany jako katolik. Znane hasło „Bóg, Honor, Ojczyzna" Ukraińcy przypisują wszystkim Polakom. Na Ukrainie było i jest wiele wsi zamieszkanych przez naszych rodaków i ich potomków. Każdą z nich łatwo można rozpoznać dzięki znajdującym się w nich kościołach.

My, Polacy, jesteśmy bardzo przywiązani do naszych przodków. Bardzo ważna jest dla nas możliwość zapalenia znicza na ich grobach. Ukraińcy tego nie rozumieją. Kilkadziesiąt lat sowietyzacji wpoiło w nich pewnego rodzaju lęk przed pamięcią o tym, kim byli ich pradziadowie. Dlaczego? Bo złe pochodzenie mogło być przyczyną represji, zsyłki, a nawet śmierci całej rodziny. Dla nich często było lepiej, by zapomnieli o przodkach.



Fot. Andrzej Skwarczyński

Związek Polaków na Ukrainie Oddział im. Adama Mickiewicza w Odessie powstał w październiku 1990 r. Statutowym celem jego działalności jest kultywowanie polskiej kultury oraz przekazywanie tożsamości kolejnym pokoleniom. Misja ta jest realizowana przez nauczanie języka polskiego, historii oraz organizację wydarzeń patriotycznych i kulturalnych. Przy stowarzyszeniu działa chór oraz amatorski teatr, a w jego siedzibie znajduje się największa w Odessie polska biblioteka.

Wychowankowie związku osiągają sukcesy w konkursach historycznych na terenie Polski, rywalizując z dziećmi uczącymi się w ojczyźnie. Związek prowadzi zaawansowane rozmowy z ukraińskim ministerstwem edukacji, których celem jest umożliwienie potwierdzania nauki języka polskiego przez jego wychowanków na ukraińskich świadectwach szkolnych.

Związek współpracuje z IPN, a jego działalność jest możliwa dzięki wsparciu z polskiego budżetu, fundacjom Wolność i Demokracja i Pomoc Polakom na Wschodzie oraz innych partnerów. Obecnie na zajęcia organizowane przez związek uczęszcza 81 uczniów.

Stąd też bierze się ich niezrozumienie dla tak ważnej dla nas kwestii dotyczącej ekshumacji i pochówku ofiar rzezi wołyńskiej.

Dla nas są to kwestie podstawowe, podwaliny naszej kultury. Trudno zrozumieć, dlaczego Ukraińcy – w końcu historycznie jeden z mocniej powiązanych z Polakami narodów – mają z tym problem.

To jest po prostu inna kultura, w której to zagadnienie nie jest istotne. W rozmowach z ukraińskimi sąsiadami zawsze podaję przykład Adama Mickiewicza. Po jego śmierci nie pochowaliśmy go w Stambule, gdzie jego grób i tak byłby odwiedzany przez Polaków, lecz sprowadziliśmy jego ciało do Krakowa i złożyliśmy w krypcie na Wawelu. Do niedawna tego nie rozumieli, ale teraz zaczyna się to zmieniać. Ukraińcy starają się odzyskiwać ciała poległych żołnierzy. Przykład Mariupola wydaje się trafiać do tutejszej świadomości. Kiedy rozmawiam z ludźmi, często wyrażają oni nadzieję na wydobycie i pochowanie szczątków rodaków z dołów śmierci czy spod zbombardowanego teatru. Trzeba prowadzić ciągły dialog, rozmawiać i tłumaczyć swoje racje. Wierzę, że to przynosi efekty.

Żołnierze UPA są czczeni na Ukrainie jak bohaterowie. W Polsce ten kult jest nie do zaakceptowania. Jak o tym rozmawiać?

UPA i Bandera są znani prawie wyłącznie na zachodniej Ukrainie. Poza tą częścią kraju stali się obecnie symbolem walki z Moskalami jako stawiający zbrojny opór sowieckiej Rosji. Co ważne, rzeź wołyńska nie jest powszechnie pamiętana na Ukrainie. Czarno-czerwone banderowskie flagi nie były znane w centralnej i wschodniej części kraju, obecnie też nie są tu eksponowane. W Odessie pamięć o UPA nie istnieje. Ze względu na brak innych wzorów żołnierze UPA zostali zapożyczeni na symbolicznych bohaterów. O Chmielnickim zapomniano – wszak oddał Ukrainę w ręce Moskwy. Pamięć o Mazepie została całkowicie wyrugowana przez Sowietów. W przypadku Petlury istnieje wiele wątpliwości i kontrowersji. Jest nadzieja, że trwająca wojna wyniesie na sztandary nowe postacie, stworzy nowych bohaterów, którzy na trwałe wejdą do ukraińskiego panteonu i przyćmią poprzednich.

Żeby pójść dalej, Ukraina musi stanąć w prawdzie i tak rozmawiać o trudnych sprawach. Być może wtedy uda się unormować stosunki z Polską.

Svitlana Zaitseva-Velykodna *– magister zarządzania oraz filologii polskiej, prezes Związku Polaków na Ukrainie Oddział im. Adama Mickiewicza w Odessie. Zajmuje się działalnością edukacyjną, kulturalną, pomocową oraz kwestiami związanymi z zachowaniem dziedzictwa i pamięci narodowej na południu Ukrainy. Nagrodzona Medalem 100-lecia Odzyskania Niepodległości nadanym przez Prezesa Rady Ministrów Mateusza Morawieckiego oraz odznaczeniem Zasłużona dla Kultury Polskiej*

eprasa.pl e84c291d09



Żydowscy policjanci w Węgrowie

Fot. United States Holocaust Memorial Museum, courtesy of Leopold Page Photographic Collection

Jak setki ofiar żydowskiej policji przepisać na konto Polaków

„Nowa polska szkoła badań Holokaustu", powszechnie kojarzona z Barbarą Engelking, Janem Grabowskim i ich współpracownikami, w kolejnych książkach systemowo „przepisuje" na konto Polaków odpowiedzialność za śmierć setek Żydów zamordowanych przez Niemców. To samo robi z setkami ofiar, które zostały wykryte w różnych kryjówkach i wydane w ręce Niemców przez funkcjonariuszy żydowskiej policji

eprasa.pl e84c291d09



PIOTR GONTARCZYK

W 1961 r. ukazała się monumentalna książka Raula Hilberga „Zagłada Żydów europejskich", która do dziś stanowi jedną z najważniejszych prac na temat Holokaustu. Nie pozostawia ona wątpliwości, iż Żydzi działający w Żydowskiej Policji Porządkowej w różnych krajach okupowanej przez Niemców Europy mieli bezpośredni udział w deportacjach ich pobratymców. To niechlubny przejaw kolaboracji.

Przed problemem opisania działalności tej formacji stanęli adepci tzw. nowej szkoły badań Holokaustu z Barbarą Engelking i Janem Grabowskim na czele. Materiały źródłowe, nad którymi pracowali, tworząc swoje artykuły i książki (w tym przede wszystkim „Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski") zawierały ogromną liczbę informacji na temat działalności Jüdischer Ordnungsdienst (Żydowskiej Służby Porządkowej, w skrócie JOD lub OD), o której w opracowaniu Hilberga można znaleźć informacje szczątkowe, a na stronie Yad Vashem głównie banalne ogólniki. Engelking i Grabowski na pewno je znają, ale przecież jednym z głównych celów działania tej „szkoły" nie wydaje się rekonstrukcja historii, tylko budowanie jej bardzo specyficznego obrazu.

W ramach tych działań stworzono metodologiczną siatkę zniekształcania treści wykorzystywanych źródeł, tak że różne grupy Polaków (policjantów, strażaków, sołtysów, a nawet świadków niemieckich zbrodni, nazywanych „świadkami i tym samym uczestnikami akcji eksterminacyjnych"!) wpisano w krąg zła. Na końcu tej drogi jest próba przesunięcia Polaków z grona narodów – ofiar niemieckiej polityki do kategorii „współsprawców Holokaustu".

Wykonawcy tej operacji stanęli przed problemem, co zrobić z licznymi źródłami na temat niekiedy wręcz zbrodniczych działań żydowskiej policji, które znacząco utrudniają budowanie jednostronnego opisu postaw Polaków i tworzenie schematu przyczepiania łatki „współuczestników Holokaustu". Zastosowaną w tej sprawie metodę działania można chyba spróbować definiować tak: „Przemilczeć, wyciąć nożyczkami, a czego się nie da usunąć, zwalić na Niemców, a jeszcze lepiej Polaków".

W tygodniku „Sieci" z 8 września 2025 r. („O żydowskiej policji w czasie wojny") opisałem ogólne zasady realizacji tej doktryny w różnych publikacjach „nowej szkoły badań Holokaustu", ukazujących się głównie pod szyldem Polskiej Akademii Nauk. Ale historia odnotowuje wiele różnych, mniej znanych i bardzo drastycznych aspektów działalności JOD, których nie ma w opracowaniu Hilberga ani w dostępnej literaturze przedmiotu czy jakichkolwiek publikacjach Yad Vashem. Jednym z nich jest sprawa działalności żydowskiej policji pozostawionej w gettach po zasadniczej fali deportacji.

BOCHNIA

W 2006 r. w drugim numerze sztandarowego pisma Centrum Badań nad Zagładą Żydów PAN „Zagłada Żydów. Studia i materiały" ukazał się artykuł Witolda Mędykowskiego z Instytutu Yad Vahem w Jerozolimie pod znamiennym tytułem „Przeciw swoim. Wzorce kolaboracji żydowskiej w Krakowie i okolicy". Autor napisał: „W czasie wysiedlenia Żydów z Bochni pierwszego września 1943 r. wielu ukryło się w różnych schowkach i specjalnie przygotowanych bunkrach. W akcji wyszukiwania Żydów brali udział miejscowi policjanci żydowscy, ale też konfident krakowski Brodman [...] W Bochni [...] zdarzało się też, że Żydzi z własnej inicjatywy donosili na innych, licząc, że uratują siebie czy rodzinę. [Żydowski policjant] Cukierman, chcąc się ratować, powiedział, że zna miejsce, gdzie ukryło się około dwustu Żydów. Został zwolniony, a wyciągniętych z dwóch bunkrów rozstrzelano, m.in. rabina z Brzeska zwanego »Wielopoler Rebe« [Icchak Lipszyc z Brzeska – przyp. aut.]. [...] Podczas szukania bunkrów w Bochni bardzo był aktywny żydowski policjant Frisch. [...] doniósł Niemcom na rodzinę Schanzerów ukrywającą się w bunkrze w swoim domu. Na rozkaz [niemieckiego żandarma] Müllera zaczęto szukać wejścia do bunkra. Frisch mówił, że byłby to wstyd, gdyby go nie znaleźli i należy pokazać, co potrafią. Później zaproponował Schanzerom darowanie życia za dużą łapówkę. Dwóch młodszych braci zdołało zbiec, ale ojca i dwóch starszych braci po wyłudzeniu od nich pieniędzy rozstrzelano".

Perfidia żydowskich policjantów sięgała daleko: wyciąganym z bunkrów nakazywano milczenie w czasie konwojowania na posterunek, łudząc ich, że chodzi o ukrywanie ich przed Niemcami. Ale to była część prawdy, bo w istocie chodziło o to, żeby móc ich wcześniej skrupulatnie przeszukać i obrabować, a dopiero potem wydać w ręce Niemców na rozstrzelanie. Opisy brutalnego rabunku połączonego m.in. z poszukiwaniem złota w intymnych miejscach kobiet zachowały się w aktach. Masowa akcja wyszukiwania uciekinierów i wydawania ich w ręce Niemców przez funkcjonariuszy OD pochłonęła w Bochni setki ofiar.

W czasie, gdy opublikowano artykuł Mędykowskiego, w redakcji pisma „Zagłada Żydów" zasiadali m.in. Jan Grabowski i Barbara Engelking. 12 lat później, w 2018 r., wspomniani badacze byli głównymi autorami i redaktorami książki „Dalej jest noc", w której historię getta w Bochni zgodnie z owymi kanonami „polskiej szkoły badań Holokaustu" opisała Dagmara Swałtek-Niewińska. Wzięła te same dokumenty, co wcześniej naukowiec z Yad Vashem (powojenne akta sprawy karnej żydowskiego policjanta Samuela Frischa) i napisała, że żydowskich uciekinierów wyszukiwali w bunkrach... niemieccy i polscy policjanci (t. 2, s. 563–564). Kilka lat temu opisałem sprawę w „Sieci", opublikowałem dokumenty. Wybuchł skandal, bo nie tylko te akta, lecz także wiele żydowskich relacji

eprasa.pl e84c291d09

jednoznacznie opisuje prawdę. Ale w mediach, takich jak portal OKO.press czy „Gazeta Wyborcza", zarówno Swałtek-Niewińska, jak i Jan Grabowski (ten również w izraelskiej prasie) podtrzymali fałszywe informacje z książki „Dalej jest noc". Każdy może się pomylić, ale potem powinien się przyznać do błędu. Jeżeli jednak działa w taki sposób, to już wiadomo, z kim mamy do czynienia.

TARNÓW

Ten sam fragment historii działalności żydowskiej policji powinien być rzetelnie opisany w książce Jana Grabowskiego „Judenjagd. Polowanie na Żydów 1941–1945. Studium dziejów pewnego powiatu" (2011). Autor twierdzi w tej publikacji, że jest ona opracowaniem powiatu Dąbrowa Tarnowska. To fałsz: zasadnicza warstwa faktograficzna dotycząca prawdziwych i fikcyjnych przestępstw Polaków przeciwko Żydów została „ściągnięta" z całej Polski: krakowskiego, rzeszowskiego, nawet Mazowsza, a całość tego dzieła została przedstawiona właśnie jako historia jednego, „przykładowego" powiatu. Odnosząc się do najważniejszego, czyli wyszukiwania i wyciągania Żydów z kryjówek, Jan Grabowski obciążył odpowiedzialnością za te działania głównie Niemców i Polaków. Niejako na marginesie wspomniał tylko o udziale żydowskiej policji, opisując jednego z nich (Wilhelma Lernera) jako bezradną ofiarę.

Dostępne akta archiwalne i relacje przedstawiają inny obraz wydarzeń. OD-mani tworzyli zbiorowisko służalców, brutalnie i bezwzględnie traktujących rodaków. To oni u boku Niemców odegrali kluczową rolę we wszystkich deportacjach z Tarnowa. Skazując wspomnianego Wilhelma Lernera na 3,5 lata więzienia, sąd napisał: „W czasie akcji wysiedlań, getta, których do lutego 1944 było kilka, »odemani« – między którymi był również o oskarżony – opróżniali z polecenia gestapa [Gestapo – przyp. aut.] domy z ukrywających się tam Żydów, dostawiając ich na plac zbiórki, gdzie gestapowcy decydowali o ich losie, kierując ich bądź do transportów wysiedleńczych, bądź rozstrzeliwując ich na cmentarzu".

Między OD-manami – tak jak w Bochni – trwała rywalizacja, kto wyciągnie więcej ofiar i bardziej przypodoba się Niemcom. Jednocześnie funkcjonował także podział ról: jedni wyspecjalizowali się w wyszukiwaniu żydowskich kryjówek i bunkrów, inni lepiej sprawdzali się w wydawaniu Niemcom rodaków ukrywających się na „aryjskich papierach" poza gettem. W nagrodę za zasługi przynajmniej część z policjantów trafiła do obozu w Płaszowie, a potem do obozów koncentracyjnych na terenie Niemiec, gdzie przetrwała do wyzwolenia, cały czas gorliwie służąc Niemcom.

Jednego z nich – nazwiskiem Zimet – rozpoznały po wojnie jego żydowskie ofiary. Świadectwa na jego temat zaczął zbierać słynny tropiciel zbrodniarzy hitlerowskich Szymon Wiesenthal. Zimet pojawił się w jego biurze z nożem, żeby go zabić. Wiesenthal wspominał: „Biorę z biurka kałamarz i rzucam mu w twarz, żeby się chronić, i krzyczę tak głośno, że ludzie przybiegają na pomoc [...]. Zimet spędził za to cztery tygodnie w więzieniu". Przez wiele lat ofiary Zimeta próbowały doprowadzić go przed oblicze sądu, ale austriackie i kanadyjskie władze w ogóle nie chciały zająć się tą sprawą. Ostatecznie Zimet stanął przed Bet Din (sądem żydowskim) i został uwolniony od zarzutów. Sprawie ukręcono łeb, żeby nie wyszła na jaw, bo będzie „wstyd przed gojami".

> Perfidia żydowskich policjantów sięgała daleko: wyciąganym z bunkrów nakazywano milczenie w czasie konwojowania na posterunek, łudząc ich, że chodzi o ukrywanie ich przed Niemcami. Ale to była część prawdy, bo w istocie chodziło o to, żeby móc ich wcześniej skrupulatnie przeszukać i obrabować, a dopiero potem wydać w ręce Niemców na rozstrzelanie . Masowa akcja wyszukiwania żydowskich uciekinierów przez funkcjonariuszy OD pochłonęła w Bochni setki ofiar

Oprócz Lernera w powojennej Polsce przed sądem stanął jeszcze inny OD-man z Tarnowa. Nie dość, że zarzucano mu udział w deportacjach i wyciąganiu Żydów z kryjówek, to jeszcze na rozprawie pojawiła się kobieta, która sugestywnie opowiedziała, jak z tarnowskich transportów do obozu ów policjant wyrzucał z wagonów na rozstrzelanie znalezione tam dzieci (Niemcy zabronili ich zabierania). Policjant kluczył, ale ogólnie nie zaprzeczał, że tak było. Sąd wydał wyrok śmierci, który został wykonany. To chyba jedyny znany przypadek takiego finału historii żydowskiego policjanta, który zapłacił życiem za realizację hitlerowskiej polityki eksterminacji Żydów.

Jan Grabowski wiedział – choćby z akt sprawy Wilhelma Lernera – jak było naprawdę. Ale w „Judenjagd" napisał: „W Tarnowie podczas akcji wysiedleńczej [...] część Żydów pochowała się w prowizorycznie przygotowanych bunkrach i schowkach. W poszukiwaniu ofiar szczególnie odznaczyli się polscy junacy z Baudienst" (s. 126). „Nowa polska szkoła badań Holokaustu" w pełnej krasie.

DĄBROWA TARNOWSKA

W podobny sposób Jan Grabowski załatwił sprawę działalności żydowskiej policji w Dąbrowie Tarnowskiej.

eprasa.pl e84c291d09

Również tu przez wiele miesięcy po likwidacji getta funkcjonariusze OD porządkowali pożydowskie mienie wywożone do Niemiec, a także tropili dla Niemców ukrywających się w schowkach i bunkrach rodaków. W archiwum Yad Vashem znajduje się relacja Abrahama Weita z Dąbrowy Tarnowskiej: „Komendantem OD był Kalman Fenicher, bogacił się przy zbieraniu kontrybucji, rabował bogatych, ale biednych nie zaczepiał. Co prawda, przez niego wielu Żydów wpadło w ręce Niemców, on znajdował kryjówki i wyciągał stamtąd ludzi. [...] Likwidacja Żydów w Dąbrowie miała miejsce między Rosz-Haszana a Jom Kipur, resztę wywieziono furmankami do Tarnowa. Zostali tylko policjanci żydowscy, którzy pomagali Niemcom opróżniać mieszkania. Przyrzeczono im, że zostaną potym przewiezieni do getta w Tarnowie i że Kalman będzie tam też komendantem ich na miejsce Binstocka, który dotychczas pełnił tę funkcję. Policjanci żydowscy wierzyli tym obietnicom i gorliwie wyciągali ludzi z bunkrów, by tylko ocalić swoje rodziny, ale potym Niemcy otoczyli i ten dom, w którym wszyscy mieszkali, wyprowadzili każdą rodzinę osobno, kazali im się rozebrać, zastrzelili i zakopali" (A YV, sygn. O.3/2020).

Jan Grabowski zna to źródło, bo wykorzystuje je w „Judenjagd", podając inne informacje. Ale wyciąganie Żydów z kryjówek na terenie getta w Dąbrowie opisał tak: „Choć nie zachowały się inne opisy wyciągania z bunkrów Żydów [w Dąbrowie Tarnowskiej – przyp. aut.], nie mogło to się w taki istotny sposób różnić od tego, co zapisał w swoim dzienniku Zygmunt Klukowski, lekarz z położonego pod Zamościem Szczebrzeszyna" (s. 58). Obszerny fragment dziennika Klukowskiego zaprezentowany po tych słowach dotyczy deportacji Żydów ze Szczebrzeszyna. Ale został on tak „docięty", by jego fragmenty można było potraktować jako wyciąganie przez Polaków Żydów z kryjówek, podczas gdy w rzeczywistości był to obraz niemieckiej deportacji.

To wszystko wydaje się wręcz niewiarygodne: Jan Grabowski przemilczał istniejące świadectwa, poinformował czytelnika, że takich źródeł nie ma, a potem opisał historię getta w Dąbrowie Tarnowskiej za pomocą mocno wątpliwego cytatu o innych wydarzeniach z odległego o 200 km Szczebrzeszyna. To się nazywa daleko posunięte poczucie bezkarności.

KRAKÓW

Rabin Menasze Levertov opublikował swoje wspomnienia z Krakowa: „Gdy trafiłem do obozu w Płaszowie, natychmiast rozpocząłem wysiłki, aby uratować moją żonę i dwoje dzieci, które były ukryte w bunkrze w getcie. Wysyłałem żonie listy i jedzenie przez znajomych z obozu, którzy chodzili do pracy w getcie. [...] Tymczasem żydowska policja, OD-mann Symche Spira, niech jego imię zostanie wymazane, znalazła moją szwagierkę, synową, Szlomo Joskowicza, zięcia rabina Gerrera i dwójkę dzieci. [...] przeszukując cały dom, znalazła moją rodzinę i wszystkich innych ukrywających się Żydów. [...] Życie zakończyło się dla mnie".

Wspomniany już Witold Mędykowski piszący o żydowskiej kolaboracji w Krakowskiem cytuje znane wspomnienia Tadeusza Pankiewicza, w czasie wojny właściciela apteki w getcie: „Niemcy, powiadomieni przez konfidentów bądź przez przypadek, wpadali na ślad kryjówek w getcie. Wyruszały wówczas całe wyprawy złożone z Niemców i odemanów pod wodzą [szefa krakowskiej JOD Symchego – przyp. aut.] Spiry w asyście robotników uzbrojonych w siekiery, kilofy i drągi żelazne. Wykrywano misternie zrobione skrytki na strychach, w piwnicach, w dużych piekarniach, gdzie ludzie zaopatrzeni w żywność i wodę mogli przeżyć całe miesiące, gdyby nie pech lub zdrada. Znalezionych odstawiano do więzienia OD, a stamtąd szli do Płaszowa, najczęściej na śmierć".

Jako pierwsza „nowego opisu historii" podjęła się Alicja Jarkowska-Natkaniec. Utrzymywała naukowe kontakty z Centrum Badań Nad Zagładą Żydów ISP PAN, ale na co dzień jest pracownikiem Instytutu Historycznego Uniwersytetu Jagiellońskiego. W książce „Wymuszona współpraca czy zdrada? Wokół przypadków kolaboracji Żydów w okupowanym Krakowie" (2018) napisała: „Kolejne poszukiwania Żydów ukrywających się w bunkrach i schowkach na terenie byłego getta krakowskiego przeprowadzono w pierwszej połowie września 1943 r. Według Michała Weicherta w akcji tej brali udział przede wszystkim polscy i żydowscy policjanci" (s. 170). To oczywista nieprawda. Weichert na wielu stronach przedstawił, że działalność tę prowadziła policja żydowska, a nie polska, pisząc m.in.: „Po dwukrotnym przeszukiwaniu mieszkań, piwnic i strychów przez niemiecką policję w dniu 14-tym [września] wydawało się, że poza rodzinami pozostałymi za zezwoleniem Władz nie ma już w dzielnicy żydowskiej ani jednego żyda. OD [...], a zwłaszcza kierownik SPIRA [...], udowodnił w następnych dniach i tygodniach, że żydowska służba porządkowa potrafi znaleźć ukrytych żydów tam, gdzie nie zdołała ich odnaleźć policja niemiecka" (Archiwum ŻIH, sygn. 302/25). Znając dostępne źródła, ale mając takich „naukowych" poprzedników, w kolejnej książce „Na posterunku. Udział polskiej policji granatowej i kryminalnej w zagładzie Żydów" (2020) Jan Grabowski mógł napisać: „Także w krakowskim getcie po ostatecznym wysiedleniu nadal ukrywały się setki Żydów. Dzień po dniu schrony i bunkry wpadały w ręce niemieckich i polskich policjantów [podkreślenie moje – przyp. aut.] przeszukujących teren byłej dzielnicy żydowskiej" (s. 144).

Historie gett w Tarnowie, Dąbrowie Tarnowskiej, Bochni i Krakowie zostały już „przepisane na nowo". Ale jest wiele innych gett, o których źródła jednoznacznie mówią, kto wyciągał tam z bunkrów i kryjówek na śmierć setki, a raczej tysiące Żydów. Można się spodziewać, że „nowa szkoła badań Holokaustu" afiliowana przy ISP PAN (może przy udziale Jarkowskiej-Natkaniec z Instytutu Historii UJ) zrobi wreszcie „porządek" w historii i także te ofiary żydowskiej policji „przepisze" na konto Polaków.

Autor jest pracownikiem IPN. Poglądy wyrażone w tekście są wyłącznie jego opiniami

eprasa.pl e84c291d09



Zniszczenia kamienic na rogu Alei Jerozolimskich i Nowego Światu. Warszawa, lipiec 1945 r.

Miasto skazane na zagładę. Co Niemcy chcieli zrobić z Warszawą

Stolica okupowanej przez Niemców Polski miała zostać zredukowana dziesięciokrotnie, pozbawiona zabytków i sprowadzona do roli prowincjonalnego miasta Rzeszy. Taką wizję zawierał opracowany na początku 1940 r. tzw. plan Pabsta. Nie był to jednak odosobniony projekt, lecz fragment szerszej, konsekwentnie realizowanej polityki. Warszawa jako symbol polskiej państwowości miała po prostu przestać istnieć



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Gdy 6 lutego 1940 r. przedstawiano plan Pabsta, Warszawa była miastem niedawno zajętym przez Niemców, ale ich obecność była już bardzo dotkliwa. Polska stolica nie dała się jednak złamać.

Po wrześniowej kapitulacji widoczne były ślady działań wojennych, mieszkańcy zmagali się z biedą, represjami i niepewnością jutra. Szybko jednak zaczęły się kształtować struktury polskiego podziemia, co dla okupanta stanowiło jasny sygnał, że Warszawa się nie podda. Dlatego Niemcy od samego początku dążyli do zrównania miasta z ziemią.

PIERWSZE ZBRODNIE

Proces niszczenia Warszawy rozpoczął się już we wrześniu 1939 r. Od pierwszych dni wojny niemieckie lotnictwo prowadziło intensywne naloty na miasto, wielokrotnie uderzając w cele cywilne. Szczególnie dotkliwe okazało się bombardowanie z 25 września, które przyniosło ogromne straty materialne i ofiary wśród ludności. Już wtedy działania te nie były przypadkowe – stolicę niszczono według wcześniejszych założeń. Atakowano m.in. Zamek Królewski – siedzibę prezydenta i jeden z najważniejszych symboli polskiej państwowości, a także obiekty z epoki nowożytnej, wolne od niemieckich wpływów, które podnosiły prestiż miasta, jak choćby operę. Co znamienne, wśród celów Luftwaffe nie znalazło się Stare Miasto.

Po kapitulacji Warszawy 28 września 1939 r. do miasta wkroczył Wehrmacht, a wraz z nim operacyjna grupa policji bezpieczeństwa, tzw. Einsatzgruppe IV, dowodzona przez SS-Brigadeführera Lothara Beutela. Niemal natychmiast rozpoczęły się obławy, masowe rewizje i aresztowania. W krótkim czasie ruszyła fala egzekucji wymierzonych w przedstawicieli polskich elit. Rozstrzeliwań dokonywano m.in. w Palmirach oraz w Ogrodach Sejmowych.

26 października 1939 r. stolicą Generalnego Gubernatorstwa uczyniono Kraków,

Fot. Z zasobu AIPN

eprasa.pl e84c291d09

a dzień później Niemcy aresztowali prezydenta Warszawy Stefana Starzyńskiego. Do dziś nie ustalono dokładnego miejsca ani daty jego śmierci. Zdegradowana do roli siedziby jednego z dystryktów GG Warszawa znalazła się pod rządami gubernatora Ludwiga Fischera. Odbudowy zniszczeń poniesionych w kampanii wrześniowej zakazano, traktując ruiny jako „przestrogę" dla Polaków. „Führer omówił z generalnym gubernatorem ogólną sytuację, zaaprobował jego pracę w Polsce, w szczególności zburzenie zamku w Warszawie, nieodbudowanie tego miasta, wywóz dzieł sztuki" – zapisał Hans Frank w swoim dzienniku w październiku 1939 r.

Niemcy przystąpili do opracowywania pierwszych planów architektonicznych dotyczących przebudowy miasta już późną jesienią 1939 r. Zakładano wyburzenie większości istniejącej zabudowy i zastąpienie jej osiedlami willowymi przeznaczonymi dla Niemców. Od samego początku przedsięwzięcie to napotykało jednak barierę gigantycznych kosztów. Równolegle okupanci podejmowali działania mające na celu nadanie Warszawie niemieckiego charakteru, czemu towarzyszyło niszczenie i rabunek polskiego dziedzictwa kulturowego. W głównych punktach miasta zawisły flagi ze swastyką, zmieniano nazwy ulic i placów, a sklepy oznaczano dwujęzycznymi szyldami. Stolica stała się poligonem doświadczalnym niemieckiej polityki okupacyjnej, bazującej na terrorze i systematycznym niszczeniu struktur społecznych.

PLAN PABSTA

Nazwa planu pochodzi od Friedricha Pabsta – niemieckiego inżyniera i architekta, który od października 1939 r. pełnił funkcję naczelnego architekta Warszawy. Pod jego kierunkiem projekt opracowali Hubert Gross i Otto Nurnberger. Zakładał on niemal całkowitą likwidację dotychczasowej zabudowy miasta i jego radykalną przebudowę. Zamierzano ocalić jedynie wybrane fragmenty: Krakowskie Przedmieście, Al. Jerozolimskie oraz część Starego Miasta, które miały stanowić propagandowy dowód rzekomo niemieckich korzeni Warszawy. Zachowane miały zostać także mury Cytadeli. Z mapy zniknąć miała natomiast zdecydowana większość dzielnic, w tym Wola, Żoliborz, Mokotów czy Ochota. Obszar tzw. nowego niemieckiego miasta ograniczono do zaledwie 6 km po lewej stronie Wisły oraz 1 km na Pradze. „Neue Deutsche Stadt Warschau" miało liczyć ok. 100 tys. mieszkańców.

W tej wizji Warszawa została zdegradowana do roli niewielkiego niemieckiego centrum administracyjnego. Lewobrzeżną część miasta mieli zamieszkiwać niemal wyłącznie Niemcy – wojskowi, urzędnicy oraz pracownicy kolei i transportu. Plany przewidywały budowę nowego dworca pasażerskiego, nowoczesnego stadionu oraz dzielnicy willowej na południe od przebudowanego centrum. Na prawym brzegu Wisły miał powstać dworzec towarowy. Nowa Warszawa miała zostać zamknięta pierścieniem autostrad i magistrali kolejowych. Belweder planowano pozostawić w niezmienionej formie, przeznaczając go na rezydencję władz państwowych. Podczas wizyt nad Wisłą, miał się tam zatrzymywać Adolf Hitler.

> Plan Pabsta stanowił jeden z najbardziej wymownych dowodów na to, że zagłada Warszawy była dla Niemców celem samym w sobie, a nie jedynie ubocznym skutkiem działań wojennych. Szacuje się, że ich działania doprowadziły do zniszczenia ok. 80 proc. zabudowy lewobrzeżnej części miasta

Architektura planowanego miasta miała odpowiadać monumentalnej estetyce III Rzeszy. W miejscu Zamku Królewskiego przewidywano budowę ogromnej hali kongresowej NSDAP, tzw. Parteivolkshalle, zwieńczonej potężną kopułą. Naprzeciw niej zamiast kolumny Zygmunta III Wazy miał stanąć monumentalny pomnik Germanii, wzorowany na rzeźbie z Rüdesheim. Rolę codziennego centrum życia miejskiego miało przejąć zaprojektowane przez Huberta Grossa Gauforum – rozległy plac w południowej części miasta, zdominowany przez wysoką wieżę i otoczony budynkami partyjno-administracyjnymi.

Według tych planów los polskiej ludności był jednoznaczny. Zdecydowaną większość mieszkańców Niemcy zamierzali wysiedlić poza Warszawę lub skierować do obozów koncentracyjnych. W mieście miało pozostać jedynie 30 tys. wykwalifikowanych robotników, niezbędnych do obsługi węzła kolejowego i zakładów pracujących na potrzeby niemieckiej armii. Dla Polaków przeznaczono niewielki, jednokilometrowy obszar na prawym brzegu Wisły, gdzie planowano utworzenie obozu pracy oraz niewielkiej dzielnicy mieszkaniowej. Polska stolica miała przestać istnieć – w jej miejscu powstałaby podporządkowana Rzeszy osada, całkowicie pozbawiona narodowego charakteru i własnej historii.

WYMAZAĆ CAŁĄ RZECZPOSPOLITĄ

W późniejszych latach biuro Friedricha Pabsta przygotowywało kolejne wersje projektu, dopracowując szczegóły przyszłej przebudowy Warszawy. Koncepcja ta stanowiła element długofalowego programu germanizacji Europy Środkowo-Wschodniej w ramach Generalplan Ost. Podobne prace prowadzono również wobec innych polskich ośrodków. Kraków – jako „stare niemieckie miasto" i stolica Generalnego Gubernatorstwa – miał pozostać wizytówką niemieckiej dominacji na Wschodzie. Z tego powodu „Generalbebauungsplan von Krakau" nie przewidywał masowych wyburzeń ani ograniczania przestrzeni miejskiej, lecz rozbudowę miasta i sukcesywne zasiedlanie go przez ludność z III Rzeszy.

W przypadku większości polskich miast niemieckie plany były jednak znacznie bardziej brutalne. Zakładano degradację ośrodków miejskich, wysiedlenie lub fizyczne wyniszczenie mieszkańców oraz

eprasa.pl e84c291d09



zastąpienie ich niemieckimi osadnikami. Germanizacja najintensywniej objęła tereny bezpośrednio wcielone do III Rzeszy, ale dotyczyła także Zamojszczyzny, gdzie w ramach zbrodniczych eksperymentów przeprowadzono masowe wysiedlenia połączone z pacyfikacją wsi. Działania te miały stworzyć podstawy niemieckiego osadnictwa na obszarze Generalnego Gubernatorstwa. Całą okupację Warszawa – jako największy symbol polskiej tożsamości i ośrodek oporu – zajmowała w planach okupanta miejsce szczególne, a jej zniszczenie traktowano priorytetowo.

Po agresji Niemiec na Związek Sowiecki 22 czerwca 1941 r. odsunięto część najbardziej radykalnych projektów urbanistycznych na dalszy plan. Wojna na Wschodzie pochłaniała ogromne siły i środki, dlatego władze okupacyjne koncentrowały się przede wszystkim na bieżącej eksploatacji podbitych terenów. Nie porzucono jednak idei przekształcenia Warszawy w sprawnie funkcjonujący ośrodek przemysłowy pracujący na rzecz III Rzeszy oraz w zaplecze koszarowe dla oddziałów Wehrmachtu kierowanych na front wschodni.

TERROR KUTSCHERY

Po stłumieniu powstania w getcie warszawskim, trwającego od 19 kwietnia do 16 maja 1943 r., w ramach zagłady Warszawy Niemcy zrównali z ziemią dawną dzielnicę żydowską. W tym samym czasie nasilono mordy na mieszkańcach miasta, a w czerwcu 1943 r. utworzono obóz koncentracyjny KL Warschau przy ul. Gęsiej, znany jako Gęsiówka.

Nową falę terroru wywołało objęcie 25 września 1943 r. stanowiska dowódcy SS i policji w dystrykcie warszawskim przez SS-Brigadeführera Franza Kutscherę. Celem codziennych łapanek, publicznych egzekucji i masowych represji było złamanie oporu Warszawiaków oraz „pozbycie się" nadmiaru mieszkańców. „Mamy w tym kraju jeden punkt, z którego pochodzi wszystko zło: to Warszawa. Gdybyśmy nie mieli Warszawy w Generalnym Gubernatorstwie, to nie mielibyśmy czterech piątych trudności, z którymi musimy walczyć. Warszawa jest i pozostaje ogniskiem zamętu, punktem, z którego rozprzestrzenia się niepokój w tym kraju" – mówił w grudniu 1943 r. w Krakowie generalny gubernator Hans Frank.

Nieoczekiwanie 13 grudnia 1943 r. zginął architekt niemieckiej Warszawy Friedrich Pabst. Został przypadkowo zastrzelony przez żołnierzy harcerskiego oddziału dywersji bojowej Agat (późniejszego batalionu Parasol) podczas zamachu na Emila Brauna, szefa warszawskiego urzędu kwaterunkowego i autora planu wysiedlenia Polaków ze stolicy. Śmierć Pabsta nie zahamowała jednak realizacji niemieckich planów wobec miasta. Krótkotrwałą ulgę mieszkańcom przyniósł dopiero udany zamach żołnierzy oddziału specjalnego Kedywu KG AK Pegaz na Franza Kutscherę, przeprowadzony 1 lutego 1944 r. Obóz KL Warschau nadal jednak funkcjonował, pozostając jednym z narzędzi terroru wobec ludności stolicy.

POWSTANIE WARSZAWSKIE

Kulminacją niemieckiej polityki zagłady Warszawy stało się powstanie warszawskie w 1944 r. Wkrótce po jego wybuchu Reichsführer SS Heinrich Himmler przedstawił Adolfowi Hitlerowi wizję całkowitego rozprawienia się z polską stolicą. „W ciągu pięciu–sześciu tygodni pokonamy ich. Ale wtedy Warszawa – stolica, głowa, inteligencja tego niegdyś szesnasto-, siedemnastomilionowego narodu Polaków, będzie starta. Tego narodu, który od 700 lat blokuje nam Wschód i od pierwszej bitwy pod Tannenbergiem [Grunwaldem – przyp. aut.] ciągle nam staje na drodze. A wówczas historycznie polski problem nie będzie już wielkim problemem dla naszych dzieci i dla wszystkich, którzy po nas przyjdą, ba, nawet już dla nas" – mówił w Berlinie. Po klęsce powstania Hitler wydał rozkaz całkowitego zburzenia miasta.

Do realizacji tego polecenia skierowano specjalne oddziały, które metodycznie niszczyły Warszawę, wysadzając i podpalając kolejne kwartały zabudowy. Burzono to, co nie zostało zniszczone podczas wcześniejszych walk. Stolica została zamieniona w morze ruin. Szacuje się, że działania Niemców doprowadziły do zniszczenia ok. 80 proc. zabudowy lewobrzeżnej Warszawy, a wliczając Pragę – ok. 65 proc. Najbardziej ucierpiało Stare Miasto, które pierwotnie nie było przewidziane do likwidacji, zrujnowane niemal w 100 proc. Do użytku nadawał się dosłownie jeden budynek przy ul. Długiej 6. Ilość gruzu zalegającego miasto w 1945 r. szacowano na ok. 20 mln m^3.

Wiele obiektów niszczono z pełną premedytacją. Niemcy wysadzili m.in. Pałac Saski i Zamek Królewski, a także celowo spalili bezcenne instytucje kultury i pamięci narodowej: Bibliotekę Ordynacji Zamojskiej, Archiwum Główne, Archiwum Akt Dawnych oraz Archiwum Skarbowe. W wyniku tych działań zniszczeniu uległo od 80 do nawet 100 proc. przechowywanych tam zbiorów archiwalnych. Integralnym elementem akcji niszczenia miasta była również masowa grabież mienia prywatnego i publicznego, prowadzona zarówno w trakcie walk, jak i po upadku powstania.

Plan Pabsta stanowił jeden z najbardziej wymownych dowodów na to, że zagłada Warszawy była dla Niemców celem samym w sobie, a nie jedynie ubocznym skutkiem działań wojennych. Stolica Polski miała zostać unicestwiona jako symbol narodowej tożsamości i centrum oporu. Choć niemieckie koncepcje nie zostały zrealizowane według pierwotnych założeń, skala zniszczeń z 1944 r. dobitnie pokazała, jak blisko była ich ostateczna realizacja. Warszawa przetrwała niemiecką hekatombę, lecz cena okazała się ogromna.

Fot. IPN

eprasa.pl e84c291d09



Margot Robbie zrezygnowała z różu Barbie i dawnych pastelowych kreacji. Film „Wichrowe Wzgórza" promuje w ściśniętej gorsetem, intensywnie burgundowej sukni, współgrającej z pożarem uczuć i namiętnością ekranowej Catherine

Dama w czerwieni

Fot. Warner Bros

eprasa.pl e84c291d09



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA



Równo cztery dekady temu (ponoć wspominając pierwsze spotkanie z Dianą, swoją przyszłą żoną), Chris de Burgh przedstawił śpiewająco „The Lady in Red", dziewczynę, z którą tańczył „policzek przy policzku". Dwa lata wcześniej tytułowa czerwona suknia – choć w dość kontrowersyjnym kontekście – wprowadziła do kina modelkę Kelly LeBrock. Dziś z intensywnym kolorem burgunda kojarzy się inna „dama w czerwieni" – Margot Robbie.

NA MIARĘ CZASÓW

Aktorka od dłuższego czasu promuje bohaterkę znacznie odważniejszą w wyrażaniu uczuć i namiętności niż jej ekranowe poprzedniczki. Catherine Earnshaw krępuje co prawda obyczajowy i literacki gorset epoki, w której przyszło jej żyć, ale przed kamerami – na miarę współczesnych czasów – okazała się o wiele bardziej dosłowna w wyrażaniu tego, co w XIX-wiecznej powieści było jedynie sugestią i niedopowiedzeniem.

W historii tragicznej miłości, namiętności i zemsty, osnutej na tle dziejów trzech ziemiańskich pokoleń, a rozgrywającej się w malowniczej i nastrojowej scenerii wrzosowisk Yorkshire, Robbie zagrała bohaterkę zatracającą się w intensywnym i destrukcyjnym związku. W budzącego jej namiętność Heathcliffa równie intensywnie i przekonująco wcielił się Jacob Elordi.

I gorąca atmosfera filmu, i znacznie odważniejsze obyczajowo podejście do ekranizacji, i chemia między odtwórcami kluczowych ról przyciągają uwagę mediów. Robbie, zwłaszcza jako producentka obrazu, znakomicie to wykorzystuje.

BURGUNDOWE ARCYDZIEŁO

Wiedzą o tym nie tylko jej fani: potrafi zabłysnąć, zaskoczyć kreacją – zarówno na czerwonym dywanie, jak i na ekranie. W kinie wcielała się w tak odmienne postaci, jak szalona Harley Quinn (z serii „Legion samobójców"), Tonya Harding z „Jestem najlepsza. Ja, Tonnya"; Nellie LaRoy („Babilon"), królowa Elżbieta z „Marii, królowej Szkotów", Kayla z „Gorącego tematu" czy ikoniczna lalka Barbie. Teraz jest o niej głośno za sprawą najnowszej adaptacji powieści Emily Brontë.

Jak podkreślają znawcy tematu, zwłaszcza jedna, związana z promocją „Wichrowych Wzgórz" kreacja aktorki, to prawdziwe modowe arcydzieło. Stylizowana suknia w kolorze głębokiego burgunda (zestawionego dla kontrastu z nieskazitelną bielą) połączyła w jedno aksamitny gorset z efektownymi drapowaniami.

Dopełnieniem kreacji, w której Robbie pojawiała się na premierze filmu w Los Angeles i Paryżu, była efektowna biżuteria. Inspirowana przeszłością, nie tylko wiktoriańską – także tą hollywoodzką. Na uroczystym pokazie w Mieście Aniołów na szyi aktorki zalśnił legendarny naszyjnik Taj Mahal Elizabeth Taylor. Ten „ikoniczny diament" w kształcie serca, osadzony w jadeicie i ozdobiony złotem, rubinami oraz diamentami, ma długą i niezwykłą historię. W jednym z jej rozdziałów trafił do hollywoodzkiej gwiazdy, sprezentowany jej przez Richarda Burtona, stając się symbolem ich burzliwej relacji.

PODGRZEWANIE EMOCJI

Intensywność związku kluczowych bohaterów filmu – Heathcliffa i Catherine Earnshaw, marketingowo przekładana na relacje między odtwórcami głównych ról, od dłuższego czasu stanowi pożywkę dla mediów. Obserwujących – czy wręcz podglądających – jak prezentują się i zachowują na czerwonych dywanach Margot Robbie i Jacob Elordi. A także jak na tę zażyłość reaguje mąż aktorki i zarazem producent filmu Tom Ackerley.

Trudno ocenić, na ile to podgrzewanie personalnego napięcia jest zabiegiem promocyjnym. Na pewno przydaje się, by o „Wichrowych Wzgórzach" nie przestawało się mówić, co jest bardzo cenne, zwłaszcza tuż przed wejściem filmu do kin.

Najnowsza adaptacja słynnego gotyckiego romansu – jedynej powieści Emily Jane Brontë, którą autorka wydała (w 1847 r.), zresztą pod męskim pseudonimem Ellis Bell) – trafi na duże ekrany, także w Polsce, tuż przed walentynkami.

MOCNE DUETY

Skomplikowane dzieje miłości Heathcliffa i Catherine po raz pierwszy zostały zekranizowane 106 lat temu, ale najbardziej

Fot. Warner Bros





ceniona przez krytyków wersja powstała w 1939 r. W głównych rolach wystąpili wtedy Laurence Olivier i Merle Oberon. Współczesnym widzom o wiele bliższy jest chyba jednak duet: Ralph Fiennes–Juliette Binoche. Czy najnowsza odsłona „Wichrowych Wzgórz" zdetronizuje ekranową parę z 1992 r.? Może się tak zdarzyć, również za sprawą reżyserki Emerald Fennell (nagrodzonej Oscarem za scenariusz do filmu „Obiecująca. Młoda. Kobieta"), która dała się poznać jako autorka kina niepozostawiającego widza obojętnym, bezkompromisowego i prowokującego. Jednocześnie świetnie wyczuwającego dzisiejsze trendy.

Po sukcesie filmów „Saltburn" i „Obiecująca. Młoda. Kobieta" Fennell postanowiła sięgnąć po jeden z najważniejszych romansów w historii literatury. I nie bez powodu zaprosiła do współpracy Margot Robbie.

WIE, CO ROBBIE

Pochodząca z Australii aktorka jest nie tylko piękną kobietą (na początku tego roku w jednym z międzynarodowych rankingów uznano ją za najpiękniejszą), lecz także świetnie radzącą sobie bizneswoman. Miała 24 lata, gdy w 2014 r. (korzystając z rozpoznawalności, jaką dała jej rola w filmie Martina Scorsese „Wilk z Wall Street"), założyła własną firmę produkcyjną. Także w tej dziedzinie osiąga sukcesy.

Urodzona w australijskim mieście Dalby i wychowana na farmie dziadków Margot od początku wiedziała, „co Robbie". Wspomina o tym jej matka Sarie Kessler, fizjoterapeutka, której przyszło samotnie wychowywać czworo dzieci (dwie córki i dwóch synów). Margot już jako 16-latka podejmowała dorywcze prace i grała w amatorskich filmach. Gdy skończyła szkołę średnią, mając ledwie 17 lat, przeprowadziła się do Melbourne. Próbowała sił w aktorstwie, dorabiając w znanej sieciówce kanapkowej Subway.

Rozpoznawalność na Antypodach przyniosła jej opera mydlana „Sąsiedzi" (2008–2010), potem był m.in. serial ABC „Pan Am" (2011) i film „Czas na miłość" (2013). Przełomem, który pozwolił jej zakotwiczyć się w Hollywood, okazała się produkcja „Wilk z Wall Street", w której zagrała żonę Leonardo DiCaprio. Od tamtej pory nie spoczywa na laurach.

W RODZINIE I W PRACY

W 2016 r. wyszła za mąż za brytyjskiego aktora i reżysera (obecnie także producenta) Toma Ackerleya. Dziś to on przy okazji promocji „Wichrowych Wzgórz" jest poddawany medialnej presji „tego trzeciego". Wydaje się, że nie tylko jako producent filmu znosi to dzielnie.

Ich ślub odbył się w Australii, był cichy i skromny. Aktorkę zaprowadziła do ołtarza jej mama (utrzymują niezmiennie znakomite relacje, często pojawiają się razem na premierach). Margot wystąpiła w sukience mamy (przerobionej dla niej przez australijską projektantkę Casey Tanswell).

Jako fizjoterapeutka Sarie Kessler przez wiele lat pomagała starszym osobom. Z czasem coraz bardziej skupiała się na dzieciach z niepełnosprawnościami. Margot Robbie regularnie wspiera organizację YoungCare, która pomaga właśnie takim podopiecznym.

NIE TYLKO NA ZDJĘCIACH

Dziś jest jedną z najlepiej zarabiających aktorek w Hollywood, a także odnoszącą sukcesy współproducentką (m.in. wspomnianego już filmu „Młoda. Obiecująca. Kobieta" czy superprzeboju „Barbie"). Umie docenić wartość pieniądza, ale nie zapomina też o innych wartościach. Ponoć już jako nastolatka chciała odwdzięczyć się mamie za miłość i finansowe wsparcie. Od początku odkładała na ten cel sporą część zarabianych pieniędzy. Już jako świetnie prosperująca gwiazda na 60. urodziny Sarie Kessler... spłaciła jej kredyt hipoteczny (całe 490 tys. dol.).

Z rodzeństwem spotyka się także na gruncie zawodowym. Cała czwórka działa w branży filmowej, ale to Margot Robbie potrafi pięknie i skutecznie błyszczeć w świetle fleszy oraz przed kamerami. A swoją prywatność chroni. Jakiś czas temu skasowała – i tak nienadmiernie eksploatowane – konto na Instagramie.

Fot. Warner Bros



HITY i KITY ZAREMBY

Jak Podlasiacy uwalniają się od Polski



Piszę to po obejrzeniu 8 z 12 odcinków serialu „U Pana Boga w Królowym Moście" Jacka Bromskiego, emitowanego przez TVP1. Ale siadałem do niego, znając film kinowy. Nawet jeśli to strzelanie z armaty do wróbla, odrzucam jego główny pomysł. Chyba nie ma gorszego czasu na podobne obrazki jak obecny

Cenię i lubię większość filmów Jacka Bromskiego, wieloletniego prezesa Stowarzyszenia Filmowców Polskich. Jest to kino popularne, bezpretensjonalne, służące rozrywce, ale nie tylko, bo pokazujące świat w empatyczny sposób. A już za „cykl podlaski" byłem gotów go ozłocić. Kiedy w 1998 r. nakręcił „U Pana Boga za piecem", trudno było go porównywać z czymkolwiek. Czy można sobie wyobrazić inny polski film, w którym pozytywnym narratorem byłby prowincjonalny proboszcz, ks. Antoni, grany znakomicie, z flegmatycznym humorem, przez Krzysztofa Dziermę, muzyka z teatru lalkowego w Białymstoku?

Potem były dwa kolejne filmy, z pomysłowymi aferkami kryminalnymi, ale przede wszystkim żarliwym hymnem na cześć małej podlaskiej ojczyzny. Proste prawdy proboszcza zdawały się potwierdzać racje konserwatystów. Bromski pokazywał polską prowincję inaczej niż większość polskich filmowców.

W czwartej części cyklu sięgnął po political fiction. Oto młoda archeolożka Marta Lipowska znajduje w podziemiach kościoła w Królowym Moście dokument. W XVII w. król Jan Kazimierz nadał okolicom tej miejscowości samodzielność państwową. Jest to nieprawdopodobne, bo król nie mógłby tego zrobić bez zgody sejmu. Ale mamy do czynienia z bajką.

Zupełnie nieoczekiwanie lokalna elita – a w ślad za nią w zasadzie wszyscy mieszkańcy – uznaje wizję niepodległości małego terytorium od Polski za atrakcyjną. Zostaje przeprowadzone referendum. Rada miejska staje się parlamentem, a kilku lokalnych urzędników tytułuje się „ministrami". Na granicy powiatu miejscowi policjanci zatrzymują kierowców, żądając opłat za wizy. Pojawia się wysłannik Chin, gotów uznać suwerenność nowego „państwa". Przed Bromskim na podobny pomysł wpadł choćby Henry Cornelius, reżyser brytyjskiego „Paszportu do Pimlico" z 1949 r., w którym odnaleziony dokument kazał proklamować niezależność mieszkańcom londyńskiej dzielnicy.

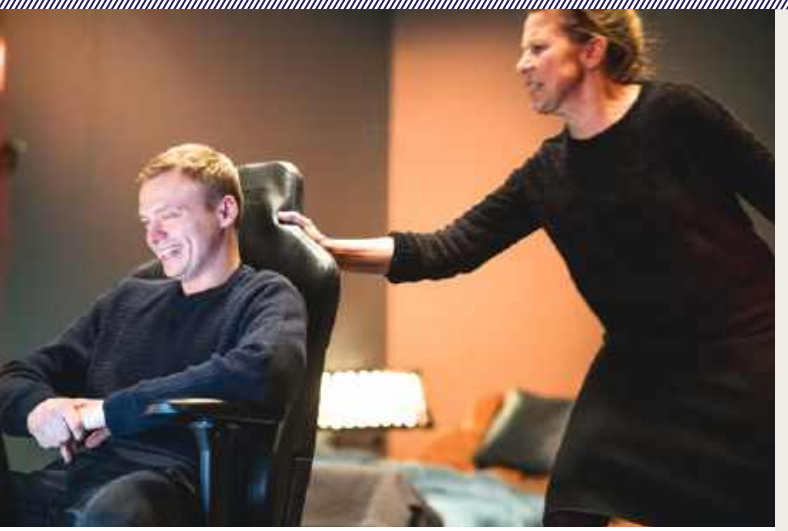
Nie chcę się natrząsać z kolejnych nieprawdopodobieństw, akceptuję bajkową umowność. Zgrzyta mi tu coś innego. Oto Polska jest traktowana w tym filmie wyłącznie jako warta strząśnięcia niedogodność. W imię poczucia więzi z małą ojczyzną dostajemy traktat o... wyrzeczeniu się większej wspólnoty. Kiedy kręcony przez wiele lat film wchodził na ekrany, wspólnota ta była na dokładkę zagrożona wojną w bezpośrednim sąsiedztwie.

„Ale to zabawne" – powie ktoś. Może, ale mnie nie bawi. Zwłaszcza że podlaskie filmy Bromskiego nie stroniły od czytelnych morałów – to nigdy nie była abstrakcyjna zabawa. Można to było opowiedzieć inaczej – jako kronikę absurdów, w jakie popada mała społeczność. Ale reżyser im kibicuje, mają być nauczką dla polskich patologii, głównie hejterskich polityków. Twórców nie przeraża nawet końcowy rozpad całej Polski na dwie części.

Jest Krzysztof Dzierma, jest Andrzej Zaborski jako znakomity komendant. Są śp. Emilian Kamiński w roli burmistrza Bociana czy Wojciech Solarz w roli ofermowatego policjanta Mariana. Oni mają urok. Ale cała opowieść – dla mnie nie. Na dokładkę wciśnięto tu inne politpoprawne wątki, choćby pochwałę feministycznego buntu miejscowych kobiet czy pouczenia proboszcza wobec polskiego Kościoła. Tak jakby Bromski przestraszył się swojej roli „wieszcza prawicy" i sam postanowił zafundować sobie proces spóźnionej reedukacji.

Piotr Zaremba

Fot. TVP



Fot. TVP

„Kruk z Tower” – matka i syn w otchłaniach netu

Nieraz kręcę nosem na to, że Teatr Telewizji wypełnia swój program spektaklami z teatrów repertuarowych. Ale akurat utrwalenie „Kruka z Tower”, wystawionego przed pięciu laty w warszawskim Teatrze Dramatycznym, było dobrą decyzją. Obejrzałem go jeszcze raz – nadal robi wrażenie

To tekst Białorusina Andrieja Iwanowa. Kiedy wystawiano go na małej scenie Dramatycznego, autor mieszkał w Moskwie. Teraz podobno żyje w Warszawie. Odkryła go i sugestywnie przyrządziła Aldona Figura. W wersji telewizyjnej dwójka bohaterów miota się w osobnych pomieszczeniach, relacjonując swoje wzajemne starcia. Za to kiedy rozmawiają przez internet, spotykają się na huśtawce – to sceniczna dekoracja Joanny Zemanek.

Zaczyna się jak banalna historia rodzinna: matka kontra nastoletni syn. Po śmierci ojca nie mogą znaleźć wspólnego języka. Dostajemy trochę prostych obserwacji. A potem matka próbuje dotrzeć do syna, udając w necie kogoś innego – jego rówieśnicę. To zdradliwa, choć efektownie pokazana gra. Częsty temat wirtualnej komunikacji zyskuje nieoczekiwaną barwę.

Finał pozostaje na miarę antycznej tragedii, a całość – piekielnie niejednoznaczna. Czy to jest o tym, że samotni w życiu, choć żyjący obok siebie, tylko w sieci możemy znaleźć wspólny język? Że nie umiemy rozmawiać ze sobą inaczej, niż odgrywając role? Bo tym jest *de facto* czatowanie.

Trochę nie zgadzam się z konkluzjami prezentowanymi w podsumowaniu prowadzonym przez Grażynę Torbicką. Wszyscy – łącznie z panią psycholog – zwalili całą winę na matkę, bo to na dorosłym ciąży obowiązek rozmowy. Iwanow wyposażył jednak sportretowanego Kostię w takie stężenie agresji, że mogło to przerosnąć jej siły. Skądinąd nie wiemy, skąd wzięła się ta jego nienawiść, dostaliśmy za mało informacji o tej rodzinie. Oczekiwanie od zwykłego człowieka, że w relacjach rodzinnych będzie fachowy, opanowany i precyzyjny, to chyba za wiele.

Za to nigdy dość chwalenia aktorów. Katarzyna Herman i Konrad Szymański dają wirtuozerski popis, prezentując rozedrganą huśtawkę nastrojów obojga. Dojrzałość spotyka się z młodością, a widz patrzy oniemiały.

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL



„MONOLOK”, CZYLI PAMIĘTNIK STAREGO FRYZJERA

Tylko pobieżnie znam twórczość Pawła Sołtysa, czyli Pablopavo, jako wokalisty, kompozytora czy autora tekstów piosenek. Sięgnąłem po jego najnowszą książkę „Monolok” dzięki rekomendacji Wojciecha Stanisławskiego. Te 117 stron opowieści o warszawskim Grochowie to nie tylko lekcja zakorzenienia w dawnej rzeczywistości – to przede wszystkim okazja do wzruszenia

„Bo to przecież różnie bywało, czasem świat, czyli Grochów, wyglądał, jakby ktoś przy przycinaniu baczków ciachnął ucho. A czasem jak niezamiecione włosy ułożone w dziwne podłogowe pukle. I pięknie i strasznie trochę” – tak brzmi fragment tytułowego monologu, choć przez „k”. Narratorem jest stary – bo urodzony w 1940 r. – fryzjer. Razem z nim wędrujemy po zaułkach starego Grochowa i zakamarkach jego pamięci. Taki fryzjer musiał słyszeć wyjątkowo dużo. Obsługiwał wszystkich, od profesora po złodzieja.

Czasem trzeba przebrnąć przydługi strumień świadomości. Ale temat zaraz się zmienia, portrecik goni portrecik. Miejscami dostajemy konstrukcję szkatułkową, opowieść w opowieści, jak w „Rękopisie znalezionym w Saragossie”. Ale przeważnie po prostu nasuwa się kolejne wspomnienie. O listonoszu z kurzą ślepotą, który wpadł rowerem na kapliczkę. O trzech siostrach stawiających tarota. O pięknej dziewczynie, której ojciec nie chciał, żeby wyszła za chłopaka z proletariackiego Grochowa. O magiku pomagającym złodziejom. O Zbyszku Krecie, który nie mógł przeżyć rozłąki z córką. O garbusie, który w PRL dostał nagrodę za zbudowanie makiety Pałacu Kultury z zapałek.

Każda jakoś szarpie za serce. Często są to historie szarych ludzi skazanych na zapomnienie. Są i takie, które zyskują historyczny patos, opowiadają nam coś dużo bardziej ogólnego. Oto harcerz i powstaniec, który w 1944 r. trafił do obozu jenieckiego w Hamburgu, a po klęsce Rzeszy wraz z innymi dipisami zobaczył tysiące dzwonów zagrabionych przez Niemców z całej Europy. Czy naprawdę jakiś francuski chłopak rozpoznał tam dzwon z Bretanii i krzyczał przez łzy: „Ma klosz!”?

W takich opowieściach pojawia się pokusa romantycznego przyozdabiania wątku przestępców – przecież żyli obok nas, mieli swój honor. Ale nie ma tu nadmiernego lukrowania. Ten świat bywa okrutny – ktoś w końcu okradł garbusa i zniszczył mu makietę Pałacu Kultury. Jeszcze straszniejszy wydaje się wątek nowej przestępczości, rodzącej się wraz z transformacją. Mamy więc tu fragmenty historii opowiedziane językiem niby bardzo kolokwialnym, lecz pełnym jakże malowniczych skojarzeń.

Dla mnie to książka podwójnie ważna, bo całe życie mieszkam na Grochowie – nie tym najstarszym, bo w bloku z czasów gomułkowskich, ale z fryzjerem byliśmy nieodległymi sąsiadami. Nie zamierzam się stąd nigdzie ruszać. Chcę być skądś, jak Pablopavo.

Dział przygotowywany we współpracy z miesięcznikiem
GAZETA BANKOWA
NAJSTARSZY MAGAZYN EKONOMICZNY W POLSCE

Absurdu naprawić się nie da

Klasa polityczna powinna uzgodnić, że nie będzie budować swojej popularności na destrukcji systemu podatkowego, ponieważ jest to walka kosztem naszego państwa. A tu dobro publiczne jest bardzo proste i mierzalne: albo są pieniądze w budżecie, albo ich nie ma

Z Witoldem Modzelewskim, profesorem nauk prawnych, ekonomistą, doradcą podatkowym, w latach 1992–1996 wiceministrem finansów, rozmawia Jerzy Szmit

Czy pańskim zdaniem KSeF może stać się katastrofą dla firm? Co w tym systemie jest najbardziej nieprzemyślane, a nawet niebezpieczne?

Witold Modzelewski: Sam pomysł jest w istocie absurdalny, dlatego jego wprowadzenie i próby naprawiania są skazane na porażkę. W Polsce faktura VAT od ponad 30 lat obsługuje rozliczenia handlowe: na fakturze podajemy termin płatności, sposób zapłaty – jest to dokument obsługujący obrót gospodarczy, nie odgrywa tylko roli podatkowej. I nagle pojawia się nakaz zdematerializowania tego dokumentu, który nie będzie wystawiany na kontrahenta, ale do KSeF. A przecież faktura VAT jest przede wszystkim potwierdzeniem treści umowy między stronami – jest to dokument dłużny, przy którym obowiązuje tajemnica handlowa, stanowiący dowód sądowy. I nagle ktoś decyduje, że faktura nie będzie wysyłana do drugiej strony umowy, ale do władzy. I dopiero z KSeF ta druga strona może go sobie „w czymś pobrać". Z tego rozwiązania śmieją się w wielu krajach, mówiąc: „Skoro macie wysyłać faktury do władzy, to niech państwo za nie płaci!". Tyle że to ponury żart. Tej faktury nigdy nie zobaczy nawet 90 proc. kontrahentów. Co więcej: wielu nawet może nie chcieć jej zobaczyć, bo powie: po co mam grzebać w jakimś KSeF, skoro nie odliczam VAT? Absurd!

Kiedy zaczniemy odczuwać skutki tego absurdu?

Już następuje dezorganizacja obrotu. Część z ok. 4 tys. podatników, którzy od 1 lutego zostali zobowiązani do używania KSeF, wysyła faktury do systemu i równolegle z własnej inicjatywy tradycyjnie do kontrahenta. Część przedsiębiorców zrozumiała więc absurd tej sytuacji, ponieważ faktura VAT służy u nas rozliczeniom handlowym. Od wprowadzenia takiego potworka jak KSeF pieniędzy w budżecie nie przybędzie. Im więcej zbędnych informacji, tym trudniej znaleźć te istotne, które rodzą podejrzenie popełnienia przestępstwa.



Czy grozi nam powtórka karuzel VAT-owskich i masowego wyłudzania VAT?

Przymusowe otrzymanie dokumentu, z którego ma się do odliczenia VAT: czy można wymyślić coś bardziej absurdalnego? Część podatników „wirtualnie" otrzyma dokumenty w KSeF, nie znając nawet ich treści. Odbiorca nie może skutecznie odmówić przyjęcia fałszywej faktury. To stwarza oczywistą zachętę dla oszustów.

eprasa.pl e84c291d09

Jak to? Przedsiębiorca nie będzie widział tej faktury?

Przedsiębiorca może ją wewnętrznie „zwizualizować", ale z jej oglądania nic nie wynika, jeżeli ktoś może mi przymusowo dostarczyć dokument. To z oczywistych powodów rodzi pokusę, aby wśród tych milionów dokumentów dostarczanych za pomocą KSeF podrzucać fałszywe faktury. Bez wnikliwego badania nikt nie jest w stanie rozpoznać fałszywych. Dlatego przypuszczam, że pojawi się nieznana dotąd liczba sfałszowanych dokumentów. A przedsiębiorcy muszą je przyjmować, żywiąc przekonanie, że są one prawdziwe i działają w dobrej wierze. Do tej pory fałszywe faktury można było wyrzucić do kosza i odmówić ich przyjęcia. Teraz w KSeF wszystkie będą przymusowo otrzymywane. Trudno wyjaśnić, jaki jest cel tego nonsensu, ponieważ w ten sposób oszuści mogą wyłudzać VAT. Ostrzegamy przed tym, ale nie ma chętnych do dyskusji.



Fot. Andrzej Wiktor

Czy mimo systemu KSeF przedsiębiorca będzie nadal sam rozliczał podatek VAT z urzędem skarbowym?

Oczywiście – przedsiębiorca sam deklaruje, płaci, ewidencjonuje VAT i odpowiada za te rozliczenia.

Czy przepisy tworzone przez obecny rząd uważa pan za ryzykowne dla finansów publicznych?

Ludzie piszą przepisy, ludzie je interpretują i ludzie je stosują. Najważniejsi są ci, którzy je piszą, a jakość tego, co piszą, zależy od wiedzy, ale równie ważne jest ich działanie w interesie publicznym. Istotą zarządzania podatkami przez państwo jest ciągłe poprawianie tego, co zostało źle napisane. Mam jednak wątpliwość, czy w ogóle istnieje coś, co nazywamy państwową polityką podatkową. Tu rządzą tzw. ludzie z rynku, którzy stają się urzędnikami lub zaufanymi ekspertami, oraz lobbing interesariuszy, np. biznesu informatycznego. To się nazywa „prywatyzacja prawa podatkowego". To, co ma działać w interesie publicznym, jest pisane przez nie wiadomo kogo, w dodatku pozostaje totalnie nieefektywne. Wielkość deficytu budżetowego i długu publicznego dramatycznie rośnie – i to jest obiektywna miara tej porażki – a politycy są bierni. Pojawiają się ustawy liczące kilkaset stron, choć ciągle słyszymy, że prawo podatkowe ma być „proste". Zresztą podatki są (jakoby) upraszczane. Unia Europejska nikomu nie obiecała prostych podatków, stabilności i przewidywalności tego prawa. Przyrzekła tylko, że te systemy podatkowe będą do siebie podobne w państwach członkowskich. Niestety robi to w sposób wyjątkowo nieprofesjonalny, bo przecież razem z Unią Europejską przyszły do nas karuzele podatkowe.

Wraz z wprowadzeniem podatku VAT?

W wersji unijnej, czyli w 2004 r. W 1993 r. przeprowadzono jedyną udaną reformę fiskalną, która była poprzednią nieunijną wersją tego podatku. To był wielki sukces, ponieważ już w pierwszym roku przyniosła ona 70-procentowy wzrost dochodów. W latach 1993–2004 w Polsce nie było żadnych karuzeli podatkowych i podatek VAT w tamtej wersji (wraz z akcyzą) zapobiegł katastrofie fiskalnej naszego kraju. W trakcie tzw. transformacji szokowej w latach 1989–1991 nastąpił kompletny rozkład systemu fiskalnego. Potem od 1993 r. dzięki ówczesnej wersji podatku następował szybki przyrost realny dochodów budżetowych.

A co się stało po wejściu do UE?

Od 2004 r. mamy nową ustawę wprowadzającą VAT unijny. Tego potworka, który poza podobieństwami w nazwie nie ma z tamtym nic wspólnego. Już w 2004 r. było wiadomo o jego patologii opisanej w poważnych raportach. Ale nas ogłupiano, że unijna wersja VAT jest „prosta, czytelna, bezpieczna i przewidywalna". Wtedy przyszło do nas to zło, z którym do dzisiaj nie możemy sobie poradzić. Musimy podjąć się naprawy tego podatku nawet wbrew zasadom unijnym, inaczej stale będzie dziurawy. Np. w 2019 r. wszystkim podatnikom VAT nakazano wysyłanie ksiąg w pliku JPK, choć w ewidencji zapis fałszywej faktury od prawdziwej niczym się nie różni. W wyniku tego „uszczelnienia" zwroty VAT skoczyły z 113 mld zł w 2019 r. do 219 mld zł w 2023 r. Kompletna katastrofa.

Czy to jest skala wyłudzeń!?

Tego nie wiem. Należy przyjąć, że roczny poziom uzasadnionych zwrotów wynosi maksymalnie ok. 140 mld zł. Nadwyżka to rozdawanie pieniędzy. Destrukcja podatków jest

eprasa.pl e84c291d09

czymś zastanawiającym, np. kilkanaście lat temu w jakimś szale zlikwidowano miesięczne deklaracje w podatku dochodowym od osób fizycznych i podatku dochodowym od osób prawnych. Ich przywrócenie byłoby dyscyplinujące, bo dziś nie wiadomo, ile podatnik musi co miesiąc zapłacić. Trzeba więc zacząć od likwidacji rażących wad systemu. To jednak wymaga wiedzy i woli politycznej.

W jakim kierunku powinna pójść polityka podatkowa?

Należy przywrócić znaczenie interesowi publicznemu. Np. można efekciarsko obiecać podniesienie kwoty wolnej od podatku z 30 do 60 tys. zł bez oglądania się na skutki tej decyzji dla finansów publicznych. Po pierwsze, politycy muszą się prawdziwie i rzetelnie zainteresować polityką fiskalną i wyjść poza zaklęcia o „upraszczaniu podatków". Jak wystąpimy z Unii, to wtedy możemy zacząć o tym rozmawiać. Zresztą skoro deficyt budżetowy sięga prawie 300 mld zł, to co można obniżać? Po drugie, władza musi mieć kompletny aparat urzędniczy, który będzie lojalnie przechowywał i przekuwał wiedzę w treść przepisu, a potem pilnował, nadzorował i raportował, co trzeba poprawić. Żadnych „ludzi z rynku". Prawo podatkowe psują bzdurne przepisy podatkowe z Unii, które trzeba u nas wprowadzać. Przy Ministerstwie Finansów funkcjonował kiedyś Instytut Finansów, ale od ubiegłego roku jest w likwidacji. Po trzecie, klasa polityczna powinna uzgodnić, że nie będzie budować swojej popularności na destrukcji systemu podatkowego, ponieważ jest to walka kosztem naszego państwa. A tu dobro publiczne jest bardzo proste i mierzalne: albo są pieniądze w budżecie, albo ich nie ma.

> Od wprowadzenia takiego potworka jak KSeF pieniędzy w budżecie nie przybędzie. Im więcej zbędnych informacji, tym trudniej znaleźć te istotne, które rodzą podejrzenie popełnienia przestępstwa

Co jeszcze?

Jeżeli myślimy o państwie polskim przyszłościowo, to trzeba mu zapewnić pieniądze z podatków. Chyba że państwo polskie jest dla nas mało istotne, bo i tak przecież zostaniemy „Europejczykami", więc nie warto się o nie troszczyć. Dla mnie państwo polskie jest wartością, a podstawową przesłanką jego istnienia są pieniądze publiczne. I to nie pożyczone, które w przyszłości ma spłacać wymierający naród, ponieważ następne pokolenie nie udźwignie spłacenia naszych długów i nie będzie w stanie sfinansować systemu emerytalnego. A jeśli przyszłe pokolenie uzna, że nie chce płacić tych długów i wyjedzie? Liczby są bezwzględne.

W 2024 r. Polska została objęta przez UE procedurą nadmiernego deficytu. W kwietniu 2025 r. Ministerstwo Finansów opublikowało raport, z którego wynika, że nie spełniamy nałożonych wskaźników. Jakie mogą być tego konsekwencje?

Biorąc pod uwagę poziom długu publicznego w relacji do PKB, to w „starej Europie" dług publiczny jest dużo wyższy. Zarządzanie wydatkami budżetowymi pozostaje uzależnione od dochodów podatkowych. Jeżeli nie potrafimy ich zwiększać i pojawia się wysoki deficyt, to zaraz znajdą się chętni, aby pożyczyć instytucjom państwowym, które gwarantują im spłacalność. To daje klasie politycznej komfort, że pieniądze się znajdą, bo istnieje nadpłynność na rynkach. Alternatywę stanowi efektywna polityka fiskalna, ale to jest niepopularne. Dobry minister finansów będzie odbierał tym, którzy przyzwyczaili się do niepłacenia podatków – dlatego będzie nielubiany. A obecnie żyjemy tak, jakby nie obchodziło nas, co będzie za 10 lat. Dzisiejsze wydatki również pokryje się zadłużeniem i jeszcze zbierzemy pochwały od instytucji finansowych.

Obecny rząd na niespotykaną skalę przesuwa zobowiązania budżetowe do funduszy pozabudżetowych. Dzięki temu w ustawie budżetowej deficyt mieści się w ramach konstytucyjnych, ale przecież to fałszywa rzeczywistość!

Ależ w Polsce deficyt budżetu państwa nie mieści się we wskaźnikach konstytucyjnych! Państwa „starej" Unii Europejskiej dawno przekroczyły te (jakoby) obowiązkowe relacje długu publicznego do PKB oraz deficytu budżetowego do PKB. Klasa polityczna nauczyła się z tym żyć. Pierwszą barierą ewentualnej naprawy tej sytuacji byłaby Unia Europejska. Wszystkie istotne rozwiązania podatkowe, które zwiększają efektywność fiskalną systemu, są odstępstwem od prawa unijnego. Wiemy, co stanowi główną przyczynę tej choroby: unijna harmonizacja podatków, zwłaszcza VAT i akcyzy oraz częściowa podatku dochodowego. Najgorsze jest to, że upodabniamy system do wadliwych, wręcz patologicznych wzorców.

Najbardziej jaskrawy przykład?

Każde przekroczenie granicy między państwami Unii Europejskiej uprawnia do zwrotu podatku, który zapłacimy w cenach towarów w państwie wywozu. Przecież przy tak masowym charakterze zjawiska nikt nie jest w stanie odróżnić działań legalnych od pozornych. Sam pomysł, aby temu przeciwdziałać, jest „antyeuropejski", bo pozostaje wbrew nakazowi harmonizacji podatków, czyli jednemu z celów UE.

Nic z tym nie można zrobić?

Można sobie wyobrazić, że są politycy, którzy w interesie publicznym przeciwstawiają się dyktatowi Unii Europejskiej, wynegocjują odstępstwa. Niektórym się to udaje – czyli można poprawić „szczegóły". Ale nie ma zbyt wielu chętnych. Nikt nie dyskutuje na te tematy. Także w Polsce są one nieobecne, a powinny być tematem numer jeden w debacie publicznej: jeśli chcesz być bogaty, to dbaj o swoje pieniądze.

eprasa.pl e84c291d09



Najtrudniejsza decyzja prezydenta

Bezpieczeństwo czy bat na konkurencję? Eliminacja groźnych podmiotów z cyberprzestrzeni czy próba rozprawy z politycznymi przeciwnikami? Mało który akt legislacyjny budzi tak wielkie kontrowersje i w mało której sprawie obie strony sporu posługują się tak mocnymi argumentami. Chodzi o nowelizację ustawy o Krajowym Systemie Cyberbezpieczeństwa, która trafiła do podpisu prezydenta

Polska od miesięcy pozostaje w stanie podwyższonego zagrożenia –za wschodnią granicą trwa pełnoskalowa wojna, a skala cyberataków wymierzonych w administrację publiczną, infrastrukturę krytyczną i sektor prywatny systematycznie rośnie. Polska ustawa o KSC, uchwalona przez Sejm zdecydowaną większością głosów i bez poprawek Senatu, ma być krajowym instrumentem implementującym europejską dyrektywę NIS2, na co oficjalnie mieliśmy czas do października 2024 r.

Założenia dyrektywy NIS2 mają na celu wzmocnienie odporności cybernetycznej państw Unii Europejskiej poprzez ujednolicenie standardów bezpieczeństwa, rozszerzenie katalogu podmiotów objętych regulacją oraz zwiększenie odpowiedzialności zarządów firm IT za bezpieczeństwo systemów informatycznych. Mają one stanowić odpowiedź na rosnącą liczbę ataków cyfrowych, które coraz częściej mają charakter hybrydowy i są elementem presji geopolitycznej.

Jednocześnie jednak – jak to zwykle bywa w przypadku nowych rozwiązań i uprawnień siłowych nadawanych państwowej administracji – nowelizacja od początku budziła duże kontrowersje. Krytycy – wśród nich konstytucjonaliści (m.in. profesorowie Maciej Rogalski i Ryszard Piotrowski), przedstawiciele biznesu i eksperci ds. prawa nowych technologii – wskazują, że polski projekt daleko wykracza poza minimalne wymogi NIS2.

Szczególne emocje budzi instytucja tzw. dostawcy wysokiego ryzyka, której kryteria nie mają wyłącznie charakteru technicznego, lecz obejmują także przesłanki o charakterze politycznym i geostrategicznym. W ocenie przeciwników ustawy tworzy to pole do uznaniowości decyzji administracyjnych oraz ryzyko nadużyć, w tym wykorzystywania regulacji do nieuczciwego eliminowania konkurencji na rynku IT.

Podnoszone są również argumenty konstytucyjne. Eksperci zwracają uwagę na możliwe naruszenie swobody działalności gospodarczej, prawa własności oraz realnego prawa do sądu, zwłaszcza w sytuacji, gdy decyzje o wykluczeniu dostawcy lub nakazie wymiany infrastruktury zapadają w trybie administracyjnym, a ich skutki finansowe ponoszą przedsiębiorcy. Nie bez znaczenia jest też skala regulacji – nowelizacja obejmuje aż 18 sektorów gospodarki i blisko 38 tys. podmiotów, co czyni polski model jednym z najszerszych w całej UE.

Zwolennicy ustawy argumentują, że w warunkach realnego zagrożenia bezpieczeństwa państwa opóźnianie wejścia w życie przepisów osłabia zdolność reagowania na ataki cybernetyczne. Wskazują, że brak skutecznych narzędzi nadzoru nad kluczową infrastrukturą cyfrową może się okazać kosztowniejszy niż ryzyko regulacyjne, na które zwracają uwagę przedsiębiorcy.

Dziś to prezydent Karol Nawrocki stoi przed wyborem, który wykracza poza bieżący spór polityczny. Może podpisać ustawę, uznając konieczność szybkiego wzmocnienia systemu cyberbezpieczeństwa. Może też skorzystać z konstytucyjnych instrumentów kontroli – skierować ustawę do Trybunału Konstytucyjnego lub zawetować ją, sygnalizując potrzebę bardziej wyważonych rozwiązań.

Niezależnie od decyzji będzie ona miała długofalowe konsekwencje zarówno dla bezpieczeństwa państwa, jak wolności gospodarczej oraz kształtu polskiego rynku cyfrowego. Na razie na prośbę Karola Nawrockiego eksperci zaangażowani przez Konfederację przygotowują materiał wskazujący na konstytucyjne i ustrojowe ryzyka nowelizacji.

Jedno jest pewne – to, co się stanie z nowelizacją ustawy o KSC w wyniku decyzji prezydenta Nawrockiego, sprawi, że znów narazi się on na krytykę znacznej części polskiego społeczeństwa.

(BZ)

Dostawca wysokiego ryzyka – o to idzie największy spór

Za dostawcę wysokiego ryzyka może zostać uznany podmiot, który:

- podlega wpływom państw trzecich (np. poprzez prawo krajowe),
- nie daje wystarczających gwarancji bezpieczeństwa dostaw,
- stanowi zagrożenie dla ciągłości lub integralności systemów krytycznych.

Konsekwencje uznania za takiego dostawcę mogą obejmować:

- zakaz lub ograniczenie stosowania jego sprzętu lub oprogramowania,
- obowiązek wymiany komponentów w infrastrukturze krytycznej,
- decyzję administracyjną podejmowaną na poziomie państwowym.

Uwaga! Dyrektywa NIS2 nie wymaga od państw członkowskich UE wprowadzania terminu „dostawca wysokiego ryzyka" do prawa krajowego.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl e84c291d09



JULIETTE ARMANET*

Coś słodkiego do kawy

Café gourmand to deser, który często pojawia się w kartach francuskich restauracji. Składa się z kawy podawanej z kilkoma minisłodkościami. Jakimi? Paleta jest spora, ale do końca nie wiadomo, co pojawi się na talerzu. Decyduje o tym menu, przygotowywane przez szefa kuchni. A ten może zaproponować – oczywiście w mikroporcjach, dających szansę delektowania się, a nie objadania – np. mus czekoladowy, makaronik, odrobinę lodów lub ciasta. Wszystko – pojedynczo i w całości – powinno się skomponować z najważniejszym elementem deseru, jego bazą, czyli kawą.

Film „Przepis na szczęście", który w walentynki pojawi się w polskich kinach, jest trochę takim café gourmand. Jego walory w pełni potrafili docenić i rozkoszować się nimi widzowie znad Loary. Nie bez powodu historia 33-letniej Cecile (zagranej przez Juliette Armanet, gwiazdę francuskiej sceny muzycznej) opowiedziana przez reżyserską debiutantkę Amélie Bonnin stała się filmem otwarcia ubiegłorocznego festiwalu w Cannes.

W pozornie banalną fabułę – zwycięzczyni francuskiej edycji programu Master Chef robiąca karierę w Paryżu jedzie na rodzinną prowincję, by odwiedzić chorego ojca i tam przewartościowuje, także uczuciowo, minioną dekadę – wplecione zostały elementy „do delektowania się". Sceny przygotowywania różnych potraw, ich doprawiania, smakowego i wizerunkowego cyzelowania. A także – skoro główną bohaterkę gra znana wokalistka – w kulinarno-obyczajowej narracji pojawił się muzyczny komentarz. Wyśpiewany także przez innych aktorów, zaczerpnięty z fragmentów popularnych piosenek – od klasyków, takich jak „Paroles, Paroles", po współczesne – w tym utwór, który dał tytuł zarówno ubiegłorocznej płycie Juliette Armanet, jak i filmowi (zwrot „Partir un jour" oznacza chęć zmiany, opuszczenie dotychczasowego miejsca, wyruszenie na nieznany szlak).

Na ekranie nie zabrakło kadrów pokazujących sielskość francuskiej prowincji i koloryt lokalnych atrakcji. Całość – będąc rozwinięciem nagrodzonej Cezarem krótkometrażowej opowieści o matce reżyserki, w kolejnym pokoleniu kultywującej masarską tradycję rodziny – mogła też zaintrygować twórczym przekształceniem i dopełnieniem bazowego scenariusza.

Baza (rodzinna, uczuciowa, smakowa) okazała się też pomocna w zamknięciu ekranowej przeszłości bohaterki i wejściu Cecile w kolejny etap. Znakomicie czująca smaki i kreująca nowe potrawy bohaterka, szukając domknięcia menu, które przyniosłoby jej paryskiej restauracji upragnioną trzecią gwiazdkę Michelin, wsparła się smakiem dzieciństwa. Na finał postanowiła zaserwować, pięknie podaną... kostkę cukru zanurzoną w espresso.

Jolanta Gajda-Zadworna

**francuska piosenkarka, autorka tekstów, aktorka*





Fot. Aurora films

eprasa.pl/p/c291d09



SŁODKO-SŁONY

Powietrze w ruch!

ANNA MONICKA

Gdy zaczęło się szaleństwo z kupowaniem garnków (przepraszam za spłycenie tematu) piekących za pomocą gorącego powietrza, byłam nieufna. Przetestowałam już mnóstwo elektronicznych robotów, opiekaczy, wyciskarek, tosterów, cudownych szybko- i wolnowarów, frytownic. Ba, niektóre woziłam nawet na wakacje (letnie i zimowe) – wzorem mojej znajomej, która podróżowała z piekarnikiem, żeby w spokoju wymyślać nowe dania dla gości swojej agroturystyki. Zwykle po pierwszym amoku zapał przechodził i mnie, i mojej córce, a maszyna lądowała na eksponowanym miejscu w garażu. Tym razem jednak – wszystko na to wskazuje – jest inaczej.

Koleżanka namówiła mnie na kupno nietypowego airfryera. Konstrukcją przypomina poczciwy prodiż, tyle tylko, że misa jest z grubego żaroodpornego szkła, a elektronicznie sterowana pokrywa kryje bezszczotkowy silnik, wprawiający w ruch gorące powietrze. Wydatek nie rujnował kieszeni, a ponieważ firma Mova – bo o nią chodzi – dawała przedświąteczne zniżki, szarpnęłam się na prezent dla całej rodziny. W ferie postanowiłam pobawić się nowym garnkiem („Nie nazywaj go tak, mamo, to nie garnek” – napomina mnie oburzona córka, więc pieszczotliwie mówię: „Frajer”). Pojechał z nami nad morze.

Zaczęło się oczywiście od pieczenia warzyw – ćwiartki cukinii pod parmezanem wyszły rewelacyjne, trzeba tylko pamiętać, żeby na dno szklanego pojemnika wkładać specjalną płytkę do grillowania – dzięki temu powietrze swobodnie krąży i owiewa potrawy od spodu. Równie smaczne okazały się kolorowe marchewki z mrożonki oraz miks batatów, marchewki i kalarepy w słupkach. Grzanki z wędliną, serem i pomidorem na śniadanie – poezja. Chrupkie, delikatne i nietłuste (plasterki warto przyszpilić wykałaczką, żeby nie przesunął ich pęd powietrza). Frytki belgijskie? Nie jadłam lepszych. Pytanie: „Czy zrobimy dziś frytki?” słyszę codziennie. Z mięs na razie wypróbowałam polędwiczki wieprzowe i przeszły wszelkie oczekiwania.

Do pojemnika mieszczą się dwie–trzy. Trzeba je umyć, osuszyć i nasmarować oliwą z czosnkiem i solą. Są gotowe w 15 minut – soczyste i smakowite. Pokrojone nadają się na wędlinę lub kotleciki do obiadu. O kolejnych testach wkrótce doniosę – jest osiem gotowych programów, sprawdziłam dwa. Ale dziś już wiem, że tradycyjny piekarnik ma konkurencję, również jeśli chodzi o oszczędność energii.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Bierzmy przykład

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Parlament Szkocji wprowadza prawo, zgodnie z którym w nowo budowanych budynkach należy obowiązkowo montować specjalne cegły (rodzaj ceramicznych wstawek) zapewniających miejsca lęgowe dla jerzyków i innych ptaków oraz nietoperzy.

O takim rozwiązaniu jako niezbędnym również w Polsce pisałem wielokrotnie. Jest ono słuszne, a nawet konieczne z wielu powodów.

Ptaki i nietoperze są elementem bioróżnorodności, której jako cywilizacja potrzebujemy, by przetrwać. W skrócie: ptaki i nietoperze regulują liczebność owadów – nie tylko komarów i meszek, gryzących nas i roznoszących choroby, lecz także tych, które wyrządzają szkody w rolnictwie. Rolnictwo jako twór poniekąd sztuczny wymaga obecności różnych gatunków, by mogło funkcjonować. Klasycznym przykładem jest próba wytępienia wróbli i innych drobnych ptaków przed laty w Chinach. Wprawdzie udało się zmniejszyć ilość ziarna zjadanego przez ptaki, ale jednocześnie sprawiono, że pozbawione swoich naturalnych przeciwników owady rozmnożyły się tak bardzo, że spowodowały w rolnictwie straty nieporównywalnie większe od mizernych zysków, co ostatecznie doprowadziło do klęski głodu.

Ten przykład – opisany w uproszczeniu – pokazuje, że bez różnorodności otaczających nas gatunków nie przetrwamy. Zmieniliśmy przyrodę na tyle, że aby dalej mogła nas utrzymywać, musimy jej pomagać. Tym bardziej że przez wieki budowane przez nas miasta przyciągnęły wiele gatunków ptaków i nietoperzy. Dawne budynki okazały się dla nich idealnymi siedliskami. Stworzyliśmy je, sprawiliśmy, że je zasiedliły, stając się niezbędną częścią ekosystemu, a teraz je zabieramy – remontując budynki (co jest oczywiście konieczne) i budując nowe w miejsce starych, jednak szczelne i pozbawione otworów, w których mogłyby zamieszkać.

Dlatego konieczne jest montowanie budek w budynkach podczas remontów. I dlatego absolutnie niezbędne jest wprowadzenie przepisów nakazujących organizację takich miejsc w nowo powstających domach. Da się je zaprojektować tak – dostosowując do wymagań poszczególnych gatunków – aby zasiedlające je ptaki i nietoperze przynosiły pożytek, a nie były uciążliwe dla ludzi.

„Czyńcie sobie ziemię poddaną” – to również zobowiązanie do odpowiedzialności za Stworzenie. Przyroda to piękno, które musimy chronić, bo „piękno na to jest, by zachwycało / Do pracy – praca, by się zmartwychwstało”.

eprasa.pl e84c291d09

3 MIŁOŚCI

Święci. Soft power Zachodu



ROBERT TEKIELI

Skąd u Polaków nawyk utożsamiania dobra z ofiarą, a siły z moralnym zepsuciem? Z wielosetletniego doświadczenia zbiorowej słabości. Jak rozbija się narody? Szerząc hedonizm i sprzeczne z wiarą wierzenia.

Odpalasz sieć i widzisz setki ludzi, którzy oferują ci mniejsze lub większe zbawienie. Pięć kroków do szczęścia, trzy rady najlepsze z najlepszych, osiem patentów na sukces. A w rzeczywistości samotność, niezdolność do zawierania owocnych relacji, nuda, pustka, smutek.

Dziś każdy wygłosi swój traktat o nieuprawianiu ogrodu. Ale są szczęśliwe rodziny, trwałe małżeństwa, dobrze wychowane, wierzące dzieci.

Ogrody nieuprawiane zarastają, starzy się zapuszczają, młodzi dziczeją. Idzie ku nieszczęściu. Zachodnia cywilizacja przestała się rozmnażać, bo i po co? Ten zachodni pocałunek śmierci dotyka również społeczeństwa niewyrosłe na fundamencie chrześcijańskiego uniwersalizmu. Korea Południowa i Japonia – współczynnik dzietności odpowiednio 0,75 i 1,2 dziecka na kobietę. W Japonii w 2024 r. spadek dziewiąty rok z rzędu – urodziło się wtedy mniej niż 721 tys. dzieci, najmniej od XIX w.

Starzejące się społeczeństwo, ujemny przyrost naturalny, coraz mniej zawieranych małżeństw – cicha katastrofa cywilizacyjna. Czego nie dotknie cywilizacja śmierci, ta nowożytna narośl, nowotwór kulturowy, to zamiera, traci marzenia, nie pragnie błogosławieństwa, nie pragnie dzieci.

Skąd zatem te trwałe rodziny, w których większość dorosłych dzieci zachowuje wiarę? Co różni je od rodzin rozbitych? Przekaz żywej wiary.

Nawracajcie się przez odnowienie umysłu. Tajemnicze słowa. Mamy zatem obowiązek rozumienia świata.

Umiera chrześcijańska cywilizacja życia, przeobraża się w cywilizację śmierci, cywilizację uśmiechniętej rozpaczy. Z tyłu liceum, z przodu muzeum. Naciągnięta skóra na twarzy. Uśmiech przez łzy? Nie, te już wyschły. Całkowite moralne oraz postępujące intelektualne otępienie. Tak działa grzech. Paraliżuje wolę, zaciemnia oczy. Istota nowożytności – instytucjonalizacja grzechu – zombifikuje Zachód.

Trwa inwazja. Mainstreamowe media promują wszystko, byle tylko nie chrześcijaństwo. Króluje herezja samozbawienia w różnych ideologicznych i ezoterycznych odmianach.

Skąd zatem te trwałe rodziny, w których większość dorosłych dzieci zachowuje wiarę? Co różni je od rodzin rozbitych? Przekaz żywej wiary

Ideologia postępu definiowanego jako odrzucenie wiary dziadów i babć, porzucenie tradycji, emancypacja od zdrowego obyczaju. Zrób-to-sam-religie: zbawienie przez jedzenie/niejedzenie tego czy owego, religijnie traktowana konsumpcja, kult sukcesu, pieniądza, quasipsychologie, selfizm czakralny, ezocoaching, przeszczepienie do Stanów i Europy zeświecczonych religii Orientu, Czarnej Afryki i Polinezji oraz uświęcenie miejscowych zabobonów i przesądów, czyli satanizująca zachodnia ezoteryka, od zawsze odrzucana przez autorytety religijne, później, od XII w. również przez ośrodki akademickie. Wszystko to w miejsce wiary katolickiej.

Jak się dokonuje wrogie religijne przejęcie? Przy klasztorze karmelitów bosych w Czernej stoi dom pielgrzymkowy. Na jego stronie obok zdjęcia ojca karmelity czytamy: „Dom Pielgrzyma w Czernej jest odpowiedzią na wyzwanie, jakie postawił przed nami potężny ruch pielgrzymkowy do cudownego obrazu Maryi oraz do sarkofagu świętego Rafała Kalinowskiego. Misją Domu jest posługa na rzecz pielgrzymów przybywających do Sanktuarium, którzy tu, w malowniczych rejonach Wyżyny Krakowsko-Częstochowskiej, szukają autentycznego doświadczenia żywego Boga, pogłębionej modlitwy i zaczerpnięcia nowych sił do stawiania czoła codzienności”.

Teraz strona Stowarzyszenia Kria Yoga Polska: „Zapraszamy na ODOSOBNIENIE MEDYTACYJNE oraz uroczystości założenia Centrum Kriya Yogi w Tłuczani. Miejsce: Czerna 79 (k. Krakowa), 32-065 Krzeszowice. Do dyspozycji: Dom Pielgrzyma, pokoje 2–4 osobowe (dodatkowo będzie możliwość noclegów w Domach Karmelitanek świeckich, około 700 m od Klasztoru). Planowane są codzienne medytacje, wykłady, sesje pytań i odpowiedzi, aukcje na rzecz budowy aszramu. W poniedziałek 31 sierpnia Pudża – uroczystości Dnia Założenia Aszramu (Foundation Day).

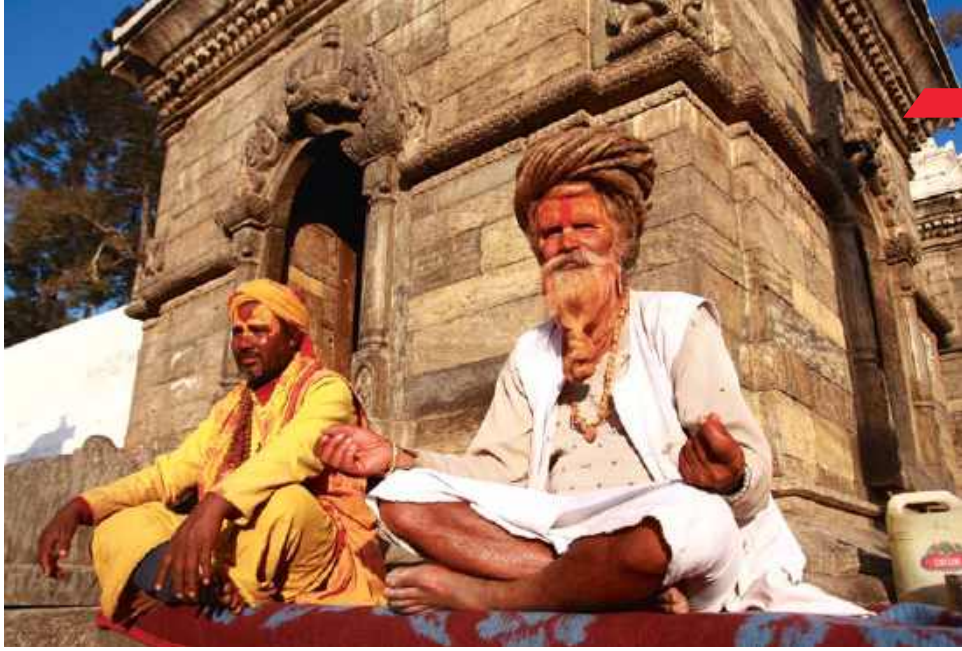
Program ten jest wyłącznie dla osób już praktykujących Kriya Yogę – nie będzie inicjacji.

Odosobnienie swoją obecnością pobłogosławią Shri Guruji Paramahamsa Prajnanananda, Swami

Atmavidyananda Giri, Rajrshi Peter von Breukelen oraz mnisi i nauczyciele”.

A teraz świadectwo Roberta J. z mojego kanału „Otwórz oczy” na YouTube: „Wtedy

eprasa.pl e84c291d09



doszedłem do wniosku, że chrześcijaństwo jest najbardziej opresyjną religią; same nakazy i zakazy. Potem stwierdziłem, że buddyzm to jest to... tam nikt nic ode mnie nie chce, jest »wolność«.

W 2023 r. znalazłem filmik na YouTube »Medytuj z Sadhguru Isha Kriya«. Wszystko wytłumaczone, delikatny głos guru z polskim lektorem prowadził i mówił, co robić. Pod koniec guru odmawiał jakąś modlitwę, po prostu relaks. Bardzo szybko zacząłem rozumieć, jak należy to robić, aby odczuwać efekty. Włączałem filmik po cichu w tle, siadałem w pozycji kwiat lotosu.

Początkowo odczuwałem po sesjach spokój, poczucie spełnienia, błogi stan. Po dwóch miesiącach nerwy wróciły. Wybuchałem, wpadałem w szał.

W kwietniu miał miejsce przełom. Udało mi się osiągnąć duże skupienie, poczułem mrowienie na głowie. Było to przyjemne i relaksujące... minęło 20 minut, a wydawało mi się, jakbym zamknął i otworzył oczy. Po ich otwarciu dotarły do mnie odgłosy zabawy moich synów. Jak to chłopcy, bawili się hałaśliwie. Wpadłem w szał. Ocknąłem się chwilę później i zobaczyłem kredowobiałą twarz starszego syna. Po wyjściu z pokoju po medytacji podskoczyłem do niego złapałem za ramiona i wydarłem się na niego tak głośno, że zastygł przerażony, sparaliżowany...

Nie przestałem medytować. Pewnego dnia obudziłem się w nocy w domu rodziny na wsi. Bałem się. Dom zaczął trzaskać, lęk przemienił się paniczny strach. Leżałem jak sparaliżowany. Zacząłem prosić w myślach Pana Boga o pomoc, że nie wiem, co się ze mną dzieje. Nie mogłem ruszyć się ze strachu, czułem jakby ktoś w tej ciemności tam z nami był. Byłem przerażony. Zaczynałem modlitwę »Ojcze nasz«, ale po kilku słowach koniec, pustka w głowie nie pamiętałem, to samo »Zdrowaś Maryjo«. Kilka słów i pustka...

Po tym wydarzeniu zacząłem szukać, co to było. Po jakimś czasie trafiłem na pana kanał na Youtube. Tam dowiedziałem się, że joga to nie ćwiczenia oddechowe, tylko praktyka religijna; że pomoc mogę znaleźć w Kościele katolickim.

[...] Były to moje pierwsze święta, kiedy świadomie przeżywałem Święto Narodzenia Pańskiego. Wieczorem leżałem już w łóżku i na ręku miałem owinięty różaniec. W głowie myśl, że teraz to jestem już bezpieczny, w łasce uświęcającej, i że wszystko jest OK. Nagle poczułem na sobie wielki ciężar. Byłem wciskany coraz niżej, słyszałem głośne warczenie, coś jak krzyk przez zaciśnięte zęby. Ogarnął mnie paniczny lęk, zacząłem odmawiać »Zdrowaś Maryjo«. Z każdym słowem wypowiadanej modlitwy ucisk malał, warczenie robiło się coraz cichsze, aż całkowicie wszystko odpuściło".

Na stronie karmelitańskiego domu pielgrzyma widnieje jego hasło: „ODPOCZNIJ U ŹRÓDŁA". A co w tym domu? Osoby inicjowane w obcą religię. Autoryzacja demonicznego kultu.

To, dlaczego sekty przyklejają się do Kościoła, łatwo zrozumieć. Chodzi o zwiedzenie katolików. Czemu karmelici robią coś takiego? Mam nadzieję, że nieświadomie.

Już tu o tym pisałem. Indyjska soft power. Nie będzie nią Bollywood, ale joga już tak. Ktoś powie, że oszalałem. Ale tylko ktoś, kto nie rozumie, jak działają mocarstwa. I Chiny, i Indie to cywilizacje powstałe w wyniku podboju. Państwa kolonialne. Ciągłość polityki. Sekty. Służby.

Człowiek Zachodu czyta: „Medytacja Isha Kriya to rodzaj prowadzonej medytacji opartej na mantrze, która może pomóc poprawić Twoje zdrowie psychiczne i samopoczucie w zaledwie 12 minut dziennie". Człowiek zaczyna ćwiczyć jogę. Pokusa samozbawienia jest nie do odparcia dla człowieka wyzutego z wiary.

Hedonizm i wierzenia kontra wiara.

Tajemnicą szczęścia jest kultywowanie ludzkiej natury. Walka o uporządkowanie sumienia, praca nad wadami, dążenie do wzrostu utrwalonej zdolności do czynienia dobra, czyli do wzrostu w cnotach.

Myśl, że wola Boża wymaga ofiary z naszego szczęścia, jest pokusą. Świętość to pełnia życia, święty jest człowiekiem absolutnie wolnym, jest człowiekiem, który żyje naprawdę.

Zdobywać cnoty, czyli ćwiczyć mięśnie duszy. To soft power Zachodu. Jego święci.

Poznałem ludzi, którzy sieją miłość tam, gdzie panuje nienawiść; wybaczenie tam, gdzie panuje krzywda; wiarę tam, gdzie panuje zwątpienie; nadzieję tam, gdzie panuje rozpacz; światło tam, gdzie panuje mrok; radość tam, gdzie panuje smutek.

Ci ludzie zbliżyli się do Jezusa tak bardzo, że zostali napełnieni miłością, dzięki której potrafią cierpliwie znosić bliźniego, zerwać relacje, które im szkodzą i w ogóle unikać każdej okazji do grzechu.

Ci ludzie nie tyle szukają pociechy, ile pociechę dają; nie tyle szukają zrozumienia, ile rozumieją; nie tyle szukają miłości, ile kochają.

Co to znaczy umierać dla bliskiego? Służyć mu nawet w drobnych sprawach, ustąpić w sprzeczce, zrozumieć, że atakuje, bo się boi; że uciekasz, bo zostałaś zraniona; że z twej duszy zdarto skórę.

Jest więc kolejny powód, dla którego Polacy utożsamiają dobro z ofiarą, a siłę z moralnym zepsuciem. Jest nim Jezus Chrystus z Nazaretu. On, Wszechmocny, poprzez męczeństwo oraz poddanie się torturom i śmierć, poprzez ofiarę, którą złożył, wykupił nas z niewoli konsekwencji naszych grzechów. I stąd mordercy, którzy po spotkaniu Jezusa służą bezdomnym, stąd w hospicjach nawrócone prostytutki w habitach zmieniające pieluchy, stąd misjonarze pielęgnujący trędowatych. Bo dając – otrzymujemy, wybaczając – zyskujemy przebaczenie, a umierając, rodzimy się do wiecznego życia.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl e84c291d09

OGNIEM NA WPROST

Generał do wymiany



Andrzej Rafał Potocki

W lutym miną dwa lata, odkąd gen. Ołeksandr Syrski objął dowództwo nad Siłami Zbrojnymi Ukrainy (SZU), zastępując Walerija Załużnego na stanowisku głównodowodzącego. W przededniu dostrzeżenia wojsk Moskwy w Swiatohirsku niedaleko kluczowego miasta Słowiańsk oraz w obliczu dalszych postępów w kierunku Zaporoża coraz więcej wojskowych uważa: „Syrski musi odejść". Jeśli spojrzymy na mapę w momencie, gdy został on mianowany dowódcą, zobaczymy, że linia frontu była daleko od obecnego miejsca. O Awdijiwkę toczyły się ciężkie walki, siły ukraińskie utrzymywały dwa dobrze ufortyfikowane miasta na południu – Wuhledar i Krasnohoriwkę, wróg nie posunął się nawet o metr w kierunku Torećka, a walki toczyły się o Las Serebriański. Po objęciu dowództwa gen. Syrski zwolnił prawie 20 doświadczonych dowódców – oficerów Sztabu Generalnego, dowódców poszczególnych rodzajów sił zbrojnych, kilku szefów brygad, co doprowadziło do zamieszania na froncie, skutkującego nieudanymi rotacjami i utratą kilku pozycji. Zdaniem części ukraińskich analityków przywództwo generała skutecznie sparaliżowało siły obronne. Jego sztywne podejście przypominające sowiecką doktrynę doprowadziło do setek niepotrzebnych ofiar. Walczy z wrogiem siłą, a nie umysłem. Za plecami obecnego głównodowodzącego zawsze stał i stoi prezydent Zełenski. Kiedy zginął dowódca 1. batalionu szturmowego Dmytro Kuciubajło i w Kijowie odbył się pogrzeb, poprzednik Syrskiego gen. Załużny uklęknął na jego pogrzebie, tak jak każdy inny ukraiński cywil. Syrski z kolei wymagał od dowódców surowej dyscypliny. Obejmując dowództwo, rozwiązał trzon 67. Brygady Zmechanizowanej złożony z ochotników, ponieważ ośmielili się kwestionować jego rozkazy. Zamiast iść na kompromis, postanowił ich zwolnić, skutecznie niszcząc oddział utworzony z ochotników. Odwiedza tylko te jednostki frontowe, które wykazały się lojalnością i realizują zadania bez sprzeciwu. Niezależnie od tego, jakie jest zdanie na temat Syrskiego, ważne pozostaje, aby zrozumieć, że każdy lokalny kontratak, każdy gloryfikowany atak, który nie ma sensu z militarnego punktu widzenia, kosztuje dziesiątki ofiar po stronie ukraińskiej. Ukraina nie przetrwa tego długo.

Jeśli nie gen. Syrski to kto? Każdy przyszły kandydat na stanowisko głównodowodzącego obejmie te funkcje w zależności od tego, czy prezydent Zełenski pozostanie na stanowisku – a wybory są spodziewane po podpisaniu pokoju. Wiodącym kandydatem, faworyzowanym zarówno przez wojsko, jak i opinię publiczną, jest gen. mjr Mychajło Drapaty. Jako dowódca Połączonych Sił Zadaniowych zademonstrował swoje duże umiejętności podczas niedawnego kontrataku pod Kupianskiem – jednej z niewielu operacji, które nie obejmowały bezpośrednich ataków na ufortyfikowane pozycje, lecz ominęły moskiewską obronę. Jego problem polega na tym, że ma sumienie i nie jest w stanie samodzielnie walczyć z zepsutym systemem. Jest zdolnym dowódcą, ale potrzebuje przestrzeni i zaufania przełożonych. Kolejnym kandydatem jest dowódca 3. Korpusu Armijnego gen. bryg. Andrij Biłecki. Jest chwalony za swoją pracę i innowacje w 3. Brygadzie Szturmowej, a obecnie w 3. Korpusie Armijnym. Reprezentuje nowatorskie podejście, które może pomóc armii pozbyć się sowieckiego dziedzictwa. Trzecim kandydatem jest szef Sztabu Generalnego i były dowódca piechoty morskiej, gen. por. Andrij Hnatow. Ma dużą przewagę nad innymi kandydatami, ponieważ Zełenski go lubi i darzy go zaufaniem. Czwartym kandydatem jest dowódca 1. Korpusu Azowskiego płk. Denys Prokopenko. W przeciwieństwie do pozostałych pochodzi z Gwardii Narodowej, więc jego nominacja byłaby nieco zaskakująca, jednak w czasie wojny przemieszczanie się między Siłami Zbrojnymi a Gwardią Narodową nie jest niczym niezwykłym. Prokopenko to szanowany i kompetentny dowódca, który wykonuje swoje obowiązki bez rozgłosu. Osiołkowi w żłoby dano, tylko czy osiołek zechce z tego skorzystać?

Analitycy portalu Defense Express wskazują, że w 2025 r. produkcja ukraińskich armatohaubic Bohdana sięgnęła ok. 40 sztuk miesięcznie. Tym samym Tryzuby produkują więcej artylerii samobieżnej niż cała UE. Najlepiej wypadający pod tym względem francuski koncern Nexter był w stanie produkować ok. 12 egzemplarzy armatohaubic CAESAR miesięcznie. Jeśli chodzi o rodzimą produkcję armatohaubic Krab, w skali miesiąca jest to niemal dziesięciokrotnie mniej egzemplarzy niż w przypadku powstających na Ukrainie modeli Bohdana. W ramach przygotowań do odparcia ewentualnej inwazji Moskwy na kraje NATO nie możemy się pochwalić zbyt dużymi sukcesami. Może z jednym wyjątkiem – „Poradnikiem bezpieczeństwa" według Kosiniaka-Kamysza.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl e84c291d09

Michał Korsun prezentuje:
Polski akcent w aferze Epsteina



Wycinki z przeszłości

W 1938 r. „Katolik” opisywał historię oszustwa ze Świdra pod Warszawą. Maurycy Elach, bogaty właściciel willi, dał się skusić Gustawowi Epsteinowi, który sprzedał mu miejsce „złotodajnej żyły” w piasku rzeki. Jak zapewniał pośrednik, złoto odkrył „b. dyrektor Instytutu Geologicznego [...], który bardzo się wzbogacił”. Gdy Elach rozpoczął wydobycie, „wszędzie natrafiał tylko na piasek. Złota nigdzie nie było”. Cały Świder śmiał się z naiwniaka.

(sp)



Złoto w rzece pod Warszawą

Oszukańcza transakcja dyskontera weksli

W Świdrze pod Warszawą rozeszła się wiadomość, iż jeden z bogatych właścicieli willi, Maurycy Elach kupił żyłę złota.

Tajemnice miejsca, gdzie znajdowała się złotodajna żyła, posiadał Gustaw Epstein, znany w okolicy dyskonter weksli i pośrednik mieszkaniowy. Epstein wiedząc, że bogaty właściciel willi jest skąpy i chytry, zaproponował mu sprzedaż złotodajnej żyły, która znajdowała się w piasku małej rzeki Świder.

Za sprzedanie tajemnicy miejsca złotej żyły, Epstein żądał 5 000 zł. Właściciel willi, kuszony opowiadaniami Epsteina o niezwykle dużej wartości żyły złota, skusił się i ostatecznie dał zadatku Epsteinowi 1000 zł i 5 000 wekslami.

Złotodajna żyłę w Świdrze, według zapewnień dyskontera, miał odkryć b. dyrektor Instytutu Geologicznego w czasach carskich, Symoniew, który bardzo się wzbogacił i wyjechał z Polski, a tajemnice miejsca, gdzie znajdowało się złoto, powierzył Epsteinowi.

Na pytanie właściciela willi, dlaczego posiadacz tajemnicy sam nie eksploatuje złota, Epstein oświadczył, iż nie ma pieniędzy na poczynienie inwestycyi dla wydobywania złota.

Po zawarciu transakcji okazało się, że bogaty właściciel willi padł ofiarą oszustwa. Gdy przystąpił do eksploatacji, instalując urządzenia do wydobywania złota, wszędzie natrafiał tylko na piasek. Złota nigdzie nie było. Poszkodowany złożył skargę do prokuratora.

Cały Świder śmieje się jednak z naiwnego bogatego właściciela willi.



ILUSTROWANA GAZETA ŚLĄSKA

KATOLIK

Z WOLEJA

Słodko-gorzki polski sport



Ryszard Czarnecki

Sport jest jak życie: słodko-gorzki. Weźmy pod uwagę tylko kilka ostatnich tygodni.

Od zachwytu nad grą nastolatka z Polski Oskara Pietuszewskiego w FC Porto, któremu towarzyszy entuzjazm tamtejszych mediów, wróżących, że portugalski klub korzystnie sprzeda go tak szybko, jak kupił, po gorycz z powodu porażek naszej reprezentacji w futsalu, czyli piłce nożnej w hali na mistrzostwach kontynentu. Od deseru w postaci świetnej gry w deblu naszego Jana Zielińskiego i równie dobrych meczów deblistki, juniorki Mai Pawelskiej w Australian Open, po czarną polewkę – już w ćwierćfinale z turnieju odpadła Iga Świątek (tu apel: dziewczyna nie jest cyborgiem, więc nie wymagajmy od niej nieustannych zwycięstw). Od fantastycznych występów w Pucharze Świata naszych łyżwiarek i łyżwiarzy szybkich po skandale organizacyjno-wizerunkowe Polskiego Związku Narciarskiego, który na zimowe igrzyska olimpijskie powołuje narciarzy alpejskich obu płci wbrew kryteriom, które wcześniej ustalił. Skądinąd w mediach w ogóle się nie eksponuje – a może szkoda – prezes Polskiego Związku Łyżwiarskiego Rafał Tataruch, bo woli pozostawać w cieniu i wie, że jego wizytówką będą medale łyżwiarzy szybkich, za to pełno jest prezesa Polskiego Związku Narciarskiego Adama Małysza, który brnie od jednej publicznej awantury do kolejnej, potwierdzając w ten sposób starą tezę, iż fantastyczny sportowiec może być kiepskim trenerem albo – jak w przypadku prezesa PZN – fatalnym menedżerem – szefem związku.

W polskim sporcie mamy więc wyżyny w postaci medali na mistrzostwach Europy w short tracku, co zwiastuje krążek olimpijski w sztafecie mieszanej, a także doliny w postaci serii porażek piłkarzy ręcznych na mistrzostwach kontynentalnych. Swoją drogą, kocham polskie przysłowia, ale „Polak, Węgier, dwa bratanki” doprawdy nie powinno się odnosić do sportu, bo ostatnio ulegliśmy Madziarom zarówno w futsalu, jak i handballu. Są granice przyjaźni! Dobrze, że chociaż pobiliśmy ich w short tracku.

Sport to nie tylko mecze zawodników, lecz także niestety swoiste mecze działaczy. Nie ma końca okołosportowej noweli niczym z latynoamerykańskiego serialu, choć kontynuowanej chyba z powodu latynoamerykańskiego temperamentu. Chodzi oczywiście o walkę rządu i niektórych związków sportowych z Polskim Komitetem Olimpijskim i jego prezesem. Dobrzy ludzie, szczerze zatroskani o rodzimy sport, myśleli naiwnie, że rządowo-działaczowski establishment odpuści chociaż na ostatnie tygodnie przed igrzyskami i w ich trakcie. Były to jednak płonne nadzieje.

Mimo wszystko wierzę w to, że nasi sportowcy zdobędą medale na ZIO, a może nawet usłyszymy „Mazurka Dąbrowskiego”.

eprasa.pl e84c291d09



OD A DO ZYBERTOWICZ

Gryź, byle słusznie!

Jedno państwo, dwa różne porządki prawne. Raz słowa są tylko słowami, a innym razem – czynem zbrodniczym

Przeżyliśmy sądy stalinowskie. Przeszliśmy przez sądy komunistyczne. Przetrwaliśmy sądy, które miały być przede wszystkim narzędziem władzy. Wydawało się, że budując Polskę jako dojrzałą demokrację, mamy to wszystko za sobą.

Nic z tego. Jeśli zebrać do kupy wyroki sądowe choćby z ostatnich miesięcy oraz przyjrzeć się sprawom, za które pozywani są krytycy obecnego mainstreamu, trudno nie spostrzec, że wracają mechanizmy, które miały już nigdy nie wrócić.

KTO MÓWI

Po skandalicznym uniewinnieniu Władysława Frasyniuka (niegdyś opozycjonista, w wolnej Polsce pieniacz i histeryk – żołnierzy strzegących naszej granicy nazwał „watahą psów"), umorzeniu sprawy celebrytki obrażającej Straż Graniczną, skazaniu na więzienie za komentarz o Romanie Giertychu Adama Borowskiego, działacza solidarnościowego, przyszła kolej na emerytkę z Torunia. Wszystkie przykłady to procesy za słowa.

Słowa, za które Sąd Okręgowy w Toruniu skazał kobietę na sześć miesięcy więzienia w zawieszeniu na rok, były skierowane pod adresem Jerzego Owsiaka. Brzmiały tak: „Giń człeku i to jak najszybciej, dość okradania, dość twojego dorabiania się z naiwności Polaków, twoje wille za granicą, twoja willa w Polsce, twoje dzieci uczą się za granicą i pensje twoje i twojej żony, dość rozlicz się i zmień okulary, bo takie noszą LGBT" (przytaczam wpis za „Gazetą Wyborczą").

Emerytka opublikowała taką wypowiedź w internecie ponad rok temu.

PRZEPADNIJ (GIŃ) CZŁEKU

Nieszczęsny wpis był interpretowany już niemal na wszystkie sposoby: dla jednych to ekspresja mieszcząca się w granicach wolności słowa, dla drugich – grożenie śmiercią, w najlepszym razie – rzucenie klątwy. Dla mnie taką narrację można równie dobrze sprowadzić do przekazu: „Zejdź człowieku z oczu".

Toruński sąd jednak jednoznacznie „ustalił", co autorka miała na myśli i uzasadniając wyrok, „sędzia Marcin Czarciński powiedział, że publikując komentarz w sieci, oskarżona publiczne nawoływała do popełnienia zbrodni" (cytuję za Onet.pl). Poza ograniczeniem wolności Torunianka ma też zapłacić na rzecz Owsiaka 1 tys. zł, nie może się z nim ani kontaktować, ani zbliżać na odległość mniejszą niż 50 m.

ALBO… GRYŹ

Tymczasem za ugryzienie woluntariusza organizacji pro-life tzw. Babcia Kasia, proaborcyjna hejterka znana z szarpania policjantów i wulgarnych gróźb – jak choćby ta z 2023 r., gdy podczas obchodów 13. rocznicy tragedii smoleńskiej atakowała Jarosława Kaczyńskiego słowami: „Jarek! Zajeb...my cię niedługo", od sądu drugiej instancji dostała złagodzenie pierwotnego wyroku. Ze względu na niedużą szkodliwość społeczną 10 miesięcy ograniczenia wolności (w zawieszeniu) i obowiązek 30 godzin prac społecznych miesięcznie zmniejszono do – odpowiednio – 4 miesięcy i 20 godz.

Nigdzie nie znalazłam wiadomości wskazującej, by hejterka została zatrzymana o 6.00, by odebrano jej telefon. By miała zakaz zbliżania się do ugryzionego, a w jej zatrzymanie zaangażowano funkcjonariuszy wysokiego szczebla policji. To wszystko zaś spotkało kobietę pozwaną przez Owsiaka.

Z TARCZĄ I NA TARCZY

Dualizm prawny w praktyce? Jedno państwo, dwa różne porządki. Raz słowa są tylko słowami, a innym razem – czynem zbrodniczym.

Jeśli delikwent stoi po niewłaściwej stronie, słowa są poważnym dowodem w sprawie. Mają swój kaliber – niczym groźna broń. Można je ważyć, mierzyć i kwalifikować jako „obrażające", „karygodne", „kłamliwe", „nikczemne", „oczerniające" czy wreszcie „nawołujące do zbrodni".

W Polsce Donalda Tuska najwyraźniej nie chodzi o to, co mówisz, ale o to, po czyjej stronie jesteś. Jeśli twoje poglądy są niewłaściwe, to stajesz się idealnym obiektem do pokazania, że „państwo działa". Że potrafi być „stanowcze". Że potrafi „rozliczać".

Ale przecież w istocie chodzi o wywołanie tzw. efektu mrożącego – pogrożenia surowym palcem tym, którzy nie wykazują wystarczającego entuzjazmu wobec „praworządnej" Polski.

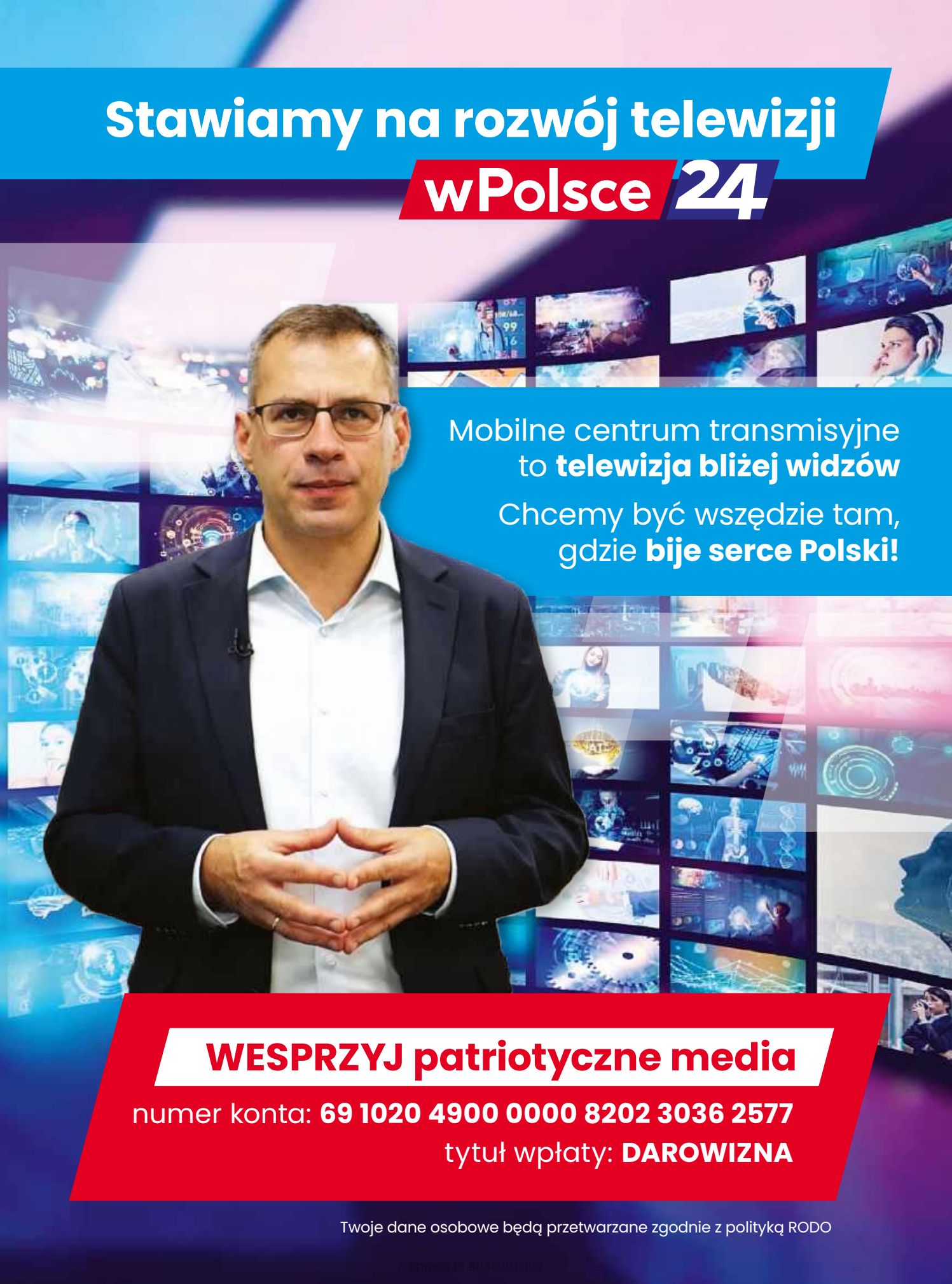
W latach 50. ub.w. Polacy śmiertelnie bali się sądów. Potem jednak uwierzyliśmy, że dla obywatela sądy mogą być jak tarcze sprawiedliwości. A teraz?

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja | Reklama 20/0126/F

eprasa.pl e84c291d09

Stawiamy na rozwój telewizji wPolsce24



Mobilne centrum transmisyjne
to **telewizja bliżej widzów**

Chcemy być wszędzie tam,
gdzie **bije serce Polski!**

WESPRZYJ patriotyczne media

numer konta: **69 1020 4900 0000 8202 3036 2577**

tytuł wpłaty: **DAROWIZNA**

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

epresa.pl e84c291d09

NARODOWY BANK POLSKI

Dbamy o wartość polskiego pieniądza

Narodowy Bank Polski posiada już

550 ton złota

o wartości ponad 270 mld zł!



Dzięki swojej niezależności Narodowy Bank Polski konsekwentnie realizuje strategię zarządzania rezerwami i zwiększania zasobów złota, budując bezpieczeństwo finansowe kraju. W tych trudnych czasach globalnych zawirowań i poszukiwania nowego porządku finansowego złoto jest jedyną pewną lokatą rezerw państwowych.

prof. Adam Glapiński,
Prezes NBP



Pod kierownictwem prof. Adama Glapińskiego Narodowy Bank Polski od 2018 r. zakupił łącznie około 447 ton złota – w tym 102 tony w 2025 r. Drugi rok z rzędu NBP był największym nabywcą złota spośród banków centralnych na świecie.

Narodowy Bank Polski zajmuje obecnie 12. miejsce wśród banków centralnych pod względem posiadanych zasobów złota. NBP podjął decyzję o dalszym zwiększeniu rezerw złota do poziomu 700 ton. Dzięki temu Polska znajdzie się w elitarnej dziesiątce państw o największych zasobach złota na świecie.



Zeskanuj kod QR
i pobierz najnowszą publikację

Polski złoty i niezależność NBP
jako fundamenty rozwoju gospodarczego

prasa.pl e84c291d09